

Biblioteka  
U.M.K.  
Toruń

335945

digit



№ 1686

10

# M I M I.

SZKIC POWIEŚCIOWY

**W. MIKULICZA.**

(Przekład z ruskiego).



PETERSBURG.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI BR. RYMOWICZ.

1892.

Дозволено Цензурою. С.-Петербургъ, 7 июля 1892 года.



335945

W druk. «Kraju» Trenke i Fusnot. Maksymiljanowski zauł. 13.

K. 2242/62

I.

Mimi—narzeczoną.

Mimi—narzeczona! Mimi znów została narzeczona, a tym razem, zdaje się, już zupełnie serjo, ostatecznie. Winszują jej, jak zwyczaj każe, składają jej podarunki, które Mimi przyjmuje i sama z wizytami obchodzi wszystkich krewnych. Ciocie z wielką ciekawością i ze współczuciem rozpytuja ją o wszystkie szczegóły wyprawy; stryjaskowie zdobywają się na najpiękniejsze życzenia, żartują sobie z dziewczyny, drażnią ją, a Mimi rumieni się i spuszcza niewinnie oczęta.

— Czy bardzo kochasz swego narzeczonego? — rzucają jej pytanie, i to nie raz, nie dwa razy, ale ciągle, prawie stale.

— Zamało go jeszcze znam — odpowiada Mimi — ażebym go mogła kochać, ale ja go... szanuje.

A co? Taką jest Mimi! Nikt się nie spodziewał, że Mimi odpowie tak *rozsądnie*. Wszystkie ciocie są zdania, że Mimi odpowiedziała bardzo, ale to bardzo rozumnie, a do tej chwili Mimi nie zdradzała więcej rozumu, aniżeli wypada, by go posiadała tak piękna pan-na jak ona.

Tak, Mimi szanuje swego narzeczonego. I rzeczywiście, pan Spirydjon zupełnie na jej szacunek zasługuje. Jest to człowiek posiadający znaczne *środki*,

Mimi.

1\*

wcale niemałą rangę i wydatne położenie w hierarchji służbowej — niemłody już, to prawda, ale też i niebardzo jeszcze stary; niepiękny, łysy, może nawet nieco zanadto otyły, ale dzielnie się trzyma i śmiało mógłby sięgnąć nawet po bardzo bogatą żonę.

— I za co też, doprawdy, takie szczęście spada na Mimi! O, wiem doskonale, że wiele jej rówieśniczek i przyjaciółek, a szczególnie mamy ich, gotowe pęknać ze złości i zawiści, że pan Spirydjon nie w ich zastawione wpadł sieci... Wprawdzie mówią, że go haniebnie łowiono, że mu poprostu Mimi zaofiarowano niejako...

Ach, Boże drogi, czegoż nie wymyśla zawistne jęczyczki niewieście!... Zamiast powtarzania tych bezsensownych dociekań i przypuszczeń, stokroć lepiej zrobimy gdy przyjmujemy zyczliwie szczęście jakie Mimi spotkało, gdy podzielimy całym sercem radość wszystkich cioc pięknej Mimi.

— Ach, chwała Bogu, chwała Bogu! — mówi tante Sophie — cieszę się bardzo, bardzo! Mam nadzieję, że Mimi z nim będzie szczęśliwą! Że niebardzo młody, tem lepiej dla niej: Mimi — toć to jeszcze dziecko — potrzebuje opieki... Właśnie, człowiek doświadczony, poważny... Takiego jej trzeba męża...

— Ma się rozumieć, dobrze że niemłody — potwierdza tante Marie — takiego męża jeszcze łatwiej trzymać pod pantoflem. Nie zaprzeczysz, że ci dobrze życzyć, Mimi, otóż pamiętaj, ażebyś we właściwym czasie umiała się wziąć do pana Spirydjona.

— Mówiłam wam, zawsze mówiła, że wszystko dobry obrót weźmie — dodawała tante Julie. Jakież to szczęście, pomyślcie tylko, żeście wtedy «zerwali» z tym niegodziwcem!...

I rzeczywiście, wszystko idzie jak najlepiej. Pierwszym, tym dawniejszym narzeczonym Mimi był młody i szykowny oficer gwardji, który posiadał cudownie la-

kierowane buty, czarne wąsiki, karbowane włosy kasztanowej barwy i złote *pince-nez*. Mimi po raz pierwszy ujrzała go na wieczorze. Zgrabny oficer dyrygował tańcami, brzęczał ostrogami, co chwila z gracją chłodził się wachlarzami i naperfumowanymi chusteczkami swoich dam i nadzwyczaj elegancko, ach, jak elegancko, wykrzykiwał: «*Ser-r-rez le r-rond!... Chainé!...*» Na owym wieczorze piękny oficer przetańczył parę razy z Mimi, zachwycał się nią podczas gdy z kimś innym tańczyła i, wywiedziawszy się o stanowisku jej rodziców, postarał się o to, by był przedstawionym.

Potem zaczął «*bywać*», potem, jak zwykle bywa, zaczął się «*starać*», a nareszcie — oświadczył się.

Piękny oficer i zgrabny kawaler w jednej osobie, miał opinię niebezpiecznego zjadacza serc. Nadskakiwał wszystkim ładnym pannom, wdowom i mężatkom, które znał, i, jak mówiono, był przedmiotem westchnień bardzo wielu z nich. Nic więc dziwnego, że «*odbicie*» go musiało pochlebiać miłości własnej nietylko Mimi, ale i jej maman.

Mimi oświadczyn nie odrzuciła i została narzeczoną.

Tante Sophie z tego powodu wydała wieczorek tańczący, tante Marie — obiad z szampanem, a tante Julie — *folle journée* z tańcami, z szampanem i z zamiejską wycieczką.

Narzeczony był nadzwyczaj ugrzeczny, usłużny i miły dla krewnych narzeczony i podobał się wszystkim.

— Wiesz, Mimi — odezwała się przy okoliczności tante Marie — on tak jest miły, tak miły, że gdybym troszkę młodszą była, postarałabym się odbić ci go.

— Dobrana z was będzie para — potwierdziła tante Sophie.

— Bardzo rozsądnie zrobiłaś, że przyjęłaś jego oświadczyni — zakończyła tante Julie. Takiego męża nie spotyka się na każdym kroku. Jest «*na dobrej drodze*» i zająć może daleko, bardzo daleko.

Naręczony nietylko, że był «na dobrej drodze», ale był nadto «księciem»; wprawdzie księstwo to nie było wsparte odpowiednim majątkiem, splendor był nieco przyćmiony, ale w każdym razie miał tytuł księcia, a dodać należy — nie ze wschodu. Nie dość na tem, jak sam mówił, był bratankiem i jedynym spadkobiercą bogatego, bezdzietnego stryja, który gdzieś tam na południu posiadał piętnaście tysięcy dziesięcin i kopalnię węgla.

Po odpowiednich błogosławieństwach i życzeniach, wzięto się do przygotowywania bardzo eleganckiej wyprawy dla przyszłej księżny. Trzeba ją było robić na kredyt, gdyż interesy rodziców Mimi i wówczas już były bardzo zachwiane... Zresztą, od czasu gdy Mimi mogła choć trochę rozumieć te rzeczy, zawsze interesy rodziców były bardzo zachwiane, co jednak wcale nie przeszkadzało im żyć tak, jak żyć się chciało, bez odstawiania sobie jakichkolwiek przyjemności, z wyjątkiem jednej — płacenia długów, których ogół wskutek tego wzrastał się i wzrastał, jak nieproszone zielsko.

Ze względu na wydawanie córki za męża, trzeba było znów pożyczyć od tego i owego, ale parę tysięcy długu mniej lub więcej—co to mogło znaczyć, gdy szło o szczęście jedynaczki! Byleby tylko można znaleźć takiego, coby dać zechciał!.. Wszakże w przyszłości Mimi posiadać miała kopalnię węgla bezdzietnego stryjaszka! Wszyscy krewni Mimi ofiarowali jej najrozmaitsze prezenty. Tante Sophie kupiła jej drogie futro, tante Marie — bardzo kosztowny szlafroczek pluszowy *vert-jaspe*, podbity atłasem *bleu-nuage*, suto ozdobiony koronkami, a tante Julie—srebra. Wszystkie znaki na bieliźnie ozdobiono mitrami książęcemi. Tante Julie wprawdzie mówiła, że tej korony nie należało umieszczać na bieliźnie, gdyż Mimi nie jest księżniczką, a bieliznę—tak chce zwyczaj—znaczy się tylko monogramem naręczonej, i że pospiech z tą koroną dość śmiesz-

nie wygląda, jak gdyby nie umiały ukryć radości, że Mimi będzie księżną. Ale tante Marie i tante Sophie podzielały zdanie mamany, dowodząc, że to wszystko jedno. Przecież bielizna, którą będą sprawiać po ślubie, nosić będzie książęcą koronę; dlaczegożby więc nie zrobić na wszystkim jednakowych znaków?

I wszystkie znaki opatrzone książęcą koroną.

Zanim urzędownie ogłoszono, że Mimi wychodzi za męża, papa otwarcie rozmówił się z naręczonym. Wyznał mu szczerze, że interesy jego obecnie są w tak opłakanym stanie, że nic nie może dać Mimi w posagu... ale przyjął na siebie wszystkie wydatki, jakie pociągało za sobą urządzenie gniazdka dla młodego małżeństwa, a dalej obiecał pomagać im w miarę sił i możliwości, dzieląc się z córką własną pensją.

Naręczony, jakkolwiek podziękował papie za szczerść, uroczyście go zapewniając, że prosząc o rękę Mimi, żadnych celów zysku nie miał nigdy na myśli, nie mógł jednak ukryć pewnego rodzaju rozczarowania, dowiedziawszy się, że Mimi jest — panną bez posagu. Tego się wcale nie spodziewał i otwarcie wyznał, że to go zmusza—nie do wyrzeczenia się naręczonej — o, ma się rozumieć, nie! — ale do odłożenia ślubu na czas nieograniczony.

Teraz i naręczony przyznał się, że akurat w chwili obecnej i on doznaje niejakich materialnych trudności. Ma się rozumieć, że chwilowo przykry ten stan interesów nie może go niepokoić, jako kawalera, jako człowieka, który tylko o własnej osobie pieczę mieć powinien, gdyż kopalnie stryjaszka prędzej lub później jego przeciwie będą własnością, ale, niemniej uważałyby siebie za niegodziwca, pozbawionego honoru, gdyby ośmielił się ożenić z biedną panną w obecnych warunkach, t. j. przed doczekaniem się jeśli nie śmierci bezdzietnego stryjaszka, to przynajmniej awansu.

Książę dodał, że w niedalekiej przyszłości ma objąć dowództwo bataljonu, że byłoby mu bardzo przyjemnie, ażeby ów upragniony bataljon konsystował w N., bardzo wesołym i miłym miasteczku, gdzie życie niedrogie a wygodne, pozwoliłoby mu jako-tako urządzić dom, ma się rozumieć, nie bez pewnej, w miarę sił i środków, pomocy ze strony papy i bezdzietnego stryjaczka. Gdyby papa zechciał tylko użyć swoich wpływów, swych stosunków przyjacielskich z tym i owym — być może w ten sposób wpłynąłby na przyspieszenie ślubu i zapewnienie szczęścia swych dzieci...

Po długiej przemowie, narzeczony, jako człowiek prawy i szlachetny, oświadczył wprost i bardzo wyraźnie, że ożeni się w takim tylko razie, jeśli otrzyma ów bataljon. Papa mógł wpłynąć na to stanowczo.

Nie było to zadanie łatwe, to prawda, ale dla szczęścia jedynaczki można było nieco się pofatygować. Zachody i starania papy uwieńczone zostały powodzeniem. Narzeczony został mianowany dowódcą upragnionego bataljonu i wyjechał do N. Dzień ślubu wyznaczono; miał się on odbyć za dwa tygodnie. Zaszły jednak przeszkody nadspodziewane: załoba. Ślub znów należało odłożyć.

Biedny papa umarł nagle, umarł w gościnie, prawie przy stoliku karcianym; czy to była apopleksja, czy może pęknięcie serca — powiedzieć tego nie umiem. Natychmiast zawiadomiono telegraficznie narzeczonego o tem nieszczęściu; ale — wbrew wszelkim oczekiwaniom — książę nawet na pogrzeb nie przyjechał. Ten dziwny postępek już wówczas bardzo nieprzyjemnie oddziaływał na wszystkich krewnych Mimi, a szczególnie na jej mamą, która odtąd nie mogła opędzić się ani na chwilę bardzo przykrym przypuszczeniom. Przypuszczenia te i obawy, jak się okazało, miały słuszne podstawy. Po powrocie do Petersburga, narzeczony w postępowaniu z Mimi i z jej mamą zmienił

się do niepoznania. Wkrótce nie trudno było zrozumieć, że książę szuka tylko pretekstu, ażeby się uchylić od wszelkich zobowiązań. Próbował być zazdrosnym o Mimi, a gdy to do celu nie wiodło, zaczął zlekka żartować sobie z niej, potem zaczął ją uczyć i na swój sposób modelować, ale Mimi miała tak anielsko-spokojny charakter, że w żaden sposób nie mógł się z nią pokłócić. Wówczas książę zabrał się do mamą. Tutaj wszystko poszło łatwiej, a nieporozumienia wkrótce weszły na niebezpieczną drogę. Zaczęło się od aluzji, drobnych śpileczek, niedomówień i przemilczeń; następnie strony wojujące przystąpiły do otwartych wyjaśnień.

Narzeczony upewniał, że papa obiecał dawać Mimi corocznie po dwa tysiące czterysta rubli.

Mamą zapewniała, że papa nigdy nie obiecywał czegoś podobnego.

Na to narzeczony odpowiedział, że skoro tak rzeczy stoją (to jest, że po pierwsze chciano go oszukać, a powtóre, że w oczy nazywają go kłamcą), nic mu więc, jako szlachetnemu człowiekowi, nie pozostaje...

Mamą nie pozwoliła szlachetnemu człowiekowi wymówić groźby i zaofiarowała przyszłemu małżeństwu całą swoją emeryturę, z tym tylko warunkiem, ażeby ją, mamą, wzięli do siebie. Książę dostał w N. bardzo obszerny lokal rządowy, w którym dla mamą mały kącik znaleźć się powinien.

Po wysłuchaniu tej propozycji, książę oświadczył kategorycznie, że w takim tylko razie się ożeni, jeśli mamą odda całą emeryturę Mimi, a sama zamieszka gdzie zechce i jak zechce, byle tylko nie z nimi i nie u nich. Książę aż z nadto wiele widział przykładów, jak to teściowe źle wpływają na szczęście rodzinne swych córek, ażeby nie uważał za swój święty obowiązek starać się o zabezpieczenie Mimi przed możliwością nieprzyjemnych zajść w przyszłości, tem bardziej,

że, zdaje się, dość to jasne dla nich obojga, że on i maman, jako przyszła belle-mère, nie mają zbyt zgodnych usposobień.

To niegrzeczne oświadczenie narzeczonego do tego stopnia oburzyło maman, że niezwłocznie pojechała do sióstr, ażeby się na niego poskarżyć, prosić o radę i pomoc. Ciocie niemniej były zdziwione i oburzone, dowiedziawszy się z ust maman, że «to nędzne ksiązako, ten Fikalski w mundurze, ten *passez moi le mot*, szubrawiec» — chce, jak widać, zrzec się «szczęścia» Mimi!

Ciocie gorąco wzięły się do pracy pogodzenia stron zwaśnionych. Jeździły ciągle wzajem do siebie, gniewały się i oburzały, trzepały językami aż do wyschnięcia w gardle, wzruszały ramionami, surowo całą sprawę ze wszech stron roztrząsały, upominały narzeczonego, radziły maman i pocieszały nieszczęśliwą Mimi.

— Nie pojmuje, doprawdy, jak się to wszystko skończy—mówiła tante Sophie—ale zdaje mi się, że lepiejby było, gdyby już teraz zerwali... Mówcie co chcecie, ale on jest bardzo, bardzo nie... tego... Dostał bataljon, a żenić się nie chce!

— No, wiesz co—odpowiadała tante Marie—szczerze mówiąc, nie ma się czemu dziwić, że to małżeństwo niebardzo go zachwyca. Cóż jest Mimi?... Oh, miła, ładna... to prawda... Ale bądź co bądź, cóż to za partja?... On to doskonale rozumie, że może znaleźć daleko lepszą... Że się nie ożeni, jestem tego pewną. Zobaczycie. Ma się rozumieć, że wszystkie te warunki są tylko pretekstem. Jasna rzecz, że on po prostu nie chce się z nią żenić.

— Ale trzeba go do tego zmusić — odpowiadała tante Julie. Niepodobna pozwolić na tak bezkarne kompromitowanie panny.

Debaty na tem się wreszcie skończyły, że ciocie o mały włos nie pokłócili się, a maman pomimo to

otrzymała od księcia długi, wymowny list, w którym znajdowało się poparte dowodami twierdzenie, że czas już nareszcie raz zakończyć te przykre nieporozumienia. W ostatnich czasach—jak pisał książę—w zupełnie dostatecznej mierze przekonał się on tak o obojętności narzeczonej, jak też o konieczności nieodwołalnej nie miłych zająć z maman w przyszłości; z tych względów uważałby za postępek niezgodny z honorem i sumieniem, gdyby, rozważywszy wszystko co wyżej wyluszczył, nie postanowił poświęcić swych uczuć i zwrócić Mimi danego mu słowa, prosząc, aby odtąd uważała się za zwolnioną od wszelkich względem niego zobowiązań. W końcu życzył jej wszystkiego, wszystkiego dobrego. W dopisku zawiadamiał książę, że natychmiast wyjeżdża do N., zkąd nieomieszka wysłać mebli i innych rzeczy Mimi, które już dawno wyprawili do N. rodzice Mimi, ażeby jak najprędzej gniazdko jej urządzić. W *post-scriptum* nareszcie książę pisał, że jeśli maman zechce sprzedać meble i zgadzi się ustąpić je za... (wymienił skromną cyfrę), w takim razie on, eks-narzeczonej, chętnie je nabędzie i natychmiast wyśle pieniądze.

Maman, krztusząc się z oburzenia, list ten przeczytała siostrom.

Ciocie pocieszały i uspakajały niepokieszoną.

— No, moja droga, może to wyjdzie na lepsze — odezwała się tante Sophie—szczerze mówiąc, nigdy mi się nie podobał... Byłam pewną, że z tego wszystkiego nic nie będzie.

— Nie, nie!... Nie trzeba tak stronnie sądzić—mówiła tante Marie. Ma on swoje zalety... Tylko, że jako nieco zepsuty, zdaje się, jest egoistą... No, nie bez tego, żeby nie myślał o karierze... To mogłyście zauważyć od samego początku. Przyznam się wam, że wówczas jeszcze, kiedy się dowiedziałam, że nieboszczyk zgodził się przyjść mu z pomocą w sprawie tego bataljonu,



powiedziała do męża: «mów co chcesz, *il y a du louché*».

— Niech go tam! — zakonkludowała tante Julie. Nie on jeden przecie na całym świecie. Mimi może znaleźć jeszcze daleko lepszą partję. Dobrze, że się wyniósł z Petersburga. Przynajmniej wszystko to się zapomni. Nie widzę powodu do rozpacz. Wierzajcie mi, nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.

I jakże nie powiedzieć, że wszystko zmierza ku lepszemu? Dzięki Bogu, Mimi znów jest narzeczoną, znów jej winszują... Teraz nietylko wyznaczono dzień, ale nawet «godzinę» ślubu, a godzina ta tak bliska, że przed domem stoi już kareta tante Julie, zaprzężona parą jej gniadoszów, które mają zawieźć Mimi do cerkwi «departamentu apanażów», gdzie już zgromadzili się zaproszeni goście.

A Mimi siedzi przy toalecie w swym różowym poikoiku panińskim, patrzy w lustro i pilnie przygląda się każdemu ruchowi rąk *coiffeura* Gustave'a, który trefi ładną jej główkę.

Na łóżku, którego różowe firanki są obecnie w niedładzie, leży biała suknia, woal i wianuszek kwiatów pomarańczowych.

## II.

Kiedy Mimi liczyła lat cztery, nie miała wówczas najmniejszego wyobrażenia o żadnej z popularnych piosnek, jakie śpiewają małe dzieci na całej przestrzeni jej ojczyzny, ale za to śpiewała już: «*il était une bergère*»... i «*Malbrough s'en va-t-en guerre*». Gdy siedm lat liczyła, Mimi bardzo ładnie szczebiotała po francuzku, zachowując nawet grassajację paryzką. Mademoiselle Victoire, jej bona, obeznała ją z francuzkiem

abecadłem i wyuczyła ją nadto kilku jeszcze nowszych piosenek francuzkich. Potem ofiarowano jej bajki Beraulta i Berquina, z których dowiedziała się o «Sino-brodym», o «Kocie w butach» i o «Oślejkówce».

Mimi podobną była do aniołka: delikatna jej twarzyczka, białe jak len włosy, gołe rączki, biała sukienka z szeroką przepaską—wszystko to składało się na słiczną całość. Trudno było się nią nie zachwycać i nie mówić jej otwarcie, że jest przesliczną dzieciną. A Mimi z wielką przyjemnością wysłuchiwała pochwał, spuszczała oczki, zgrabnie się kłaniała i wówczas już była mimowiednie kokietką.

Kiedy nieco podrosła i zwalczyła wszystkie trudności czterech «*conjugaisons*», nauczono ją czytać i pisać po rusku, po niemiecku i po angielsku i powierzono ją staraniom trzech nauczycieli: metra tańców, nauczyciela rysunków i kaligrafji, oraz metra muzyki. Ten ostatni zaczął od fortepianu, potem zawadził o arfę, nareszcie wziął się do skrzypiec, ale w żaden sposób nie mógł dobrać instrumentu i metody, które w wyrokach losu były zapisane, jako dla Mimi mianowicie przeznaczone. Po trzech latach tych prób bezowocnych zarzucono je zupełnie, gdyż, jak twierdzono, zdrowie Mimi na dalsze ich prowadzenie nie pozwala.

Nakoniec, ażeby uwieńczyć wykształcenie Mimi, oddano ją na dwa lata na pensję mademoiselle Doùdout, zkad przeniesiono ją wkrótce do mademoiselle Daudot, potem do jednego z instytutów renomowanych, a nakoniec próbowano zaszczyć jej zasady wyższe w jednym z «*cowent*» we Francji. Ile czasu w każdym z tych zakładów przebywała Mimi, czy nawet była we wszystkich, tego dokładnie nie pamiętam, ale to wiem z pewnością, że mamana nie chciała czy nie mogła ograniczyć się na «edukacji domowej» i umieszczała córkę to tu, to tam, starając się, ażeby jej było jak najlepiej.

Po ukończeniu, czy może tylko po przejściu pewnej części kursu (w większości wypadków panny Mimi nie kończą całkowicie kursów dla słabości zdrowia lub z powodu nieprzewidzianych okoliczności), Mimi wróciła do domu jako dorosła panna i włożyła długą suknię. Mimi była bardzo ładna, zgrabną i wydelikacaną. Umiała mówić i czytać po francuzku; nawet i pisać umiała na tyle, że dość łatwo, przynajmniej bez wielkich trudności, umiała napisać zaproszenie na filizankę herbaty i list do krawcowej. Na pensji uczono ją jeszcze czegoś, ale że to «coś» było jej zupełnie niepotrzebne, a zresztą nie ważne wcale i nie zajmujące, nic więc dziwnego, że Mimi to «coś» zapomniała.

Zresztą, powiedzcie państwo szczerze, czy ładna kobieta powinna się czegoś tam uczyć, oprócz języka francuzkiego? Na co się to jej przydać może? Czy jej dążenia, zamiary i cele, jej działalność nareszcie w sferze, dla której jest stworzona, wskazują choćby w pewnym stopniu na konieczność jakiejś wiedzy? Jeśli Mimi ma się ubrać, uczesać, jeśli ma ozdobić swoje mieszkanie, jeśli ma nawet pomyśleć nieco o jadłach i podaniu obiadów, śniadań i kolacyj—w tych wypadkach znajomość języka francuzkiego ułatwi jej stosunki z modniarką-francuzką, oraz z francuzami: fryzjerem, kucharzem i tapicerem, którzy nietylko rozkazy jej spełnić mogą, ale nadto—dzięki właśnie łatwości porozumienia się—mogą jej podsunąć dobrą myśl, radę... Jeśli Mimi ma «zająć» swych gości, w jakimże innym języku—powiedzciez państwo—można swobodnie, żywiej prowadzić rozmowę o pogodzie, o wysciągach, o teatrze?... Jeśli Mimi chce czytać, naturalnie rzeczy lekkie, przyjemne, któreby nie odrywały jej wyobraźni od przecudownego świata balów i kokardek, któreby nie wywoływały zmarszczek, nie rozbudzały myśli i serca, literatura francuzka zawsze poda jej do ręki niewielkie, ładne tomiki, może niezupełnie moral-

ne co do treści, ale za to ładnie drukowane i nadzwyczaj zajmujące. Któżby się jednak obawiał o moralność Mimi? Czy zły przykład mógłby na nią źle podziałać?

Może państwo sądzicie, że Mimi źle i mało się uczyła, że ona nie lubi książek. Ależ przeciwnie, Mimi «okropnie» lubi czytać. Po ubieraniu się i po wizytach Mimi nadewszystko na świecie lubi *chocolat mignon* i romansy francuzkie.

Niech państwo nie wyprowadzą z tego wniosku, że Mimi dlatego lubi romansy francuzkie, że nie jest patriotką, albo że zapomniała jak wygląda abecadło ruskie. O, nie. Mimi z chęcią czytałaby i ruskie książki, ale co czytać, co, kiedy nic nie ma, ale to nic a nie! Gdyby maman chciała nawet dać córce jaką książkę ruską, cóż możnaby jej w tym celu zarekomendować po za wypisami FILONOWA i GAŁACHOWA, które, ma się rozumieć, nie mogą zająć wyobraźni panny w tym wieku, kiedy się myśli o miłości, o wyjściu za męż...

Maman pewnego razu kwestję tę wszczęła przy sióstrach, a te ostatnie nietylko nic nowego nie umiały powiedzieć w tej materji, ale utwierdziły jeszcze maman w przekonaniu, że po rusku nie ma co czytać, a nawet nie ma najmniejszej tego potrzeby.

Tante Sophie powiedziała, że zaprenumerowała sobie «Swiat Mody» i bardzo tego żałuje, gdyż ruski «Swiat Mody» nie może wytrzymać najmniejszego porównania z wydawnictwami francuzkimi tego rodzaju.

Tante Marie otrzymywała «Otieczestwiennyja Zapiski» i wyznała otwarcie, że piszący w tym miesięczniku używają tak trywialnego języka, że inaczej ich nawet zrozumieć nie można, jak tylko z «dykcjonarzem» w rękę.

— Tyle się nasłuchiłam o tym Szczedrynie—mówiła tante Marie—tyle się nakrzyzczano: Szczedryn, Szczed-

dryn... że zaciekałam się... Mąż się nim zaczytuje! Otóż niedawno wiełam się do tego Szczedryna — i nic nie rozumiem! Nic, ale to *à la lettre* nic a nic!... Ciągłe o jakichś świniach, pomyjach... Powiedziałam o tem mężowi... Albo ja tak jestem głupia, że tego wszystkiego nie rozumiem, albo ten twój Szczedryn to lichy wie co!

Tante Julie czytywała «Russkij Wiestnik», i jakkolwiek przyznać musiała, że trafiają się w tym miesięczniku niezłe romansy, ale nie mogłaby polecać czytać je Mimi, gdyż w ostatnich czasach w każdym romansie zawsze socjaliści są na scenie... Komuż niewiadomo, do czego prowadzi znajomość z socjalistami?...

Otóż w ten sposób i ciotce zadecydowały, że Mimi nie potrzebuje czytać po rusku, wobec tego, że tyle doskonałych książek francuzkich istnieje na świecie.

Możnaby na to odpowiedzieć, że przecie są i pisarze ruscy. Przypuśćmy, że są. Ale cóż można dać Mimi do czytania?

Może «Obryw» Gonczarowa? «Przeddzień» Turgeniewa? «Burzę» Ostrowskiego? «Annę Karenin» hr. Tołstoja? Nareszcie Szczedryna «Gołowlów» lub «Karamazów» Dostojewskiego?

— Ale, czyście Mimi widzieli? Czyście widzieli tę niewinną istotę płci żeńskiej, tę Mirandę, która zesłała na nasz padół płaczu z obłoku lub z modnego obrazka?

Nie, moi państwo, niech już Mimi czyta sobie Octava Feuillet, którego czysty, jak woda źródłana, styl tak uspakaja, a poetyczni bohaterowie i bohaterki tak zabawnie, nerwowo kurczą fizjognomje wśród walki nienaturalnych swych namiętności z obowiązkiem, jakiego nie ma, nie było i nie będzie pod słońcem. Jeśli Octave Feuillet znudzi Mimi, znajdzie ona w literaturze francuzkiej niemało materiału. Niech czyta Ponson-du-Terrailla. Może zarzucicie, że to są bajki. Zgoda, ale za to są to bajki ciekawe, zajmujące.

Jakżeż to wesoło między jednym balem a drugim, między przymierzaniem nowej sukni a spacerem po nowe rękawiczki, odpoczywać na miękiej, niskiej sofie, w jasnym, różowym pokoiku, przystrojonym w figurki, bukiety, szkatułki i bonbonierki; ach, jakżeż to błogo — zjadać *chocolat mignon*, lub *chocolat praliné* i czytać Ponson-du-Terrailla! Czyż to nie wesoło biegać po rześście gazem oświetlonych ulicach Paryża, jeździć w wygodnym powozie dokoła jeziora lub kaskady w lasku bułońskim, słyszeć prawie ciągle to tu, to tam wystrzały pojedynkujących się, śledzić perypetje występnej miłości, ale pięknej, wzniosłej, rozbijając kajdany na rękach czarnych charakterów, nareszcie łączyć zakochanych... Czyż to nie pięknie?...

Wesoło — gdy serce z trwogi w piersiach zamiera, lub gdy z radości oniemal z piersi nie wyskoczy, z podniesioną nieco spódniczka, ale z gracją wielką, przebiegać nieznanne lupanary paryżkie, przedostawać się do buduarów modnych kokotek, chociaż myślą rozkoszować się na ich aksamitnych sofach, kapać się z nimi w mleku, w szampanie, ozdabiać się koronkami i brylantami, uctować, rozrzucać pieniądze na wszystkie strony, zakochiwać się sentymentalnie w jakim skromnie odzianym młodzieńcu, w jakim synu naturalnym, który w końcu występuje jako wice-hrabia, markiz lub nawet książe, a w każdym z tych wypadków jest miljonerem... O, niech to sobie będą bajki; ale w każdym razie nie są to tak ponure, straszne bajki, jak te swojskie, które tylko do snu mogą usposobić.

Mimi, w chwilach wolnych, pochłania tę literaturę i powoli się nią zatruwa. W tym precudownym okresie rozwoju, gdy poeta powiedziałby, że jest podobną do rozchylającego pierwsze listki pączka róży, do duszy i serca Mimi wkradają się obrazy Henryków, Armandów i Maurycyh.

Ten Maurycy nie jada, nie pije, nie doznaje i nie podlega żadnym niepoetycznym niedyspozycjom i słabościom. Autor, co najwyżej, pozwala mu od czasu do czasu lekko się zadrasnąć (rezultat któregoś z niezliczonych pojedynków), a zadrasnięcie to daje mu prawo do zjawienia się przed czytelniczkami z ręką na czarnym temblaku i z bardzo zajmującą bladocią na twarzy. Autor również nie pozwala mu zająć się czemś określonym, czemkolwiek bądź, tak, że zachwycający bohater cały czas swój i całego siebie poświęca miłości i kobietom.

Nie potrzebujemy dodawać chyba, że taki Henryk lub Maurycy jest naczyniem, pełnem wszelakiego rodzaju przymiotów i zalet; wybornie jeździ konno, doskonale pływa, strzela, zmusza do zakochania się w sobie wszystkie kobiety, jakie na drodze swej spotyka, zaćmiewa szlachetnością i odwagą wszystkich mężczyzn, na wsze strony rozrzuca pełne złota sakiewki i na tyle jest zawsze szczęśliwy, że co chwila zostaje właścicielem jakiegoś spadku. Tą drogą i w taki sposób jego maniere, jego postać, on sam nareszcie przedostaje się do serca Mimi, która, za przykładem innych ofiar bohatera — kocha go i marzy o nim.

### III.

A więc Mimi po ukończeniu instytutu, czy może tylko po opuszczeniu instytutu, co zresztą na jedno wychodzi, wraca do domu, staje się panną dorosłą i wkłada długą suknię.

Życie na wstępie łagodnie i zyczliwie się do niej uśmiecha. Mimi zaczyna być w świat «wprowadzoną». Mimi tańczy, bawi się... Po balach następują widowiska, po widowiskach koncerty, pikniki, przejażdżki...

W chwilach wolnych—czytanie, *chocolat mignon* i marzenie o «nim».

A maman tymczasem, która przeszła ciężką szkołę życia i wie doskonale, że «córka nie może całe życie jak motylek bujać po łąkach», dziś już rozmyśla o tem, jak najprędzej, najlepiej i najdogodniej zapewnić przyszłość Mimi. Maman marzy o mężu dla niej, ale o mężu bogatym, posiadającym stosunki i odpowiednie stanowisko, a gdyby to może być mogło, posiadającym oprócz tego wszystkiego — tytuł mniej lub więcej brzmiący i coś niecoś z zalet i majątku świetnych przodków. Mimi powinna zrobić «świetną partję». To przecie miała na celu cała jej edukacja. W przeciwnym razie po cóż było wyrzucać szalone pieniądze na naukę tańców i kaligrafji, na co było wozić dziewczynę zagranicę, na co ją oddawano na pensję mademoiselle Douduit? Proszę tylko choć w przybliżeniu obrachować, ile to musiało kosztować?... Niewątpliwie, rodzice Mimi mają prawo z dumą powiedzieć, że niczego nie żalowali, ażeby wychować i ułożyć swoją jedynaczkę.

Mimi doskonale zna już wszystkie najlepsze magazyny w Petersburgu; być może, że zna nawet magazyny Paryża, Wiednia i Londynu; umie wydawać pieniądze, umie się ubrać gustownie, nareszcie umie znaleźć się w towarzystwie. Teraz właśnie trzeba znaleźć dla niej męża, któryby dał możność Mimi wykazania w pełnym blasku wszystkich tych zalet i owoców edukacji, któryby mógł zapewnić jej odpowiednie *mise en scène*, oraz, naturalnie, któryby okazał się godnym do przyjęcia z rąk maman tej ciepłarnianej rośliny, ażeby ją przenieść na grunt życia małżeńskiego.

Mimi również marzy o czemś podobnem. Myśli i marzy jeszcze nieco o miłości, o Maurycym, ale wie już, że bądź co bądź najgłówniejszą rzeczą są — pieniądze, że bez powozu, bez «przyzwoitego» apartamentu i wielu

innych rzeczy, a głównie bez toalet, o miłości nawet marzyć nie warto.

Mimi wie, że jest panną na wydaniu, że jest narzeczoną, ale wie i to również, że jest jeszcze «dzieckiem», a dopóki jest «dzieckiem» — walcuje, uśmiecha się i kokietuje wachlarzem i niewinnymi oczkami.

...Okrutni to ludzie ci kanąydaci do małżeństwa! Oszukać ich nie sposób. Ach, gdyby Maurycy był pośród nich, ten umiałby się poznać na wartości Mimi i oceniłby ją należycie. Maurycy z pewnością wziąłby ją, nie zaglądając do pugilaresu papy. Ale gdzież go szukać, tego Maurycyego?..

A czas leci... China i żelazo należą już do niezbędnych lekarstw Mimi. Te bale, te noce bezsenne — wszystko to tak denerwuje, męczy.

I oto — przedstawcie sobie państwo, że następuje chwila, chwila straszna: pierwsza świeżość pączka róży znika. Mimi zaczyna chudnąć i brzydnąć; lekarz, który znudził się już zapisywaniem arszeniku, żelaza i pepsyny, wysłał pannę do wód zagranicznych; na wyjazd pieniędzy nie ma z kąd wziąć; krawcowe nie chcą zrobić na kredyt nawet najwycyżajniejszej sukni podróżnej... Dalej, wyobraźcie sobie państwo, że w takiej, już z natury swojej bardzo przykrej chwili, w rodzinie zdarza się nieprzyjemny a nieprzewidziany wypadek: zachorowuje ktoś z rodziców, nie bez skandalu otrzymuje papa dymisję, wskutku wykrycia czegoś tam, co niebardzo godzi się z prawem, umiera głowa rodziny, pozostawiając nędzną emeryturę i długi niespłacone... Wiele rzeczy może się zdarzyć... Zresztą niepodobna za nic ręczyć.

W życiu naszej Mimi wypadkiem takim była niespodziewana śmierć biednego papa. Papa przeniósł się

na tamten świat, pozostawiając żonie 1,500 rs. emerytury i długi, których ogół w ostatnich czasach wzrósł znacznie wskutek wydatków na wyprawę. Maman nie wiedziała co począć z temi wierzycielami, którzy nagle zewsząd się zjawiali. Księżę-naręczony zdradził, porzucił i za marne pieniądze nabywszy meble Mimi, znaku życia o sobie nie dawał. Później nieco maman dowiedziała się, że księżę ma się żenić z córką n—skiego gubernatora.

Położenie biednych kobiet pod każdym względem było nietylko przykre, ale poprostu okropne. W domu nie było literalnie ani kopiejki. Maman przeklinała księcia, który, jej zdaniem, «zrujnował» ich zupełnie.

Ciocie pocieszały, współczuły, ale pocichu zlekka ganiły postępowanie biednej maman.

— Ma się rozumieć, położenie Annette jest okropne — mówiła tante Marie — ale czyż można nie zgodzić się z tem, że sama sobie winna? Jakże można było robić taką wyprawę, wiedząc o stanie własnych interesów? W domu prawie nie ma czego do ust włożyć, a tymczasem dla Mimi sporządzają wyprawę jak dla jakiej księżniczki! Ciekawam, kogo chcieli tem zadziwić?..

— Ma się rozumieć, że same zawiniły — przytakiwała siostrze tante Sophie — ale bardzo mi szkoda biednej Mimi. Ona tak przyzwyczajona do wygod, do komfortu, a Bóg raczy wiedzieć co ją jeszcze czeka! Wszakże to wszystko tak się może skończyć, że Mimi będzie musiała zostać guwernantką.

— Dałam dzisiaj sto rubli — dodała tante Julie — ale nie mogę im dawać codzień po sto rubli. Gdyby porachować wszystko, co już odemnie wzięły...

Mimi oświadczyła, że żadnych prawie nie zaznała przykrości z powodu braku pieniędzy; po dawnemu miała

wszystkie «konieczne» toalety, jedwabne pończoszki, pochłaniała *chocolat mignon* i romanse francuzkie. Ale wiecznie rozdrażniona maman, jej płaczliwe skargi i prośby wobec siostr, ciągle sceny domowe z francuzkami, które dopominały się o pieniądze, musiały źle wpływać na młodą panienkę.

Mimeczkę napadały nudy, spleen panieński i kaprysy. Nie chciała zazywać żelaza, gdyż jej powiedziano, że żelazo psuje zęby, i z umysłu nie jadła specjalnie dla niej sporządzanych *beefsteaks'ów* z krwią, z umysłu nie jadła nic, oprócz *chocolat praliné*. Nie chciała czytać romansów, zarzuciła ręczną robótkę *frivolité*, nie chciała już chesać i kapać swego pieska, słowem, odrazu porzuciła wszystkie swoje zajęcia i oddawała się nudom. Teraz Mimi po całych dniach spoczywała na sofce, z rękoma założonemi pod głowę, lub całemi godzinami wpatrywała się w okno. Z powodu żałoby Mimi nigdzie nie bywała. Nudziła się! Prawde powiedziawszy, Mimi żałowała, że małżeństwo z księciem się rozchwiało. Nie dlatego, ażeby on się jej tak bardzo podobał, o nie! Wielu znajomych tancerzy podobało jej się daleko więcej... W dodatku powiedziano jej, że książe to «szubrawiec», a Mimi zgodzić się z tem musiała, gdyż przyzwyczaiła się wierzyć wszystkiemu co zawyrokowały *maman et les tantes*. Tak czy owak, Mimi żałowała bardzo, że nie wyszła za mąż. Ach, gdybyście państwo wiedzieli, do jakiego stopnia znudziły ją te wszystkie pytania, aluzje, a zwłaszcza wyrazy współczucia!... Znudziły ją też panieńskie białe i różowe sukienki, złote krzyżyki i sznurki pereł na szyi... Tak już były blizkiemi czepeczki, brylanty, aksamitne suknie, a daleką znów opieka maman, a tymczasem wszystko to znikło gdzieś i rozwiało się zupełnie!...

Mimi nudziła się, kaprysiła i pragnęła jakiegoś wyjścia z tego nieznośnego położenia, jakiejś zmiany.

Pragnęła jakiegoś wyjścia i maman, spędzająca noce na modlitwie, we łzach i marzeniach o nowym zbawcy-narzeczonem, o niespodziewanym spadku, o wygranu dwóchkroć stu tysięcy.

## IV.

Jakiegoż wyjścia z tego nieznośnego położenia mogła pragnąć Mimi? I cóż może dać życie biednej panie, liczącej lat dziewiętnaście? Niechże się na mnie Mimi nie gniewa za to, zem powiedział «biedna panna». Wiem, że te wyrazy dźwięczą niepięknie, przypominają coś o guwernantce, o telegrafistce... Zreszta, wyrazy te jakoś nie przystają do ładnej panny w palotociku od Brisac i w kapeluszu od madame Bertram. Ale... powierzchowność często myli... Mam nadzieję, że i Mimi nie zechce, mimo wszystko, przeczyć, że jest panną bez posagu i przystojną, nawet ładną, zgrabną i miłą młodą, osobą *qui n'a pas le sou*.

A więc, czegoż spodziewać się może od życia młoda osoba, licząca lat dziewiętnaście, ale bez majątku?

Wyjść za mąż za takiego jak sama biedaka, przypuścimy nawet młodego, szlachetnego, energicznego i kochającego, nareszcie godnego miłości i szacunku, ale nie posiadającego ani domów, ani majątków ziemskich, ani akcyj, ani obligacyj, nie mającego żadnych innych źródeł dochodu oprócz własnej pracy... Pokochać tego człowieka, zostać jego żoną, przyjacielem i pomocnikiem, skłonić piękną główkę na jego ramię, z ufnością oprzeć drobną i delikatną rączkę na jego mocnem ramieniu i ręka w rękę iść z nim po drodze życia, oświecając mu tę drogę i uczuciem go rozgrzewając?... W skromnym kąciku pracownika ukryć swoją piękność, młodość, grację, zapomnieć o sobie wśród ciągłych sta-

rań o ukochanym i stać się treścią i celem życia tego człowieka?...

Ale przepraszam... Wszak mówimy wyraźnie, że ten młody człowiek nie ma innych dochodów, ani nawet źródeł dochodu po za własną pracą. Przypuśćmy, że młody człowiek zarabia wiele, przypuśćmy, że nawet dochody jego wystarczają na to, ażeby Mimi nie potrzebowała się ubierać w staromodne suknie, jak jaka nędzarka. Ale—wszak to możliwe?—jeśli on umrze, z czemże Mimi zostanie? Gdyby to był człowiek już w pewnym wieku, mógłby jej przynajmniej pozostawić emeryturę, ale młody, no, powiedzcież państwo sami, co młody może zostawić? Dzieci, najprawdopodobniej... Dokądże się Mimi uda, co pocznie z temi nieszczęsnymi dziećmi? Nie zapominajmy, że w spadku nic nie otrzymają, ani domów, ani akcyj, ani majątku, nic, nic, oprócz własnej pracy... Musicie się państwo na to zgodzić, że praca jest to taki kapitał, z którego procentów Mimi jako tako może jeszcze korzystać, dopóki ten kapitał jest w ręku męża, ale niech tylko mąż ten umrze, kapitał będzie musiał przejść do jej własnych rączek, a wątpię czy Mimi byłaby z tego spadku zadowolona.

Nie sądzicie państwo jednak z tego, ażeby Mimi była znów bardzo leniwą, chciwą i pozbawioną serca. Być może, że Mimi chciałaby nawet pokochać i poświęcić własne wygody dla ukochanego. Czyż to nie ona marzyła o Maurycym? Ale Mimi mogłaby ponieść taką ofiarę w takim tylko razie, gdyby spotkała młodego człowieka... no, dajmy na to, chociażby takiego, jak «*le jeune homme pauvre*» Octawjusza Feuillet. Przypominacie sobie państwo zapewne, jak ten biedak umierał z głodu i gryzł pączki i liście tuileryjskich platanów, po wydaniu ostatnich pieniędzy na pachnące mydło, cukierki i obrazki dla swojej siostry. Już ten jeden rys, jakże go pięknie przedstawia! Czyż serce ko-

biety może być głuche na taką wspaniałomyślność, na taką dobroć bez granic! A jakże pociągają eleganckie maniere tego «*jeune homme pauvre*», jego takt wielkowswiatowy i wykształcenie? Mimowoli uczuwa się to, że on tylko przybrał kostjum «*d'un jeune homme pauvre*», a gdy koniec intrygi się zbliży, zrzuci drewniane saboty i słomiany kapeluszek skromnego rządcy i wówczas się dopiero okaże, że jest bezporównania bogatszym od swej narzeczonej.

Czyż Mimi wahałaby się choć chwilę w pokochaniu go? Ależ ani jednej chwili! Ale zgódźcie się państwo, że nie tak łatwo pokochać młodego człowieka, który nigdy żadnego spadku nie dostanie, który nie nosi rękawiczek, być może, że nawet nie umie po francuzku, albo jeśli mówi, to okropnie brzydko, bez żadnego akcentu, który jest przekonany, że kobieta powinna poważnie się uczyć i pracować, który lekcjami zapracowuje na kawałek chleba, albo oddaje się literaturze dla zarobku, a nawet gorzej jeszcze, który jest pisarzem w jakim kantorze lub agentem jakiej drogi żelaznej, czemś w rodzaju palacza (wszak bywają nawet i tacy młodzi ludzie!). Zgódźcież się państwo narreszcie, że jeśli Mimi wyrzeka się powozu i koni, ładnego mieszkania, *swego* kółka znajomych, balów, Brisaca i Bertrama, jedwabnych koszul, nawet *chocolat mignon* i romansów francuzkich, w takim razie człowiek, któremu to wszystko poświęca, powinien na poświęcenie to w jakibądź sposób zasłużyć. A nasi młodzi ludzie tak są, *passer le mot*, nieoskrobani, nie-delikatni i *d'un terre-à-terre!* Cóż więc w takim razie jest w nich pociągającego?

Krótko mówiąc, piękna Mimi, ubogi nie może liczyć na twoje względy. Zresztą i mamany nigdy nie pozwoli ci «płodzić nędzarzy», jak zwykła mawiać... A mamany doświadczona i wie co mówi. Mamany wie doskonale, czem życie przy małych dochodach!

Inna perspektywa: odłożyć na czas nieograniczony, a to znaczy na zawsze nadzieję, że kiedybądź męża się posiedzie i pogodzić się z myślą pozostania na wsze czasy starą panną. (I na to miałyby się zgodzić ładna Mimi, która już od siódmego roku życia wiedziała w czym jej do twarzy i płakała, jeśli jej związywano warkoczyk nie tą wstążeczką, którą wybrała?)

Ale przypuśćmy, że się to stanie. Przypuśćmy, że Mimi rzeknie się wyjścia za męża. Z czegoż żyć w takim razie, z jakich środków istnieć, jeśli, Boże uchowaj, umrze maman (a maman przecie musi koniecznie kiedyś umrzeć), i nikt już nie będzie myślał o toaletach Mimi, ani o jej obiadach, nikt nie będzie sprzedawał i zastawiał rozmaitych rzeczy, układał się z wierzycielami, pożyczał i ze łzami wypraszał pieniądze od krewnych i znajomych. Mimi—przecież to dziecko, zginie bez opieki... Czyż pracą ma na siebie zarabiać? Własnymi rękoma miałaby na kawałek chleba zapracowywać? Miałaby zostać kobietą-lekarzem, kobietą-kasjerem, buchalterem?... Ależ Mimi o czemś podobnem nie myślała nigdy! Nie dlatego wcale dano jej staranną edukację i ułożenie!

O medycynie nie mówmy nawet. Na myśl samą, na samo wspomnienie niewinnie spuszcanych oczek Mimi, nie mam odwagi zaproponować jej takiego nieprzyzwoitego zajęcia, jak uczenie się anatomji. A jej nerwy!... Powinniście państwo wiedzieć, że Mimi jest tak bojaźliwa, iż co wieczór, przed udaniem się na spoczynek, musi ze świecą w rękę zajrzeć pod łóżko, pod fotele i krzesła, ażeby się przekonać, czy nie schował się tam Rocambol, sir Williams lub inny jaki straszny nędzarz. Mimi zagląda nawet do pieca... Mimi wszystkiego, literalnie wszystkiego się boi! W jakiz więc sposób możnaby ją przyzwycząić do widoku cierpień, krwi, śmierci?...

Niemniej bezsensownem byłoby żądanie, ażeby Mimi miała zostać urzędnikiem, chociażby naprzykład w zarządzie jakiej drogi żelaznej. Wyobraźmy ją sobie w pokoju zastawionym stołami i biurkami, przy których siedzą obcy mężczyźni. Ale wszyscy co do jednego zakochają się w niej, zaczną jej nadskakiwać i starać się o jej względy!... Zresztą, jak można wymagać od Mimi, ażeby mogła siedzieć w jednym pokoju z mężczyznami od dziesiątej rano do piątej popołudniu... Że to byłoby rzeczą bardzo nieprzyzwoitą, na to chyba zgodzą się wszyscy! Nie sądźcie państwo jednak, że Mimi nigdy w życiu nie siedziała w jednym pokoju z mężczyznami. Mimi nawet walcowała w ich objęciu, przy czarujących dźwiękach modnych walców, które produkowali Rosenberg, Schmidt albo Alquist. Jeśli mam prawdę wyznać (ale to pod sekretem), młody oficer gwardji nieraz całował ją w kąciku i przed i po «oświadczeniach». Ale, po pierwsze, Mimi nikomu o tem nie mówiła, oprócz swej przyjaciółki, mademoiselle X i Duni, pokojówki, tak, że maman, a zresztą nikt, nikt, nawet nie podejrzewa czegoś podobnego; a powtóre, wszakże on był jej narzeczonym. A nakoniec, gdyby nawet wszyscy, którzy z Mimi tańczyli, całowali ją—nie przeczę, byłoby to niepięknie, bardzo nawet niepięknie, ale w każdym razie, zdaje mi się, że byłoby to mniej nieprzyzwoitem, aniżeli siedzenie po całych dniach w jakimś biurze lub kantorze. Wszyscy ci tancerze byli to ludzie z jej świata, ludzie, którzy bywali u jej znajomych, a któż zna tych panów, co siedzą w kantorze, jacy oni są?... Może to jacy żydzi, mieszczenie... A któż może zareczyć, że i tam nie będą całować Mimi?... Wszak to jeszcze dziecko!...

Może Mimi mogłaby dawać lekcje, *courir le cachet*? Ale jakie lekcje? Czego miałaby uczyć? Czy języka francuzkiego? Mimi przeczytała Ponson-du-Teraila i spółkę, przeczytała i Bellota i Malota, przeczytała



Octava Feuillet i Dumas fils'a, ale o gramatyce ma bardzo niejasne pojęcie; a od nauczycielki wymagana jest znajomości gramatyki. A przytem, dawanie lekcyj pociąga za sobą bieżącą po ulicach, a więc narażanie się na opinię Bóg raczy wiedzieć jaka... Biedna Mimeczka tak jest miła, tyle ma w sobie kobiecości, że jeśli tuż przy niej nie kroczy dama do towarzystwa, a za nią lokaj, można ją przyjąć za... no, Bóg raczy wiedzieć za kogo.

Mimi nie umie szyć ani też nie ma pojęcia o kroju, tego jej nie uczono; a zresztą, przecież nie zostanie szwaczka! Mimi umie tylko wycinać abazury i robić *frivolité*. Ale ani jedno ani drugie nie daje zarobku.

Słowem, rzecz jasna, że wszystkie te gawędy o pracy kobiet, o ich samodzielności, są próżną gadaniną. Na co tu mędrkować, skoro powołanie i obowiązki kobiety wskazał sam Pan Bóg i natura. Kobieta powinna być żoną i matką, towarzyszką i przyjaciółką mężczyzny, z którego zebra dla niego, dla tego mężczyzny, została stworzona. A więc, piękna Mimi, dlatego właśnie wyczekuj, szukaj i łap sobie narzeczonego, ma się rozumieć, pewnego i pod materialnym względem «zabezpieczonego». Oto jest właśnie trzecia perspektywa, trzeci (i zdaje się jedyny i możliwy dla ciebie, piękna Mimi) sposób wyjścia z twego obecnego położenia.

Są na świecie ludzie, których los sam przeznaczył dla Mimi, dla młodej panny biednej, ale w dostatkach zepsutej i nieprzyzwyczajonej do odmawiania sobie przyjemności. Narzeczeni tacy bywają dwóch kategorii. Są to albo bogaci starzy kawalerowie, którzy w burzliwej młodości roztrwonili siły, zdrowie, rozum, uczucie, wszystko, oprócz pieniędzy łatwo nabytych; tacy ludzie próbowali i kosztowali wszystkiego, co tylko dać im mogły pieniądze, oprócz posiadania «własnej», niewinnej, młodej i ładnej żony, której nabycie za zbyt późne nigdy nie uważają. Albo też są to starzy kawa-

lerowie, wręcz odmienni od pierwszych, rozpoczynający karierę od nędzy i odmawiania sobie wszystkiego, nieśmiali, wyrachowani, ludzie, którzy w młodości nie zaznali żadnych przyjemności, ale za to wszelakimi drogami zebrali kapitał i dochrapali się nareszcie upragnionej rangi, stanowiska i wieku, jaki sami sobie wyznaczili dla ożenienia się z młodą i ładną panią.

Niebo wysłuchało łez i próśb mam i zesłało jej pana Spirydjona. Za pośrednictwem cioci i znajomych prowadzone są swaty, urządzaną jest wystawa towaru, a wszystko to, ma się rozumieć, ma jak najpiękniejsze pozory.

Pan Spirydjon może być głupim lub rozumnym, dobrym lub złym, nareszcie moralnym lub niemoralnym—wszystko to są odcienia nieważne; ważnem zaś i niewątpliwem jest to, że jest człowiekiem poważnym, w pewnym już wieku, doświadczonym, że ma być zapewniony, łysinę, cierpi na katar żołądka, doznaje ataków reumatyzmu, a nawet podagry...

A więc za niego iść za mąż? Maman jest stroniczką pana Spirydjona. Mimi, wierz mam i słuchaj jej rad: maman jest rozsądniejsza i bardziej od ciebie doświadczona, maman zna życie i jego wymogi. A ty, piękna Mimi, cóż ty znasz? Romanse?... «*La vie n'est pas un roman*», mówią ci ciągle; wkrótce przekonasz się sama, że to święta prawda.

I Mimi zgadza się, kokietliwie uśmiechając się na widok pana Spirydjona i zgóry, na kredyt niejako, tupiąc nóżką, pod której zgrabnym trzewiczkiem ma zamiar umieścić swojego małżonka.

## V.

Swaty odbyły się w ten sposób.

Tante Julie w czasie wolnym od wizyt, winta i opery, gdzieś wynalazła pana Spirydjona i zaznajomiła

się z nim. Kiedy już ostatecznie przekonała się, że jego majątek w guberni kurskiej nie jest zastawiony, i zapewnia dochody do pozazdroszczenia, oraz gdy niemniej skrupulatnie rzecz zbadawszy, przekonała się, że pan Spirydjon nie żyje bynajmniej na serjo w bliższych stosunkach z żadną kobietą (jeśli nie rachować niemłodej już baletnicy, do której przywiązany był siłą przyzwyczajenia, oraz czworgiem wcale niebrzydkich dzieciaków), wówczas napomknęła o nim mamam, że, zdaje się, ma na widoku «coś» dla Mimi odpowiedniego.

Mama natychmiast pojechała do kościoła i zakupiła mszę.

Wkrótce potem tante Julie rozesłała swoim znajomym zaproszenie na wieczór tańczący. Maman ostrzeżono, że pan Spirydjon będzie na tym wieczorze. Dla Mimi sporządzono przesliczną toaletę *crème*, która w zupełności zasługiwała na to, ażeby ją opisano w jakiej «*chronique de l'elegance*». Toaleta udała się znakomicie, a zebrani goście umieli ją ocenić. Był to pierwszy występ Mimi w ciągu bieżącej zimy: żaloba tylko co się skończyła. Gawędy o tak niespodzianie zerwanem jej zamążpójściu i o bardzo brzydkim postąpieniu narzeczonego jeszcze nie zostały złożone w archiwum zapomnienia i przechodziły z ust do ust z dodatkami i ozdobami. Bądź to dlatego, bądź też, że tego wieczora Mimi była bardzo ładnie ubrana, dość, że wszyscy więcej jak zwykle na nią zwracali uwagi. Wszyscy, jak gdyby się zmówili, zachwycali się nią i prawili komplementy. Mimi więcej od innych tańczyła, była ożywioną i stanowczo była królową wieczoru.

Siadając na krzesło, po tourze walca, od którego w główce jej się zakreśliło, chwytając oddech i czerwieniąc się zlekka, Mimi odczuwała wszystkie zachwycone nią spojrzenia, a ta pewność powodzenia jeszcze piękniejszą ją czyniła.

Pan Spirydjon grał w karty; ale przed kolacją i on zjawił się w sali, a stanawszy we drzwiach, przypatrywał się tańczącym. Mimi wpadła mu w oko; więcej nawet — podobała mu się bardzo. Dodać należy, że pan Spirydjon tego wieczora był w dobrym humorze, a i to także, że wygrał w karty. Jako stary kawaler, pan Spirydjon skorzystał z prawa głośniego i szczerego wyrażania swych myśli *à propos* gracji i piękności tej ślicznej laleczki, a nawet wyraził myśl, że jeśliby mógł otrząsnąć z siebie chociażby tak z piętnaście laetek, w takim razie, natychmiast, nie namyślając się ani chwili, oświadczyłby się o jej rękę.

Maman, która cały wieczór bacznie śledziła każdy ruch pana Spirydjona, podchwyciła te nieco nieostrożne wyrazy, a w sercu jej odżyła wielka i słodka nadzieja.

W mazurze, idąc za radą tante Julie, Mimi wybrała stojącego we drzwiach pana Spirydjona i przeszła z nim po sali, wzbudzając zachwyt ogólny. Wszyscy, patrząc na nich, uśmiechali się: czy z tego, że pięknej Mimi przyszła do głowy fantazja, ażeby wybrać takiego starego i brzydkiego kawalera; czy z tego, że pan Spirydjon, nie bacząc na wiek, rangę i początki astmy, puścił się w tany, nie umiejąc tańczyć; czyli też poprostu goście tante Julie przejęli się jej zamiarami i już teraz w tej parze witali przyszłych naręczonych — tak czy owak, ale wszyscy uśmiechali się i cieszyli patrząc na nich. Uśmiechał się nawet i pan Spirydjon, oblewając się potem i oddychając jak parowóz; uśmiechała się i eteryczna Mimi.

Przy kolacji posadzono ich obok siebie. Miły pan Spirydjon — otwarcie i z pewnym niepokojem uprzedziwszy tante Julie, że nie jest przyzwyczajony do towarzysztwa «porządnych» kobiet, a w szczególności młodych, niewinnych panienek, usiadłszy obok Mimi, zachwycał się nią, nadszkwiał i przesadzał się w grzecznościach, starając się ją bawić, jak bawią małe dzieci,

chcąc się im przypodobać. Pan Spirydjon o mało, że nie mówił «a ku-ku», «tpru» i «baj-baj», chcąc usilnie odezwać się w tonie właściwym, ażeby to piękne dziecko mogło go zrozumieć.

A Mimi, ozywiona tańcami i winem, uradowana że jest emalowana przez tego śmiesznego, starego generała, była rozpromieniona i, co nie leżało w jej naturze, mówiła bardzo wiele.

Mimi powiedziała panu Spirydjonowi, że bardzo lubi tańczyć, że ubiegłą zimę przepędziła w towarzystwie nudów, gdyż nie bywała nigdzie z powodu załoby po papie; ale za to teraz dopiero wytańczy się!... Potem Mimi przyznała się, że bardzo lubi małe pieski i że miała taką śliczną suczkę—maleńką, malusieńką; nazywała się «Fromfreluche»—ale już jej nie ma, chorowała i zdechła! Mimi cały tydzień płakała. Było to największe nieszczęście w jej życiu. Ach, jak ona lubiła tego pieska! A teraz tante Marie dała jej innego pieska. Trochę większy, ale i ten śliczny! Nazywa się «Turlurette»... Mimi nauczyła go już służyć.

Pan Spirydjon wznosił kielich za zdrowie «Turlurette»... Mimi śmiała się, kokietowała, piła szampańskie, trącąc się kieliszkiem z panem Spirydjonem, i błyszcząc zlekka zamroczonemi winem oczętami, otwarcie się przyznawała, że nigdy, ale to nigdy jeszcze nie była tak wesoła!

A mamana spoglądała na nich zdaleka i była zachwyconą.

Nazajutrz rano mamana pojechała do tante Julie w celu porozumienia się. Panie obszernie rozmawiały i o majątku w guberni kurskiej, i o baletnicy z jej dziećmi i o wczorajszym zachowaniu się pana Spirydjona. Postanowiono atakować go poważnie, według

wszelkich przepisów niewieściej strategii. Tante Julie wspianałomyślnie obiecała swoją pomoc i tak zręcznie sprawą pokierowała, że w niespełna dwa-trzy tygodnie biedny pan Spirydjon był ostatecznie obłożony, otoczony ze wszech stron... Pozostawało tylko wyznaczyć dzień ślubu.

Mamana nie posiadała się z radości. Dawniej — to nie ulega wątpliwości — marzyła mamana o czemś bardziej świetnym; ale teraz, wobec ich okropnego położenia, bez wyjścia, po tylu i tylu nieprzyjemnościach z pierwszym narzeczonym, pan Spirydjon był takim skarbem, jakiego nawet nie spodziewano się już znaleźć. Zresztą, szczerze mówiąc, dlaczegoż z pana Spirydjona nie ma być narzeczony dobry, zupełnie dobry narzeczony? Jest generałem, bogaty, zdaje się, łagodny, dobry... Tylko ta baletnica i jej dzieci!... No, ależ trudno przecie żądać, ażeby wszystko składało się bez ambarasu! Trudno, żeby nie było czegoś. Jeśli tylko pan Spirydjon nie będzie tracił pieniędzy na tę baletnicę i jej dzieci, toć, prawdę powiedziawszy, Mimi nie ma najmniejszego powodu do zwracania uwagi na te tam dawne grzeszki pana generała.

I mamana i Mimi siły traciły na gromadzeniu przygotowywaniu wyprawy. Pan Spirydjon prosił o spieszenie ślubu, a przecież trudno było wymagać, ażeby taki poważny człowiek miał długo czekać, jak jaki młokos! Zresztą i to dodajmy, że mamana zbyt długo męczyła się z pierwszym narzeczonym, ażeby nie pragnąć teraz kuć żelaza, póki było gorące.

Główne artykuły wyprawy — bielizna, futra i srebro — były już: pozostały z dawniejszych czasów. Trzeba było tylko wypruć koronę książęcą. Ale suknie trzeba było po części przerabiać, po części sprawiać nowe. W okresie szesnastu miesięcy, jakie dzieliły pierwszego narzeczonego od drugiego, moda szybkimi krokami postąpiła naprzód. Ciocie i wujowie, po nara-

dzie, dali Mimi nowe podarunki ślubne. Nie skąpił też darów i pan Spirydjon. Wszystko składało się jak najpiękniej. Maman była w siódmym niebie. Mimi połykała arsenik, piła pirofosfowo-żelazną wodę, przymierzała nowe suknie, przyjmowała gości, składających jej życzenia, i bezustanku otwierała i zamykała pudełka od Vaillanta, Arndta i Bostela, zachwycając się brylantami, szafirami i szmaragdami, jakie u stóp jej składano w ofierze.

Wszyscy się cieszyli, patrząc na jej szczęście; wszyscy serdecznie jej życzyli wszystkiego, wszystkiego dobrego i chórem jednoznacznym powtarzali: «No, dzięki Bogu, dzięki Bogu!»

## VI.

I oto oznaczono nietylko dzień, ale nawet godzinę ślubu...

Mimi już uczesana. Gustave opuszcza pokój, odpowiednio uhonorowany. Mimi kładzie suknię ślubną, przybraną girlandami i drobnymi bukietkami kwiatów pomarańczowych. Suknia ma długi *traine*. Cała z ciężkiego białego jedwabiu, podszyta atlasem prawdziwym ljońskim. Prześliczna suknia sprowadzona wprost od madame Lesserteur. Mimi przymruża oczki, z pewnym niepokojem przeglądając się w lustrze. Stanik prześliczny, czarujący!

Teraz kolej na welon i kwiaty. Monsieur Gustave znów się zjawia i zabiera się do pracy. Ze wszystkich stron pila go. Drużba, zdaje się, już przyjechał. Tak, tak, to on, tylko co przyjechał... Narzeczony już w kościele... Czas już, czas!

Zaraz, zaraz Mimi będzie ubrana. Patrzę na nią i mimowoli opanowywa mnie jakiś niepokój, mimowoli myślą wyprzedzam nieco wypadki i widzę już rzesiście

oświetlony kościół, w którym liczne grono świątecznie przystrojonych krewnych i znajomych rozmawia i ogląda się wzajemnie, oczekując na zjawienie się panny młodej; widzę i pana Spirydjona, przybranego we wszystkie orderzy, od których aż blask bije, widzę jego błyszcząca łysinę i nowe epolety.

Wtem zgromadzenie poruszyło się, jak gdyby się zakolysało: rozmowy milkną, wszystkie głowy zwracają się ku drzwiom głównym. Na chórze odzywa się pieśń uroczysta—i Mimi staje we drzwiach kościoła. Wujaszek Theodore, przystrojony we wstęgę orła białego, prowadzi ją pod rękę po miękkim dywanie. Ach, jaka ona piękna! Przysięgam, że nigdy jeszcze kwiaty pomarańczowe i biała tiulowa zasłona nie upiększały piękniejszej, bardziej zachwyty godnej, czarującej główki.

«Przyjdź, Duchu święty»...

A czy ty wiesz, gołąbko moja, dokąd ty kroczysz, co ciebie czeka jutro, pojutrze... w przyszłości? Pomyśl, Mimi, pomyśl, dziecię moje, dopóki jeszcze można, czy nie lepiej się zatrzymać, czy nie lepiej wrócić się i kościół opuścić?

Dlaczego?... O czemże tu teraz rozmyślać, nad czem się zastanawiać? Wszystkie tak za męża wychodzą. Wszak trzebaż raz w życiu na krok ten się zdecydować? Wszak trzeba! Boć i cóż innego Mimi ma z sobą zrobić?!...

— Aleś ty blada, Mimi! Spuszczasz oczy, a świeca zlekka drży w twojem ręku... Boisz się? Może się wstydzićs?...

— Nie... nie... ale jakoś mi przykro... niedobrze... W kościele nieco chłodno... A może to stanik zbyt obcisły... Coś dziwnego, nieprzyjemnego... Ach, po cóż wszyscy tak ciekawie się wpatrują!...

Ależ to sen chyba, widzenie! Mimi jeszcze nie pojechała do kościoła. Mimi w tej chwili w swoim pokoi-

ku stoi przed wielkiem lustrem i nie może oderwać oczu od nowej sukni.

Toaleta już skończona całkowicie, do najmniejszych szczegółów. W welonie i kwiatkach nadzwyczajnie do twarzy pannie młodej. Naturalnie, wszyscy są tego zdania i wszyscy jej to mówią; ale Mimi nie uśmiecha się już jak dawniej, dość obojętnie... Mimi nieco się zaczyna niepokoić. Na jej policzku ukazują się różowawa plamka, ręka drży zlekka. Czyż jej zimno? Dlaczego?

Niepokoją się i wszyscy ją otaczający. Panna służąca, Dunia, wykrzywia ładną buzię, polykając łyżę. Luluszka *vel* Turlurette szczeka i piszczy, obrażona, że ją odpędzają od Mimi. Pannę młodą otaczają, oglądają ze wszystkich stron, poprawiają na niej suknię, woal, podają perfumy, rękawiczki...

Czas już, Mimi, czas! Przejdź teraz do sali... trzeba cię jeszcze pobłogosławić... Pan młody już w kościele... Spiesz się!... Czekają wszyscy...

Spojrzyj, Mimi, po raz ostatni na swój pokój paniński, spojrzysz na swój różowy pokój, w którym jaśdłaś *chocolat mignon* i czytałaś francuzkie romansy — i pożegnaj go!.. Już do niego nigdy nie wrócisz. Czegoż spodziewasz się od nowego życia i co ci ono zaofiarować może?

Pobłogosławiono Mimi. Maman uroniła kilka łez, całując córkę.

— Mimi, czyś może niezdrowa?

— Nie, nie... to nic.

Mimi schodzi ze schodów. Przy drzwiach na ulicy stoi już grupa gapiów: zapłakana Dunia, kucharka, służba sąsiadów, ludzie obcy...

Tante Julie, chłopczyk ze świętym obrazem i panna młoda wsiadają do karety. Lokaj zatrzasnął drzwiczki i wskoczył na kozioł.

Wkrótce kareta znika na zakręcie ulicy Litiejnej. Bądź zdrowa, Mimi; bądź szczęśliwa!...

Może spodziewałaś się, Mimi, że pójde za tobą do kościoła i dalej, dalej... O, nie, widzów na twem weselu i bezemnie aż nadto wielu. Spójrz tylko na ten tłum ludzi, który gromadzi się, za zezwoleniem policji, na szerokim trotuarze Litiejnej ulicy, wzdłuż długiego szeregu karek. Spójrz-no, Mimi, na te szwaczki, panny służące, młode i stare kobiety, które niechcący podczas twego ślubu znalazły się w tem miejscu; nie mogą one w żaden sposób oprzeć się pokusie podziwiania orderów i epoletów twoich wujaszków, jasnych, eleganckich toalet twoich tantes, a głównie muszą się ciębie doczekać, Mimi, ciębie, ażeby choć jednym okiem zerknąć na pannę młodą.

One na ciębie, Mimi, czekają... Czy widzisz, jak się unoszą na palcach, jak wyciągają szyje w chwili gdy się zbliżasz. Może one coś tam o tobie wiedzą; być może, że ta czy tamta babina w salopie opowiada teraz innym najprawdziwsze a może i najfałszywsze o tobie wiadomości; być może, że patrząc na ciębie wzruszają z politowaniem ramionami; być może, że rozmawiają temi samemi wyrazami, które podsłuchał wielki twórca «Anny Karenin»:

«Jaka ładna ta panna młoda, jak owieczka ofiarna! Mówcie co chcecie, a szkoda nas, szkoda!»

## II.

### Mimi u wód.

— Mimi chudnie, Mimi blednie, Mimi się nudzi...

Maman trwoży się i niepokoi; pan Spirydjon stęka i chmura na czole jego osiada; *baby* kaprysi i krzyczy w niebogłosy...

Tak w ogólnych zarysach przedstawia się ustrój życia Mimi — a przecież zaczęło się było tak doskonale!...

Wprost prawie z kościoła państwo młodzi wyjechali zagranicę. Doktorzy już oddawna wysyłali pana Spirydjona do wód, a jeszcze przed spotkaniem Mimi po raz pierwszy, pan generał postanowił w tym roku stanowczo udać się zagranicę. Niespodziewane małżeństwo nie zmieniło jednak tego projektu i pan Spirydjon wziął urlop na całe trzy miesiące. Młodzi małżonkowie udali się do Vichy.

Podróż odbyli, jak się tego można było spodziewać, z komfortem, na jaki stać było pana generała. Pan Spirydjon w czasie podróży okazał tyle dobrych chęci, tak się starał i dogadzał Mimi, że ta ostatnia musiała przyznać, iż z generałem daleko lepiej podróżować niż z mamą.

Prawdę powiedziawszy, po przybyciu do Paryża, Mimi była bardzo zmęczoną, a głównie zdenerwowaną, ale to tak zdenerwowaną, że cały dzień płakała i rozmyślała już nad tem, czy nie odebrać sobie życia, gdyż zdawało się jej, że nic już więcej od życia spodziewać się nie może. Paryż był ponury, straszny, obrzydliwy... Słońce skryło się na długo. Deszcz padał, padał bezustanku. A ona płakała, płakała... Łzy te, ma się rozumieć, źle podziały na pana Spirydjona, ale cóż mógł on poradzić?... Deszcz—więc deszcz! Taka widać była wola Boska... Pan Spirydjon po całych dniach bębnił palcami po stole i gniewał się na służbę.

Ale kiedy państwo młodzi przyjechali do Vichy, gdzie na ich przybycie oczekiwało zgóry zamówione i przygotowane mieszkanie z balkonem na bardzo ruchliwy bulwar, kiedy zjedli smaczny obiad w tem jasnym, wesołym mieszkanku, i kiedy, nakoniec, rozpakowali kufry i walizy—znów wszystko przedstawiło się w wesołym świetle. Mimi przekonała się, że pomimo wielu

przykrości, żyć jednak jeszcze można, a może nawet będzie jeszcze przyjemnie, może i bardzo przyjemnie. Mimi otarła łzy i zajęła się rozkładaniem i rozwieszaniem nowych sukien.

Potem posłali po doktora. Wkrótce zjawił się młody, czarnooki francuz, przystojny, bardzo rozmowny. Ach, jakże on mówił po francuzku — Panno Najświętsza — jak on mówił! Ale cóż to dziwnego, że doktor tak mówił i był taki grzeczny! Wszyscy, literalnie wszyscy, zaczynając od siwowłosego właściciela tych *chambres garnies*, a kończąc na Josephie, czteroletnim malcu portjera, wszyscy byli grzeczni, przyzwoici, żywi i weseli... Mimi zdawało się, że nie opuszczała rodzinnego miasta. Aptekarz, do którego państwo młodzi zaraz po przyjeździe zaszli po rumbardum i magnezję, był jak dwie krople wody podobny do *jeune premier* z teatru Michel, tak że Mimi nawet zczerwieniła się gdy pan Spirydjon, otrzymawszy już magnezję, zaczął rozpytywać się jeszcze o jakieś przyrządy... A listonosz był bardzo podobny do znajomego *coiffeura* z Wielkiej Mor-skiej ulicy.

Pan Spirydjon natychmiast i z oddaniem się tej sprawie zabrał się do kuracji. Pan Spirydjon i lubił i umiał się leczyć. Nie zadawałniąc się punktualnem spełnianiem przepisów lekarza, któremu oddał się w opiekę, cichaczem radził się i innych doktorów, radził się i chorych, z którymi zaznajamiał się w kąpielach i w czasie picia wód, radził się aptekarza i wszystkich swoich dostawców, nakupił całe stopy książek lekarskich, broszur i podręczników, jakichś win leczniczych i lekarstw z ogłoszeń, codziennie wynajdywał we własnym organizmie nową jaką chorobę, i tak szczegółowo, z taką umiejętnością spowiadał się przed lekarzem ze swych dolegliwości, że młody francuz, grzecznie i cierpliwie go wysłuchując, jednocześnie nie bez pewnego współczucia, ukradkiem spoglądał na bladą,

ładną Mimi, i, pokręcając końce aksamitnych wąsików, zdawał się do niej mówić wzrokiem: «Biedaczka! A taka ładna!»...

Pan Spirydjon postanowił leczyć i Mimi, znajdując, że jest niedokrewną i zdenerwowaną. Maman tak go o to prosiła! I Mimi zaczęła pić *Source Mesdames*, zaczęła się kąpać i spacerować po parku. Ale że jej kuracja mniej była skomplikowaną i nie tak ważną jak pana generała, miała więc bardzo wiele wolnego czasu, który poświęcała przyglądaniu się przechodniom i przeglądaniu nowych swoich toalet. Jedno i drugie zajęcia przypadało jej do gustu, nic więc dziwnego, że Mimi się nie nudziła. Sezon w tym roku należał do najlepszych, do najładniejszych. W Vichy był Strauss, była Patti, był jakiś dygnitarz angielski z żoną, bogacz amerykański z córkami, a ileż kokotek, ilu arystokratów!... Było wiele romansów, dwa-trzy skandale... Pogoda była prześliczna, nieco może zbyt upalna. Ale za to co za spacery, co za kawalkady wieczorami po nad brzegami Allières, jakie koncerty i wieczory tańcujące w kasynie! Ma się rozumieć, Mimi z nikim bliżej się nie zaznajamiała—towarzystwo u wód bywa takie mieszane! — ale nawet i w tych warunkach zabawiało ją oglądanie toalet damskich, przypatrywanie się drobnym i większym intrygom, słowem, badanie otoczenia, bez przyjmowania w życiu jego czynnego udziału. Wogóle Mimi było tu dobrze i wesoło. I oto w odpowiedzi na listy kuzynki Ziny i dawnych koleżanek, trzech siostrzanien Połtawcew, które przesyłały jej zapytanie, czy jest szczęśliwą, Mimi odpisała: «Tak jestem szczęśliwą, tak szczęśliwą... *Jamais je ne me suis tant amusée qu'à Vichy. Figurez vous...*» i t. d.

Czas biegł szybko i, jak zwykle bywa, nieznacznie dobiegł do kresu. Pan Spirydjon, ku własnemu zadowoleniu, ukończył całkowity kurs kuracyjny, według cudzych i własnych przepisów. Pan generał schudł nie-

co, ale czuł się zupełnie dobrze. Mimi również rozkwitła i wypiękniała na czystym powietrzu południowej Francji. Pan Spirydjon miał jeszcze cały miesiąc do rozporządzenia, tyle bowiem czasu wolnego od trosk służbowych zapewniał mu urlop. Pan generał prosił żonę o rozwiązanie pytania, gdzie mieli miesiąc ten spędzić: we Włoszech, w Szwajcarii czy w Paryżu?... Broszurka doktora Souligouët polecała kuracjom, którzy chcieli zachowywać się konsekwentnie, wedle określonego programu — jakiś cichy zakątek w Szwajcarii, ale Mimi wolała być w Paryżu. Pan Spirydjon zastosował się chętnie do decyzji żony i, suto wynagrodziwszy gospodynię, ładnego doktora i tytu, tytu innych, młodzi małżonkowie spakowali swoje rzeczy, pozamykali kufrы i walizy i powrócili do Paryża, gdzie zaczął się dopiero prawdziwy miesiąc miodowy. W tym akurat czasie pan Spirydjon otrzymał okrągłą i dość znaczną sumę od swego dzierżawcy, Mimi więc była w siódmym niebie, kupując na prawo i na lewo wszystko, co tylko jej się podobało... Oh, ten miodowy miesiąc!... Mieszkali w drogim i dobrym hotelu. Rano generał wstawał zwykle wcześniej od żony, pił kawę, czytał ruskie i francuskie gazety, a Mimi długo jeszcze rozkoszowała się w łóżku. Wstawała kiedy chciała i nie spiesząc się wcale zabierała się do toalety. Codzień próbowała innego mydła, innych perfum, wód toaletowych i pomad. A jakich pończoszek, trzewiczków, podwiązek nakupiła!... Oh, ten miodowy miesiąc!...

Ubrawszy się, Mimi ukazywała się mężowi, który całował jej delikatną rączkę, chwilę zatrzymywał ją w swem ręku i podstawał świecąca się własną łysiną, którą żona z uszanowaniem witała pocałunkiem w powietrzu. Na śniadanie jedli kotlety w papilotach, homary, *hors d'oeuvre* i, posiliwszy się, wychodzili na spacer, oglądali muzea, okolice... Przed obiadem pan Spirydjon wracał do numeru i kładł się spać, a Mimi jechała po

sprawunki i kupowała, kupowała... Potem obiad, a po obiedzie teatr, cyrk, *café-concert*... Pan Spirydjon znał dobrze Paryż, mianowicie zabawy paryzkie, a że był tego zdania, iż zagranicą porządna kobieta może być wszędzie, gdyż nikt jej nie zna, był więc z żoną i w Mabilu, i u Bullier i we wszelkich «Eldorado», ażeby pokazać jej kokoty i z tego i z tamtego brzegu Sekwany...

W ten sposób święcili oni gody miodowego miesiąca, poczem powrócili do Petersburga z pustą sakiewką, z podwojoną liczbą waliz i pudełek, z zapasem zabawnych i przyjemnych wrażeń, z utrwalonemi stosunkami przyjacielskiemi.

Wszyscy krewni rozwarli ramiona na spotkanie Mimi. Teraz była to już nie biedna panna na wydaniu, którą ciocie przy zdarzonej okoliczności lubiały ukłóc tak lub owak, ale była to pani jenerałowa, żona dowódcy dywizji, żona szanownego i bogatego obywatela, nareszcie dama, posiadająca najświeższe paryzkie toalety, stanowisko w świecie, no, i pewność, że dziś, jutro, pojutrze... zawsze będzie mogła kupować wszystko co się jej podoba.

Zdobywszy to stanowisko w świecie, Mimi jednocześnie znalazła się w t. z. «interesującym» stanie, o którym ciocie mówiły, że jest «takim». Muszę wyznać otwarcie, że ten stan «taki» był dość dla niej przykry, a gdyby mamam i pan Spirydjon nie otoczyli jej taką opieką, jaką chyba dobre duchy zapewniają tylko boginiom, Mimi nie mogłaby znieść tych cierpień i targnęłaby się na własne życie. Ale gdy się nareszcie wszystkie te męki i przykrości skończyły, kiedy następcą i spadkobiercą pana Spirydjona, zajmąwszy wyznaczone mu miejsce w świecie smutku i łez, zaczął krzykiem napełniać jeneralskie komnaty, i kiedy Mimi wstała i wróciła do normalnego stanu—uśmiechnęła się znów do życia i była z siebie i świata całego zadowolona. Zadowolona była

z tego, że wypiękniała i zmężniała, zadowolona była niemniej, że ma już nareszcie własne «baby», podczas gdy koleżanki jej, trzy siostry panny Połtawcew, dotąd jeszcze malowały na porcelanie i śpiewały włoskie arje i cygańskie romanse, żywiąc bezpłodną, niestety! nadzieję ściągnięcia temi arjami kogoś, kto by zapewnił im *une position dans le monde* i prawdziwe, żywe «baby». A Mimi ma już i jedno i drugie. I chociaż wszystkie trzy siostry, panny Połtawcew, w czasie swych odwiedzin u Mimi zachwycają się maleńkiem «baby», całują jego tłuściutkie rączki i nóżki, twierdząc przytem, że rozumieją tylko małżeństwo z miłości i że żadna z nich inaczej za męża, jak tylko z miłości, nie wyjdzie—pomimo to wszystko Mimi wie doskonale, że są to tylko frazesy i że gdyby wówczas pan Spirydjon nie jej, a im wpadł był w ręce—wszystkie trzy odrazu gotowe byłyby wyjść za niego. Alboż to żarty? Dowodzi dywizją i cała dywizja patrzy mu w oczy. A co go jeszcze czeka?! Karjery jenerała za skończoną uważać nie można... Chyba głupia tylko mogłaby odrzucić taką partję?...

Dlaczegoż więc teraz, w sześć lat po wyjściu za męża, Mimi się nudzi? Dlaczego blednie i w oczach prawie niknie? Czegoż jej brak? Ma rodzinę. Ciągłe ma przy sobie syna, męża, matkę. Ma pieniądze, powozy, łożę w teatrze francuzkim. Czegoż jeszcze pragnąć może? Mimi sama nie wie czego pożąda. Właściwie mówiąc, Mimi nic nie chce. Ot, pro prostu życie ją znudziło. W tej chwili jest to dla niej rzeczą dość obojętną żyć dalej, czy umrzeć natychmiast. Umrzeć? Ależ chociażby zaraz! Mimi wprost tak mówi, a biedna mamam nie może tego słuchać obojętnie, bez łez i westchnień. Mamam widzi przecież, że córka jest pro prostu chora, że niknie w oczach, że z dniem każdym jest bardziej rozdrażniona i słabsza... Mamam błaga Mimi,



ażeby zasięgnęła porady doktora Waraskiego (maman wierzy w niego jak w Pana Boga). A Mimi upiera się, gniewa i mówi: «*Ah, laissez donc! Je me porte à merveille! Je suis tout-à-fait bien!*» I maman wzdycha, a Mimi chudnie i blednie.

Ciocie również niepokoją się zmianą, jaką zauważyły w Mimi.

— Ależ, jakże Mimi brzydnie! — odezwała się jakoś tante Sophie. Ciekawa rzecz co tak źle na nią wpływać może?

— Stary mąż — krótko i węzłowato odpowiedziała tante Marie.

— No, no!... Niepodobna tak patrzeć na rzeczy! — z odzieniem wymówki oponuje tante Julie. A zresztą: stary, stary... *Enfin elle a un enfant. Qu'est-ce qu'elle a à se plaindre?*

— Annethe powiada, że to połów ją tak wyczerpał... Połów, chloroformowanie i...

— Eh, co też wam przychodzi do głowy! Przeciwnie, po połogu właśnie wyładniała.

— A ja jestem przekonana, że ona prosto choruje dlatego, iż nic nie ma do roboty — surowo przemawia tante Julie. Wszakże ona po całych dniach nawet palca na palec nie założy. Ot, przypatrzcie się mojej Zinie: i obiad zadysponuje, i herbatę naleje; potem idzie do Guisier, potem wokalizuje... Chwilki wolnej nie ma. I spójrzenie na dziewczynę, jaka cera, co za zdrowie! Powiadają: Petersburg, Petersburg... Kłamstwo! Wszędzie można być zdrowym. A Mimi... Ależ gdybym ja takie życie prowadziła, dawnobym już umarła!

A ciocie przecie mówią słusznie. Mimi brzydnie, Mimi się nudzi, Mimi nic nie robi. Maman tak czule ją kocha, że każde zajęcie, chociażby najbardziej blahe i łatwe, uważa za zbyt trudne dla Mimi. Wszystkie kłopoty gospodarskie, wszelkie doglądania dziecka, opiekę nad niem, wszystko to dobrowolnie przyjęła na

siebie maman, pozostawiając Mimi zupełną swobodę spacerowania, ubierania się, składania i przyjmowania wizyt. Z początku tego rodzaju zabijanie czasu zadawała Mimi, ale teraz i te zajęcia jej zbrzydły. Zresztą, nic, nic ją nie może zadowolnić... Mówiąc słowami Schopenhauera—Mimi straciła apetyt do życia...

I równocześnie z opanowującą ją apatią, w Mimi wzrasta instyktowe rozdrażnienie graniczące z antypatją. Mimi wprawdzie nie umiałaby powiedzieć w jaki sposób oni ją drażnią, czego jej odmawiają, ale to wie, że z każdym dniem i maman i pan Spirydjon stają się dla niej coraz bardziej obcymi, prosto ciężarem, którego ona znieść nie może. Zdaje jej się, że tuż obok niej maman i pan generał stworzyli sobie życie, jakiego pożądaliby, że im dobrze zupełnie, a ona, biedna Mimi, jednocześnie odczuwa brak powietrza, czuje jakieś sieci, które ją trzymają jak muchę w pajęczynie. I nie sposób wy dostać się z tej pajęczyny, bo utkano ją nader misternie z zabiegów i starań o nią samą. Jeśli jedzie do teatru lub na wieczór—obowiązkowo, albo maman albo pan Spirydjon muszą jej towarzyszyć, i nie może powiedzieć ani jednego nawet słowa, nie może zrobić ani jednego kroku, ażeby słowo to, krok ten ujęć mogły ich uwagi i nie wywołać komentarzy. Mimi widzi, że pan Spirydjon jest o nią zazdrosny—zresztą i ciocie to zauważyły. Ale pan generał nie chce się do tego przyznać i niewiarę swoją pokrywa frazesami: «to nieprzyjęte»... «tamto nie uchodzi»... «tak się nie robi»... A tymczasem wszystko się na to składa, że z dniem każdym życie dla Mimi staje się coraz większym ciężarem.

Maman i pan Spirydjon w bardzo prędkim czasie przyzwyczaili się do siebie i poprzyjaźnili. Rozumieją się wzajemnie doskonale, zadawalniając się nawet półsłówkami. Zajęcia pana Spirydjona, jego przeglądy

wojska, komisje, projekty, wielce interesują mamą, która jeszcze za życia męża blisko obeznała się z wojskowością. Mimi zaś wszystko, co tylko dotyczy służbowych zajęć męża, uważa za nudne i głupie. Jej się zdaje, że pan Spirydjon naumyślnie tylko prawi wobec mamy: «Komisje, re-orga-ni-za-cj-a... Z bagnetem albo bez bagnetu»... A mama udaje, że ją to bardzo obchodzi. Oprócz rozmowy o służbie, mama i pan Spirydjon mają niewyczerpany temat o wychowaniu dzieci, czego Mimi również słuchać nie może. Mimi wie doskonale, że bez względu na metodę wychowania dzieci, bez względu na odczytane o wychowaniu najrozmaitsze książki, dzieci zawsze będą krzyczeć i walać pieluchy, a potem kapryścić i nie słuchać ani rad, ani rozkazów starszych. Na cóż więc zdać się mogą jakieś teorie? Potrzebna dobra niania, a do tego potrzebne dobre pieniądze. Po co więc przelewać z pustego w próżne?

Ale co ją najbardziej gniewa, czego znieść poprostu nie może, to ich rozmów o polityce. Polityka—to *bête noire* Mimi. W gazetach odczytuje Mimi tylko ostatnią stronicę, gdyż zajmują ją jedynie wiadomości o nieboszczykach i o wyprzedazach wszelkiego rodzaju, a mama i pan Spirydjon czytają całą gazetę od A do Z; a potem przy obiedzie muszą codziennie komentować artykuł wstępny. Te gadania o Bismarku, o Wilhelmie, o Włoszech i Austrii, o tej najnudniejszej z najnudniejszych, Bułgarji—mogą ją doprowadzić do warjacji, mogą ją życia pozbawić. Co ją obchodzi książę Koburski, co ją obchodzi Battenberg? Ma dziś dwadzieścia sześć lat; teraz właśnie powinna się bawić, śmiać się, radować, a nie siedzieć tu, między siwą mamą i łysym panem Spirydjonem, który sapie, kaszle, pluje i dolewa sobie do wina *amer picon*. I Mimi, gniewając się na Battenberga, odsuwa od siebie talerz z kotletami, które znieawidziła, jak i wszystko co ją we własnym domu otacza, i dodaje:

— *Encore ce Battenberg! Il m'agace à la fin!*

Przy takim proteście zwykle mama wzdycha, a generał się chmurzy.

Oto Netty Połtawcew wyszła za męża za młodego człowieka—dajmy na to za lekkomyślnego młodego człowieka—ale jak oni żyją, Boże drogi, jak żyją! Wprawdzie szastają pieniędzmi i przeżywają kapitał, a starzy Połtawcewowie coś bardzo na to kręcą głowami; wprawdzie jakiś wielbiciel Netty coraz mocniej przyrasta niejako do domu młodych małżonków, tak, że bardzo wiele osób, mówiąc o nim, znacząco kiwa głowami; wprawdzie, że i sama Mimi powtarza za ciotkami, iż Netty na niebezpiecznej znajduje się drodze; wprawdzie—i to dodać należy—Mimi, za radą tante Julie, umyślnie spóźnia się z rewizytowaniem Netty—ale, pomimo wszystko, cóż ztąd? Za to Netty bawi się, Netty żyje i używa... Netty ubiera się ekscentrycznie, Netty jeździ na operetki, na maskarady, do restauracji, śmieje się ze wszystkiego i ze wszystkich i zadawalnia się towarzystwem mężczyzn. Mówią o niej wiele i mówią źle, ale i z tego Netty się śmieje. Mąż pozwala i wszyscy pozwalają... I dokoła Netty życie i wesołość iskrzą się jak szampan, który z jej stołu nigdy nie schodzi.

Dawniej Mimi była jej przyjaciółką, ale teraz mama i pan Spirydjon założyli swoje *veto* przeciwko jej przyjaźni. Oni są zdania, że Netty jest zbyt lekkomyślną i widzą w niej zły przykład dla Mimi. I Mimi nie rewizytuje jej, bo naturalnie, skoro Netty jest na niebezpiecznej drodze... Mimi bardzo tego żałuje, że Netty znajduje się na niebezpiecznej drodze, gdyż gdyby nie była na niebezpiecznej drodze — jakżeby jej było wesoło u Netty i w jej towarzystwie... W każdym razie Netty jest dobra, bardzo dobra, przytem wesoła, taka żywa, tak śmiesznie mówi... Ale co tu mówić o Netty, kiedy Mimi nawet u trzech sióstr, panien Poł-

tawcew, daleko weselej anizeli u siebie w domu... One przynajmniej śpiewają, grają, tańczą, marzą... One wiecznie są zakochane, wiecznie mówią o kapitanach i porucznikach, wielbicielach Netty... Mają swoje nadzieje, marzenia, plany na przyszłość. A ona? Czego może się spodziewać? Na co oczekiwać? Życie już wyczerpane do dna. Iluzji najmniejszych! Mimi zna życie, zna ludzi, wie co to jest małżeństwo, wie doskonale co warta owa okrzyczana miłość—*une horreur!* A tante Marie ostrzega ją: «no, no, tylko się nie zakochaj!» Ona miałaby się zakochać! Ależ ona i żyć nie chce... I najpiękniejsze lata upłynęły, upłynęły w ton niepowrotną... Dziś Mimi już stara... Dziś ma już dwadzieścia sześć lat!... Ma się rozumieć, że to już starość... Mimi uważa się już za tak starą, tak starą!...

I Mimi nudzi się, Mimi chudnie, Mimi blednie!

Na wiosnę nerwy jej do tego stopnia się rozstroiły, że kiedy pewnego pięknego wieczora pan Spirydjon dał damom do rozwiązania pytanie, gdzie mają lato spędzić: na wsi czy na letniem mieszkaniu—Mimi dostała ataku histerycznego, najbardziej histerycznego—ze śmiechem, krzykiem, konwulsjami... Maman w rozpaczy. Oto do czego już doszło? I jak mogła dojść do tego? Jak mogła tak o sobie zapomnieć?

Czempredzej należy zabrać się do energicznej kuracji. Teraz dopiero Mimi ustępuje; nareszcie zgodziła się na poradę doktora Waraskiego. Maman tak w niego wierzy! On był w czasie położu Mimi, on to raz już uratował jej życie, on zna jej naturę... A przytem człowiek do nieoceniony, pilny, wesoły... Nie jakiś tam młokos, ale człowiek poważny, profesor... Maman wierzy w niego jak w Boga. Teraz całe zbawienie w jego ręku. Jak powie Waraski, co poradzi, tak się stanie. Jeśli powie: jechać na Madere — pojedą na Madere... Pan Spirydjon dał pieniądze. Na wydatki niepodobna zwracać uwagi, kiedy idzie o życie i to o życie naj-

droższego człowieka. Jak zadecyduje Waraski, tak się stanie.

— Kogoż to widzę!... Moje uszanowanie paniom!— woła doktor Waraski, wpuszczając do swego gabinetu mamą i Mimi, a jednocześnie z po za okularów oglądając pokój, w którym roilo się od pacjentek wszelkiego gatunku i wieku. Oczekując właściwej kolei, panie przeglądały gazety i pisma, lub pocichu żywe po kątach toczyły rozprawy.

Mimi wszedłszy do gabinetu zmęczona, natychmiast usiadła na miękkim fotelu tuż przy biurku i niechętnie, cicho odpowiadała monosylabami na pytania doktora, a mamą trwożliwie spoglądała to na córkę, to na doktora, starając się coś wyczytać z jego twarzy. I przelekła jej, a kochająca wyobraźnia widzi już za plecami ukochanej córki straszne, groźne oznaki, a dalej nieco widma jeszcze groźniejsze: suchoty, śmierć z wycieńczenia... Ale nie, doktor spokojny, nawet wesoły.

— A więc pan konsyljarz sądzi, że można przemódz tę okropną słabość?

— Tak, sądzę, że nic nie masz tu niemożliwego!...

— Ach, daj to Boże, daj Boże!... Ale, panie konsyljarzu, ona nie wszystko panu mówi, nie wszystko. Mimi jest bardzo, bardzo cierpliwa, ale przecież ja widzę jak ona cierpi.

I mamą, nie dając przyjąć do słowa Mimi, zaczęła opowiadać panu konsyljarzowi ze wszelkimi szczegółami o tem, jak Mimi cierpi, jak jej tchu braknie przy wchodzeniu na schody, jak płacze bez najmniejszej przyczyny, jak się gniewa na pannę służącą, na syna, jak chudnie, o czem można się przekonać ze staników, jak wczoraj przy obiedzie zjadła tylko pół kotleta, a dzisiaj i t. d.

— No, tak—odzywa się doktor, pisząc receptę. No, a jakie panie mają zamiary na lato?

— Ach, panie konsyljarzu, to jest właśnie najglówniejsze po cośmy do pana przyszły! Jak pan każesz, tak się stanie. Dokądkolwiek nas pan konsyljarz pośle... Tembardziej, że nie mogą nam stanąć na przeszkodzie ani czas, ani pieniądze. Myślałam już, że może kąpiele morskie... zagranicą...

— Hm, ma się rozumieć, dobrze i zagranicą... Ale, coby też panie powiedziały o Kaukazie? Panie nie były na Kaukazie?

— Nie; ale od wielu osób słyszałam, że tam wszystko jeszcze tak prymitywne, nie urządzone, żadnego porządku... Ani mieszkań, ani doktorów... Mówią, że to prawdziwe konowały... Jeść podobno nawet dostać nie można...

— No, no, wszystko to znacznie przesadzone. I zjeść się co znajdzie, nie jesteśmy przecież tak zepsuci. A co się tyczy doktorów, wszak, zdaje mi się, panie zaszczycają mnie swoim zaufaniem?...

— Ach, panie konsyljarzu, pan!... W pana wierzę jak w Boga!... W panu cała moja nadzieja!

— No, niech się więc pani uspokoi: innego doktora nie będą panie potrzebowały wzywać. Ja sam będę leczył panią Marję...

— Jakto? Więc pan konsyljarz tam będzie?... O, to zmienia zupełnie postać rzeczy... Jeśli pan tam będzie... Kiedy pan konsyljarz wyjeżdża?

— Na początek sezonu... Wszak pani wie, że gdzie damy, tam i ja. A tam same damy. Żelznowodsk tak nawet nazywają: damska grupa.

Mimi ożywia się nieco. Dla czegoś teraz nagle zachciało jej się jechać na Kaukaz. Netty całe lato spędziła w Kisłowodsku i powróciła z bardzo miłymi wspomnieniami. Tam to ona głównie też wyemancypowała się i ztamtąd właśnie przywiozła obecnego swego wielbiciela. A głównie, że Mimi teraz dopiero, w tej chwili, w gabinecie doktora, po raz pierwszy jasno

zrozumiała, odczuła raczej, czego chce mianowicie. Oto—chciałaby dokądkolwiek wyjechać sama jedna! Weźmie z sobą Kasję, pannę służącą, i wyjedzie, a oni niech sobie robią co im się podoba. Doktor notuje sobie w pamięci to nagłe ożywienie pacjentki i w dalszym ciągu, spoglądając od czasu do czasu na Mimi, opowiada mamam glówniejsze wiadomości dotyczące Żelznowodska. Mimi popije wody żelazne i ze dwa miesiące pokąpie się, a potem na miesiąc pojedzie do Kisłowodska, że tak powiemy, dla ostatecznego polerunku, a ku jesieni zmieni się do niepoznania.

— Daj Boże, daj Boże!—wzdycha mamam, uśmiechając się smutnie i niedowierzająco, i, delikatnie włożywszy w rękę doktora czerwony papierek, wychodzi za Mimi z gabinetu, dając miejsce następującej z kolei pacjentce.

— Cóż, Mimi — odzywa się mamam, sadowiąc się obok córki w karecie: cóż powiesz o jego idei? Ja sądzę, że należy pojechać. Skoro on sam tam będzie... Wszak pojechałabyś?

Mimi milczy. Chwilowe jej ożywienie gdzieś się rozwiało. Znów wyraz apatji i przygnębienia osiadł na jej twarzy. Mamam, spojrzawszy na nią, zamilkła na pięć minut, po upływie których znów pytanie powtarza.

— Ach, cóż o tem mówić!—odpowiada Mimi. Boże drogi, co to kogo może obchodzić czego ja chcę... A on powie, on znów powie (Mimi w tem miejscu tchu zabrakło), on powie: na wieś!

I Mimi płacze gorzkimi łzami.

Mamam w rozpacz i stara się uśmiechnąć.

— No, no... Nie płacz, nie rozdrażniaj się tak, moje dziecko. Nigdy, nigdy nie pojedziemy na wieś... Wszak tak ciebie kocha, tak kocha... On wszystko robi, co

tylko zechcesz... Na wszystko się zgodzi. *Hier encore il m'a dit...* No, nie płacz, nie płacz, to tak wycieńcza!... Gdzie masz *sel de vinaigre*?... Powąchaj, aniołku, nusiłaś się zmęczyć... Dokąd teraz pojedziemy: do Julie, czy po sprawunki?

— Do Knoopa—odzywa się przez lzy Mimi: mam interes do Knoopa.

Jadą więc do Knoopa. W drodze damy rozprawiają o radzie doktora Waraskiego. Powąchawszy *sel de vinaigre*, Mimi nos wytarła i teraz dopiero wypowiedziała swoją myśl w sposób dość określony. Pojechałaby, ma się rozumieć; nie przeciwko temu nie ma, ale bez Spirydjona, który zresztą pojechałby nawet nie mógł. «Baby» również niech zostanie przy mamam. Wziąć go z sobą Mimi nie mogłaby. I w domu ten krzyk dziecka do rozpaczyny ją doprowadza, a gdyby «baby» za nią miało wszędzie jeździć i chodzić, onaby się nigdy nie wyleczyła, nigdy nie odzyskałaby zdrowia. Zresztą, wozic z sobą dziecko, to znaczy wozic bonę, niankę i doktora. Waraski przecie dzieci nie leczy. A cóż tamby zrobili bez doktora dla «baby»? Czyżby mamam chciała, ażeby «baby» zachorował?... Nie, nie, niech mamam raczej z nim pozostanie, a Mimi pojedzie sama, to jest nie sama, ale z Kasją...

Mamam zgadza się z Mimi na wszystko, z wyjątkiem jednego tylko punktu. Jakże możnaby od niej wymagać, ażeby mogła ona, mamam, puścić samą jedną własną swoją córkę, która mdleje, jakże mogłaby ona puścić ją z niedoświadczoną młodą dziewczyną!... Ależ ani pomyśleć o czemś podobnem mamam nie chce! Mamam i tylko mamam z nią pojedzie! A któż zostanie przy «baby»? Może tante Julie weźmie go z nianką do siebie na letnie mieszkanie? Ma się rozumieć, że Julie go weźmie!

U Knoopa wszelkie troski znikają, wobec troski wybrania najgustowniejszej parasolki. Mimi przewraca

do góry nogami cały magazyn, poszukując takiej parasolki, jaką we śnie chyba widziała. W poszukiwaniu tem, mimochodem znajduje bardzo wiele nowych, pożytecznych, praktycznych i ładnych przedmiotów, które mogą jej się przydać w podróży i u wód, i, naturalnie, kupuje je. W chwili gdy mają już sięść do karety, ze sklepu za nimi wynoszą cały stos pakietów i pudełek. Mimi znów nieco spokojniejsza i bardziej ozywiona.

— Czyś się niebardzo zmęczyła, Mimi?... Możeby Julie odłożyć na kiedy indziej?—zapytuje mamam.

— Nie, nie, lepiej już odrazu—mówi Mimi, zamrużając oczy.

Tante Julie przyjmuje wizytujących ją we środy. Rano—wizyty i herbata; wieczorem—karty, a co drugą środę—tańce dla Ziny i młodzieży. Tante Julie jest kobietą wielce szanowną, bardzo rozumną, a nadto posiada podziwu godzien charakter. Siostry mówią o niej: «*Julie est une femme de beaucoup d'esprit, mais elle manque de coeur. C'est tout le contraire d'Annette*».

Tante Julie jest żoną, gospodynią i matką bez zarzutu. Świetnie wychowała dwoje starszych dzieci: Wowe, rumianego oficera kawalerji, i Zinę, która ukończyła pensję u pani Truba. I Wowa i Zina są przedmiotem chluby i radości matki, którą, zresztą, Pan Bóg na ciężką naraził próbę, zsyłając jej młodszą córkę Wawę, chorowitą, kapryśną i dziwną jakąś dziewczynę. Leczą ją, karca, uczą—ale to wszystko napróżno. I dotąd Wawa jest prawdziwym krzyżem pańskim tante Julie.

Kiedy Mamam i Mimi wchodzą do ciemno-fioletowego pokoju tante Julie, zastają tam wiele dam i kilku młodych ludzi, kolegów Wowy. Rozmowa bardzo ozywiona.

— A państwo znów do Merekiuli?

— Tak, do Merekiuli. My zawsze jesteśmy wierni tej miejscowości. A pani?

— *Oh, je n'aime pas à avoir une «dacza»: j'aime mieux rester ici.* Wtenczas jeden dzień tam, drugi tu można spędzić...

— *Et Louise?... Elle est toujours à Naples?...*

— *Comment? Le bordeau avec le rose pâle... oh, mais quand c'est fait par une française, par une bonne faiseuse... c'est délicieux comme mélange...*

— A ja byłam wczoraj na wystawie.

— Jakże się pani podoba?

— Ach, śmiałyśmy się okropnie... Wchodzimy i spotykamy...

— *Et tous les soirs elles vont aux îles. Et tous les soirs c'est la même chose. C'est triste...*

Mimi zarzucają pytaniami o zdrowie. Maman opowiada najbliższemu sąsiadkom, że wracają właśnie od doktora Waraskiego.

— Jaktó? Więc pokładacie wiarę w tego Waraskiego? — z przerażeniem pyta tante Marie, otrząsając popiół z papierosa. Ależ on zarzął jedną moją znajomą. Umarła pod nożem. Dopiero potem okazało się, że operacji nie należało wcale robić... *C'était une grosse...*

— Ależ mylisz się, Marie. Opowiadałaś to o Lisińskim.

— Doprawdy?... No, może być. Zresztą, nic nie szkodzi. Wszyscy oni są jednakowi: wart jeden drugiego.

— Dlaczego panie nie spróbują homeopatji? — powiada dama, zwolenniczka homeopatji. Jestem przekonana, że homeopatja bardzo dobrze podziałałaby na córkę pani. Mianowicie w chorobach nerwowych...

— Rzeczywiście, nie rozumiem — mówi w dalszym ciągu tante Marie, zapalając nowy papieros — po co i na co jeździecie do tego Waraskiego?... Przecież to akuszer... *Si c'est une maladie de nerfs, d'ailleurs ne udacie się do Mierzejewskiego?*

— A ja poprostu zawiozłabym ją do Botkina—odzywa się tante Julie. Niepodobna przecież, ażeby Mimi chudła tak bez żadnej przyczyny. Botkin powiedziałby co to za choroba i wskazałby specjalistów, gdyby tego była potrzeba. Ja wierzę tylko Botkinowi.

— I Botkin się myli—odpowiada dama-homeopatka. Nie, na serjo, spróbujcie panie homeopatji. Oto sama ja, we własnej osobie, mogę być uważana za chodzącą reklamę homeopatji. Niech panie tylko pomyślą, ile ja już czasu się leczyłam u rozmaitych doktorów, ile lekarstw pogrzebałam w sobie!... A oto dopiero od czasu, jak korzystam z porady Brasola...

— Brasol, a Brasol! Spotykam go u znajomych. *Il est tres bien.*

— Czy on żonaty?... Z kim się ożenił?...

Rozmowa o medycynie zainteresowała wszystkich.

— Brasol! Ach, Boże, z kimże to on się ożenił? A Sołowjew—oto nadzwyczaj staranny doktor. A jakże, a jakże... Ma własną lecznicę... Zajęty od rana do nocy... A baron Wrewski?... Chyba żarty... Bynajmniej!... Nadzwyczajne zjawisko: wyleczył ślepego, najprawdziwszego ślepego, zupełnie niewidomego, którego widziałam przecie na własne oczy... Woda czy elektryczność... *Enfin il reussit.* Ma się rozumieć, że wiara gra tu bardzo ważną rolę...

— Oh, ma się rozumieć!... Naprzykład ojciec Jan Kronsztadzki... *Oh, ce n'est plus du tout la meme chose... Vous croyez? Mais c'est un saint!...* Jestem może grzeszny, bardzo grzeszny, *mais je ne crois pas à sa sainteté.* *C'est la mode, voila tout...*

— O, nie mów pan tak!... Gdybyś go pan widział... mały, chudy... a w spojrzeniu ma coś takiego, coś takiego niebiańskiego... On pił u nas herbatę i jadł owoce... Bardzo lubi winogrona... Ma się rozumieć, że trzeba wierzyć... Rzecz prosta, że wiara—to wszyst-

kol... Ale kto jeszcze czyni cuda prawdziwe — to Batmajew...

— *Qu' est ce que c'est que ce Batmajew? Est ce que c'est encore un saint?*

— *Non, non, c'est un medecin...* Mogę dać pani jego adres...

Przy akompanjamencie takiej rozmowy, mąman opowiada tante Julie, że Waraski posyła je do Żeleznowodowska, a jednocześnie stara się zbadać grunt, czy tante Julie zechce wziąć do siebie na całe lato «baby» z niańką. Tante Julie weźmie ich na całe lato z przyjemnością, jeśli mąman zgodzi się wziąć Wawę do Żeleznowodowska. Mierzejewski radził, ażeby ją na czas pewien odsunąć od rodziny, a latem kazał jej zażywać żelazo. A przytem wszyscy odetchną swobodniej, jak tylko Wawa wyjedzie. Wawa w domu staje się nieznośną. Z powodu Wawy wszyscy się już pokłócili. Brat przepowiada jej, że skończy na szubienicy, i radzi, ażeby ją na jakie dwa lata wysłano do Francji albo do Szwajcarji, do jakiego zakładu. Ojciec nawet słuchać o tem nie chce, on zawsze broni Wawy. Boże, gdybyż ją kto zabrał!... Usługa za usługę. Wawa za «baby», «baby» za Wawę.

W ten sposób sprawa została załatwiona.

Przy obiedzie mąman opowiada panu Spirydjonowi o rezultatach wizyty u Waraskiego i o pertraktacjach z tante Julie. Przy wspomnieniu o Kaukazie pan Spirydjon ożywił się i był w jak najlepszym humorze. Na Kaukazie upłynęły najlepsze lata jego życia, najlepsze lata służby wojskowej. Pan generał i do dziś dnia ma wielu znajomych w Tyflisie, w Piatigorsku. Prześlizna kraina, cudowne wspomnienia! Szaszłyk, wino kachetyńskie, narzan i kawalkady w czasie nocy księżycowych! Gdyby tylko pan Spirydjon mógł wyjechać,

z najwyższą radością towarzyszyłby damom. Ma się rozumieć, niech Mimi jedzie, niech się rozerwie, poleczy. Słońce kaukazkie, wody, wszystko to razem musi wpłynąć korzystnie na jej zdrowie. Może być, że w sierpniu uda mu się po nie przyjechać. Niech jada, niech jada. Sama, ma się rozumieć, jechać nie może. U wód Bóg raczy wiedzieć jakie może się zebrać towarzystwo. Ale z mąman i z Wawą śmiało może jechać. Ile też mogą mniej więcej wydać na taką podróż?

W Petersburgu—maj. Chłodny wiatr unosi z ulic słupy kurzu i śmieci, ale jasne słońce, jasne gazowe woalki i damskie parasolki, stuk kół, który zastąpił poważną ciszę zimy—wszystko to mówi już o wiosnie, a najwymowniej zawiadania o niej mieszkańców stolicy czyste, lazurowe niebo, przez które przegląda radosna nadzieja, pełna obietnic. Niebo to mówi, że gdzieś tam, daleko od granitowych wybrzeży i murowanych domów, od zakurzonych ulic i ubogich w zieloność skwerów, istotnie kroczy wiosna, prawdziwa wiosna, pełna powietrza, trelów słowicznych i skowronków pienia, z aromatem bzu i czeremchy. Jest to ta wiosna, której użyć może każdy, ktokolwiek może wyrwać się z dusznego i zakurzonego miasta. A kto chce i może, z pewnością spieszy to zrobić.

Na dworcu drogi mikołajewskiej panuje ruch ogromny. Służba, tragarze snują się w rozmaitych kierunkach z walizami i tłumokami. W bufecie brzęczą talerze, dzwonią szklanki, słychać rozmowy, wykrzyki; zewsząd dolatują szum i hałas ruchliwego, nie mającego czasu do stracenia tłumu.

Na peronie, przed wysokim szafirowym wagonem stoi bardzo elegancka grupa znajomych, którzy odprawdzają Mimi. Otyły pan Spirydjon w szynelu z czer-

woną podszewką; wysoka i poważna tante Julie z lornetką, przez którą z niesmakiem przygląda się otaczającej ją publiczności; rumiany Wowa, ulubieniec tante Julie, jej radość i duma; piękna Zina w ogromnym modnym kapeluszu i nadzwyczaj małym, również modnym kaftaniczku, z dwoma pieskami bolońskimi, które na świat Boży tak dumnie i obojętnie spoglądają jak i ich pani; madame Lambert, trzy siostry, panny Połtawcew, z twarzami osłoniętymi bardzo gęstymi woalkami, tante Marie z synem, tante Sophie z mężem. Mimi siedzi już w wagonie ze swoim pieskiem, którego nie mogła w żaden sposób zdecydować się zostawić w Petersburgu, i wacha *sel de vinaigre*. Mimi czuje się zmęczoną, a w dodatku pociąg ruszył! A tymczasem pan Spirydjon wchodzi do *coupé* i, przeciskając się między fotelami z trudnością, zapytuje ją, czy jej wygodnie?... Ależ wszystko, wszystko jak najlepiej, doskonale!...

Wawa, chuda, czarnooka dziewczyna szesnastoletnia, stoi na peronie z ojcem i, trzymając go za obie ręce, daje mu słowo honoru, że z ciotką klócić się nie będzie, i wogóle, że będzie grzeczna, inną zupełnie jak w Petersburgu. I Wawa ze swej strony wymaga od ojca słowa, że będzie do niej pisywał i dużo, i często.

Maman rozmawia z tante Julie, dając jej ostatnie instrukcje co do «baby», niańki i służby, która pozostała w mieście. Potem wyrażenie twarzy obu siostr się zmienia: maman ma wyraz litosnego współczucia, tante Julie—pokornego poddania się woli losu; oczywiście, mówi teraz o krzyżu, który nieść musi — o Wawie.

— Ja doskonale to rozumiem, że jest to ciężar—mówi tante Julie—ale wywdzięczę ci się przy sposobności. A najgłówniejsza rzecz, ażeby Wawa sama jedna nigdzie nie chodziła.

Dwie starsze panny Połtawcew, uśmiechając się do madame Lambert, bawią się z pieskami Ziny; młodsza, kokietująco kręcąc oczkami, zapewnia Wowę, że nie wierzy ani w przyjaźń ani w miłość.

— A według mnie—mówi tante Marie—to czysta warjacja! Dokąd i po co one jadą? Wszak one tam będą zamierać z głodu! Doskonale wiem co to jest Krym, co Kaukaz, Głód, nudy i brudy. To wyrzucone pieniądze. Z jakiej racji one tak wierzą temu Waraskiemu? Jak gdyby zabrakło już doktorów zagranicą?!

— Ma się rozumieć!—potwierdza tante Sophie. Nas przecież także wysyłali do Essentuk, ale pojedziemy do Karlsbadu. Czyż można inaczej?

Ostatni dzwonek.

Wawa mocno ściska i całuje ojca i szybkim ruchem wbiega do wagonu, przewracając konduktora. Tante Julie zamienia męczeńskie spojrzenie z Ziną. Błada Mimi ukazuje się w oknie i uśmiecha się do swoich. Wszyscy kłaniają się i uśmiechają.

— *Bon voyage! Bon voyage!*

Pan Spirydjon spogląda na nią dobrymi oczami. I pociąg, nie drgnawszy nawet, powoli rusza, wypływając z pod ciemnej arki.

Maman żegna się, Mimi ziewa, Wawa wychodzi z *coupé*.

Nareszcie kończy się peron, dalej nieco parkan, a jeszcze dalej i ogrody. Koszary, przypatrujące się odchodzącemu pociągowi wszystkimi swoimi oknami, znikły i pociąg znalazł się w szczerem polu, pędząc pełnym biegiem.

Maman liczy i przegląda rzeczy, czy zabrali wszystko w porządku? A gdzie Wawa?...

— Pewno w korytarzu—leniwie odpowiada Mimi, zamykając powieki.

— To ona, zdaje się, śpiewa. Słyszysz? Jaka warjotka!



Mimi w odpowiedzi ziewnęła.

Maman jest nieco tem zaniepokojona, że Wawa natychmiast od nich uciekła. Jak się też uda jej dowieźć tę dziwną dziewczynę! Przedewszystkiem należy na nią działać dobrocią, bez krzyku i gniewu. I ojciec ją o to prosił, i Mierzejewski to samo zalecał. Ma się rozumieć, organizacja nerwowa, nadzwyczaj czuła. Maman i tante Julie nie zgadzają się wcale w poglądach na wychowanie. Maman zawsze była zdania, że tante Julie zbyt surowo obchodzi się z Wawą.

— *On ne prend pas les mouches avec du vinaigre, mais avec du miel.*

Maman dowiedzie, że można sobie radzić i z Wawą. *Julie est une femme de beaucoup d'esprit, mais elle manque de coeur.* A maman—przeciwnie: ona serce stawia zawsze na pierwszym miejscu, a rozum na ostatnim, według jej własnych słów. Tak, postanowienie powzięte: maman działać będzie na Wawę tylko dobrocią.

Wawa stoi w korytarzu w otwartem oknie i na cały głos śpiewa: «Chmurki niebieskie»...

Wprawdzie źle to, dziko jakoś, a przytem śmiesznie, ale maman, pomyślawszy nieco, postanowiła żadnych nie czynić jej uwag. Niech tam sobie stoi i śpiewa—wszak Wawa chora. Z początku trzeba ją do siebie przyzwyczaić, a potem dopiero zabrać się do jej wychowania.

I maman spojrzała ostrożnie przez przymknięte drzwi i spokojnie usiadła na fotelu, a po chwili znów zaczęła zbierać i rachować rozmaite rzeczy, od chwili do chwili macając zawieszony na piersiach zamszowy woreczek z pieniędzmi.

Mimi zdjęła kapelusz podróżny od Ivroz, rozpięła kaftanik i, leżąc na aksamitnym fotelu, bawiła się z pieskiem, ciągnęła go za uszy i mówiła do niego:

— No, cóż Mumciu? Mumcia chce herbaty? Chce?... No, dostanie Mumcia herbaty, dostanie... Nie pozwolę na to, ażeby Mumu miał zasnąć bez herbaty... No, spytaj Mumu babcię, gdzie nam dadzą herbaty? Tak, tak... *du thé... Et du sucre, oui, un peu de sucre...*

W Lubani piesek dostał herbaty z cukrem i sucharkami. Damy również napiły się herbaty, którą podał im do wagonu wysoki, przystojny konduktor, hojnym datkiem pana Spirydjona zachęcony do grzecznych usług.

Noc nadchodzi. Mimi stara się najwygodniej ułożyć Mumu, maman dba o wygody Mimi, konduktor rozkłada łóżko dla Wawy, zastania latarkę i po chwili w *coupé* panuje ciemność i cisza, którą zakłóca tylko chrapanie psa, w kłębek zwiniętego, najspokojniej śpiącego na ładnej poduszce.

A pociąg szybko bieży, postukując i sapiąc, bieży po przez rowy, mosty i błota i śpiewa monotonny, dziki hymn, który do snu kołysze zmęczonych pasażerów.

Maman czuje się doskonale. Po ułożeniu do snu swojej jedynej Mimi, która dziś, chwala Bogu, bardzo spokojnie się zachowuje i na nic się nie skarży, maman kładzie pantofle, zdejmując czepeczek, obwiązuje głowę chustką i z przyjemnością wyciąga się na improwizowanym łóżku. No, więc nareszcie wyjechały. Maman wierzy w to święcie, że wody i zmiana powietrza podziałają bardzo korzystnie na Mimi. A zresztą i Wawaski będzie razem z niemi — to główne. Co do tego, maman jest zupełnie spokojna. Maman przyznaje się i do tego, że i dla niej samej dobrze jest przewietrzyć się trochę, odpocząć nieco od ciągłych interesów ze służbą, od myślenia o obiadach, o mięsie, o kaszce dla «baby», o jego kąpielach, o cenach cukru i świec, o bieliźnie i nafcie, i o tyłu, tyłu marnych a przecież koniecznych rzeczach. Trzy miesiące odpoczynku, zupełnego odpoczynku! O «baby» nie potrzeba się wcale

troszczyć. Znajduje się w pewnych rękach, a można być pewnym, że dbać o niego będą doskonale i opiekę nad nim rozciągną wzorową. Zresztą, pan Spirydjon od czasu do czasu bywać będzie w Peterhofie i odwiedzać malca. Na jesieni pan Spirydjon spodziewa się wyższej nagrody, która go pewno nie minie. A więc i ta sprawa stoi jak najlepiej. A one tymczasem przejadą się, przewietrzą, zbiorą zapas sił i zdrowia na całą zimę. Wawa, która w tej chwili spoczywała na łóżku wagonowem, po nad mamą, może być źródłem kłopotów i nieprzyjemności, no—ale trudno, trzeba to zdać na wolę boską. Co Bóg da—to się stanie! A przedewszystkiem należy o tem pamiętać, ażeby postępować z nią miękko, łagodnie. Kasia będzie wszędzie towarzyszyć Wawie; tante Julie nawet w tym celu przeznaczyła pewne wynagrodzenie dla Kasi i opłaciła jej podróż w jedną stronę. I wogóle tante Julie bardzo hojnie dała pieniędzy na kurację Wawy, na jej potrzeby konieczne i nawet na wydatki nieprzewidziane. Maman wiezie taką masę pieniędzy, że z pewnością po nocach sypiać nie będzie mogła, obawiając się złodziejów. A siostry mówią, że Julie skąpa. Nie, Julie nie skąpa. Może jest pedantką, bardzo akurata, a nawet jest z pewnością pedantką, ale skąpą nie jest. Naprzykład dla doktora, który będzie leczył Wawę, Julie przeznaczyła dwieście rubli za lato. Maman znajduje, że to okropnie dużo. Czyżby i Mimi miała zapłacić tyle Waraskiemu? No, nie. Alboż mało się one mu opłacały w Petersburgu? I stu rubli będzie dosyć. A może—niech tam, dać sto pięćdziesiąt! Maman wierzy w niego jak w Boga. I Waraski, nie ma co mówić, rzeczywiście jest bardzo sympatyczny, bardzo miły... i *belhomme*. Ale w każdym razie sto rubli byłoby dosyć. Sto?... Sto pięćdziesiąt?... Sto?...

I nie rozwiązawszy tej kwestji, mamą powoli zaczyna zasypiać.

Mimi leży na sąsiednim fotelu, z wielką gracją opierając ładną główkę na rękę. Bardzo jej dobrze tutaj; daleko lepiej aniżeli w domu, we własnym łóżku. Tam, w czasie dręczącej ją bezsenności, otaczała ją taka cisza, taka martwa prawie cisza, ale za to w niej samej panowała burza. Wszystkie nerwy w niej drżały, coś w niej rwało się na strzępy, nie dając ani jednej chwili spokoju. Cóż to za męki, co za cierpienia! A tutaj — przeciwnie, tutaj hałas, niepokój po za nią, a to tak dobrze na nią działa. Przysłuchuje się z przyjemnością dzwonkom, gwizdaniom i stukowi kół, podoba się Mimi nawet to ciągle drganie wagonu, miarowe drżenie szyb w oknach i podskakiwania blaszanej popielniczki. Ten chaotyczny, monotony szum usypia ją, wcale nie drażniąc. Dobrze jej zupełnie i Mimi rozmyśla o nowych swych toaletach. Jaki kapelusz włoży przy nowej sukni *mousse*? Wiezie z sobą pięć kapeluszy, ale żaden z nich nie pasuje do sukni *mousse* — chyba gdyby zdjąć z czarnego kapelusza niebieskie kwiaty i przypiąć blado różowe kwiaty i wstążkę *mousse*. I Mimi obmyśla wszechstronnie jak ten kapelusz należy przystroić. Ale co jest dobre, zupełnie dobre, ładne i eleganckie — to nowa amazonka. Nigdy w życiu nie miała jeszcze tak doskonale zrobionego stanika. Zachwycający! Kiedy amazonkę przyniesiono od Tedeschi, a pan Spirydjon niechący rzucił okiem na podany rachunek, bardzo się gniewał na ten wydatek, delikatnie dał jej do zrozumienia, że zawiele wydaje pieniędzy, a Mimi płakała. Głupia! Miała też czem się smucić, kiedy stanik tak przepysznie był zrobiony. Wszystko to pięknie, ale z kimże ma jeździć konno? Waraski tam będzie. Waraski podoba się Mimi, nawet on jej się bardzo podoba. Wysoki, zgrabny. Wszakże on powiedział: «zobacz, jak to tam się pani będzie nudziła»... Może będą sąsiadować. W każdym razie spotykać się będą. Poznają się bliżej. Nic nie szkodzi, że Waraski doktor.

Wszak on taki sam generał, jak i pan Spirydjon. Tak, muszą się poznać i będą razem jeździć konno. Z pewnością on dobrze jeździ konno, nawet bardzo dobrze. On...

I Mimi, zamknawszy oczy, widzi jak najdokładniejszy obraz, którego główną figurą jest Waraski; powoli, powoli z po za poręczy aksamitnego fotela wychyla się postać Waraskiego, potem widzi go w lustrze we drzwiach, potem na szybach, na firaneczce zakrywającej lampę... Czy to wpływ tego zjawiska, czy ufnosć w doktora, czy może zmęczenie fizyczne—dość, że Mimi zasypia i to zasypia, zauważyć proszę, bez chloralhydratu, bez walerjany, a we śnie ciągle widzi przed sobą doktora Waraskiego.

Wawa czuwa najdłużej. Dziewczynie spać się wcale nie chciało. Wawa dotąd jeszcze chętnie stałaby przy otwartem oknie wagonu, oddychając świeżem, nocnem powietrzem, wpatrując się w uciekające przed nią drzewa, domy i ognie wśród pól rozległych, jak na ciemnem niebie zapalają się gwiazdy. Ale Wawa dała ojcu słowo honoru, że będzie postuszną, nic więc dziwnego, że mamam nie zdążyła jeszcze powiedzieć, że czas już się do snu ułożyć, gdy Wawa ułożyła się nad mamam. Teraz Wawa szczerze żałuje, że się położyła. Duszno tu i nudno; w dodatku trzeba leżeć spokojnie, ażeby nie obudzić mamam i Mimi.

Wawa cieszy się z tego, że jedzie na Kaukaz, a głównie z tego, że jedzie sama jedna. Wawa jest przekonana, że właściwie jedzie sama, chociaż w towarzystwie mamam i Mimi. Wawa wie doskonale, że nie tylko mamam, ale i Kasia tak będą zajęte około Mimi, że o niej zapomną zupełnie. Boże drogi, alboż Mimi umiałaby sama sobie radzić!... Tak, Wawa będzie wolna jak ptaszek. A o to jej głównie chodzi, tego tylko pragnie. Wawa chce, ażeby na nią żadnej nie zwracano uwagi, ażeby jej pozwolono po całych dniach bujać po lasach i górach... Ach, jak ona będzie szczęśliwa!

Tak—góry, lasy, aromatyczne powietrze, słońce, bez francuzki lub angielski za plecami, bez tych opiekunek, które jej tylko życie zatruć są zdolne. Ach, jak to dobrze, jak dobrze!... Wszystko tam będzie inne, wszystko nowe: góry, lasy... Nowe osoby, nowe znajomości. Może tam nareszcie Wawa spotka i zobaczy tych dobrych, tych prawdziwych wielkich ludzi, których pragnęłaby koniecznie zobaczyć. Takich oto jak Washington, Cromwell, Wilhelm Tell, Joanna d'Arc, matka Grakchów... Niepodobna, ażeby takich ludzi nie było wcale na świecie. Jeśli istnieli w historii, istnieć musieli w życiu, a więc istnieją i obecnie. Wawa tylko nie spotykała ich dotąd, ale oni są, oni być muszą. Rzecz to wypadku. I Wawa kiedykolwiek musi ich spotkać, musi ich zobaczyć, dlatego, że bardzo, bardzo pragnie poznać takich ludzi, widzieć ich zblizka, czegoś się od nich nauczyć i starać się chociaż w pewnym stopniu im dorównać... Wawa nigdy nie uwierzy temu, ażeby cały świat mógł składać się z takich ludzi, jak ich znajomi i znajome! Oh, te znajome! Czy podobna żyć tak bez celu, bez myśli!... Zdaje się, że gdyby chciwość, zawiść i próżność przestały ich podniecać, z pewnością pozasypiałyby, zastygłyby na całą wieczność! I takie życie, takie puste, bezcelne, marne życie pędzi większość — ach, gdzie tam większość — wszyscy jej znajomi. Tak żyją jej matka, siostra, ciotki... Śmieją się z niej, nazywają ją cudakiem, fantastyczką za to, że ona pragnie czegoś innego, czegoś szlachetniejszego. Wawa rozumie to, że musi w ich oczach uchodzić za nieznośną, ale na siebie z tego powodu żadnej winy przyjąć nie może... Ojciec — ojciec nie jest taki jak wszyscy; ojciec, drogi ojczulek jest inny zupełnie. I rozumny i dobry, a dla niej jaki dobry! Gdyby nie ojciec, oho, Wawa dawnoby chyba już z domu uciekła. Ojciec—to dopiero człowiek! A pomimo to i on się boi... tak, boi się żony i sióstr i ustępuje im prawie zawsze

we wszystkim. Dlaczego? Na co? po co? Ojciec prawie zawsze stara się w ich oczach uchodzić za podobnego do nich, a jeśli czasem wykaże lepsze strony swej duszy, czyni to zawsze jak gdyby żartem, jak gdyby śmiał się sam z siebie i przepraszał ich za tę śmiałość. Przed czym on ustępuje? Kogo się boi? Dlaczego nie chce całego domu prowadzić podług siebie, dlaczego nie zniewoli ich do posłuszeństwa?... Ach, jak to pięknie być śmiałym, stanowczym, silnym!... A wszyscy jej znajomi, bliźsi i dalsi, wszyscy tacy dziwni... «Wstydzą się miłości, odpędzają myśli, handlują własną wolą»... Ale niepodobna, ażeby na świecie nie było prawdziwych ludzi!... Wawa ich dotąd jeszcze nie spotkała, ale są, muszą być. Być może, że w tych kołach, w których Wawa się dokąd kręciła, nie ma ich wcale, albo prawie wcale, ale świat jest wielki. Muszą być przecież gdziekolwiek szlachetni, pracowici, zdrowi ludzie: mężczyźni—energiczni, wspaniałomyślni, kobiety—cierpliwe, ufne, gotowe do ofiar.

O, ma się rozumieć, Wawa ich pozna. Oni ją nauczą wielu, wielu rzeczy, oni jej wyjaśnią tysiące wątpliwości! Ach, ileż to ona ma wątpliwości! Wawa już nosiła się z myślą napisania listu do Lwa Tołstoja, ale wstydziała się. A potem jak się dowiedziała, że pewna jej znajoma pani pisała do Tołstoja, wydało jej się to dziwnem, nie podobało się poprostu, i była bardzo zadowolona, że zamiaru swego nie spełniła. Bardzo to potrzebne, ażeby każdy robak włożył w drogę takiemu słońcu! Trzeba samej do czegoś dojść, własną pracą coś zrobić, coś wymyśleć, a na znajomość z dobrymi ludźmi trzeba umieć sobie zasłużyć. Oh, Wawa postara się o to, postara...

Wawie się zdaje, że tam mianowicie, dokąd jedzie, gdzie znajdzie góry i orłów, gdzie natura tak piękna i wspaniała, że tam mianowicie spotka ludzi o jakich

marzy. Tam powinno być dobrze, zupełnie dobrze: nie będzie konwenansowych frazesów, nie będzie udawania, nie będzie matki z jej zimnem, wrogiem spojrzeniem, ani brata, który wiecznie się śmiał z Wawy, ani siostry, tego obrazka z mód... A schwytawszy się na gorącym uczynku sądzenia bliźnich, Wawa, jak zwykle, przestraszyła się samej siebie i zaczęła modlić się gorąco do Boga, ażeby grzechy jej przebaczył—i grzech sądzenia bliźnich i straszny grzech braku miłości dla matki—ażeby Bóg dobry pozwolił jej znieść *to* wszystko i przygotować się do zycia, ażeby wspierał ją i nie zapominał o niej... Błagała o siły, o zdrowie... I z modlitwą na ustach i w myśli, czarnowłosa Wawa zasnęła... Maman smacznie chrapała, a blada Mimi zdawało się, że nawet znaku zycia nie daje.

Na trzeci dzień dopiero damy szczęśliwie przybyły do Rostowa, gdzie trzeba było się przesiadać. Pomimo wygod, damy zmęczyły się porządnie. I Wawa i Mimi, siedzące przy stole w oczekiwaniu obstalowanego śniadania, wyglądały źle, były kwaśne jakieś i niezadowolone, tak, że na pierwszy rzut oka każdy od razu poznałby, że udają się do Żeleznowodzka na kurację. Mimi tak się czuła zmęczoną, że nawet nie miała siły podnieść do nosa flakonika z *sel de vinaigre*. Oparta o ścianę, Mimi obojętnie spoglądała na butelki z ponaklejanymi różnokolorowymi etykietkami, które stały przed nią na stole. Piesek leżał przy niej i ciężko odychał. Wawa wśród publiczności nie poszukiwała ani Washingtona, ani matki Grakchów... Głowa ją bolała, ledwo mogła patrzeć, w skroniach tętniało... W dodatku jeszcze, zamiast Washingtona i matki Grakchów ujrzała tuż obok siebie jakąś damę, którą widywała u Mierzejewskiego... Dama ta trzęsła ciągle głową. Z drugiej strony malec jakiś, cierpiący na taniec świętego Wita, co chwila wysuwał język i robił jakieś dziwne ruchy.

Większość publiczności rozmawiała o wodach mineralnych, o tej sadzawce Silohe, do której ze wszystkich stron Rosji zjeżdżali się chorzy... Blade histeryczki, paralitycy, ponurego wyglądu pacjenci Essentuk; wszelkiego rodzaju i wieku chorzy piatigorscy — wszystko to ruszało się i siedziało w zadymionej i zakurzonej sali stacyjnej, odpoczywając i posilając się przed odejściem pociągu.

Kogoś wnieśli na noszach. Mimi aż oczy zamknęła. Boże drogi, czyż całe lato będą musiały patrzeć na te okropności! Zdaje się, że łatwiej umrzeć, aniżeli dalej podróżować w tych warunkach i do takiego celu. Mimi była już na prostej drodze do płaczu, gdy wśród tego różnobarwnego tłumu, zwracając na siebie powszechną uwagę, wszedł do sali, przez drzwi prowadzące ze strony miasta, jakiś bardzo elegancko ubrany mężczyzna, mogący mieć około trzydziestu pięciu lat. Za przybyszem powoli kroczył ogromny, czarny wodołaz, a posługacz niósł bardzo ładną walizę i pled, związany nowiuteńkimi rzemykami. Przybysz doszedł do stołu, przy którym siedziały Wawa i Mimi, niedbale zapłacił usługującemu, niedbale obstałwał coś dla siebie i dla psa, usiadł przy stole i, nie wyrzucając z oka monokla, rzucił okiem na Wawę i Mimi, potem bez monokla jeszcze raz, ale uważniej już spojrzął na Mimi.

Mimi nie spodziewała się spotkać w tem miejscu tak eleganckiego mężczyzny. W brudnej sali, wśród tych niedołęgów, zyskał wiele w jej oczach nieznanomy. Teraz dopiero żałowała Mimi, że niedość się przystroiła, że była zmięta.

Wawa dość głośno i szczerze zaczęła się zachwycać psem, a Mimi tymczasem oglądała bladą twarz przybysza, którą zdobiły przesłizne czarne oczy. Mimi zbyt była czuła na wszystko co ładne, ażeby nie miała zwrócić uwagi na szczególność jego toalety.

Maman, która odeszła była, ażeby porozumieć się z Kasią, powróciła i, zmęczona bieganiną i gorącem, usiadła obok nieznanego. Nareszcie damom podano śniadanie. Mimi niechętnie podniosła woalkę: zdawało się jej konieczne, że w tej chwili musi okropnie wyglądać; ale myliła się, a przekonało ją o tem natychmiast spojrzenie jego czarnych oczów, które z widoczną przyjemnością spoczęły na jej twarzy. Mimi była wesoła jak nigdy i od tej chwili cała podróż przedstawiać jej się zaczynała w innem zupełnie świetle. Ma się rozumieć, podróż taka nieco męczy, ale za to oświeża jakoś, wprowadza w życie, daje wrażenia, których petersburskie, monotonne, codzienne życie dać nie jest w stanie.

Maman zaczęła rozmawiać z Wawą i z Mimi, a z rozmowy tej on się dowiedział, że ona nazywa się Mimi i że jedzie na Kaukaz. A on? Dokąd on jedzie? Może też do wód?... Blady, a coś w jego spojrzeniu, w kątach jego ust mówi wyraźnie o zmęczeniu, jeśli nie o cierpieniu... I on chudy, nawet ma nieco zapadłe policzki... Biedny, i on chory, i on cierpi... A jaki piękny, jaki elegancki!... A jakie oczy!... I jemu podano śniadanie; zaczął jeść, a Mimi ukradkiem ciągle mu się przyglądała. Wszystko — począwszy od zachowania się, od stroju, od sposobu w jaki zabierał się do śniadania, wszystko — sposób uczesania, ubiór — mówiło do Mimi wyraźnie, że ma przed sobą mężczyznę z towarzystwa.

Wawa tymczasem już głaaskała jego psa i miała właśnie zamiar oddać temu połowę kurczęcia, gdy maman tak błagalnie na nią spojrziała, że Wawa odstąpiła od zamiaru i przyjęła pozory najgrzeczniejszej panny na wydaniu. Newfundlandczyk pokręcił się jeszcze około niej, ale musiał się widocznie obrazić nagłą jej obojętnością, gdyż odszedł od Wawy i zbliżył się do pieska Mimi, chcąc się z nim bliżej zapo-

znać. Psina obudziła się i ujrzawszy nad sobą takiego olbrzyma, przeleżała się okropnie i zaczęła wrzeszczeć, piszczeć i szczekać. Nieznajomy zawołał psa, a damy przy tej okoliczności dowiedziały się, że nazywa go Rex. Po tym incydencie wszyscy zabrali się do jedzenia, ale Mimi zdawało się, że coś ją zbliża do nieznanego—prawdopodobnie wspólny stół, nakryty wspólnym obrusem, na którym stał talerz z chlebem i kawałek z wodą, również wspólne dla nich obojga, a może też i to, że oboje byli piękni, młodzi, elegancko ubrani i tak do otaczających niepodobni! Któż byli ci inni, ci otaczający? Jacyś obywatele z zapadłych kątów prowincji i wymięte, brzydkie damy prowincjonalne z papierosami w ustach! Mimi i nieznanomy często spoglądali na siebie wzajemnie, a spojrzenia te coś wyraźnie mówiły. On miał wielkie, czarne oczy, ona—oczy Madonny.

Mimi była coraz weselszą. Zmęczenie, lekki ból głowy, brzęk szklanek, rozmowy i hałas, jaki ją otaczał, wszystko to było dla niej czemś nowem, początkiem czegoś... Czas do odejścia pociągu zeszedł szybko. Panie zajęły miejsca w damskim *coupé*, on zaś siadł do sąsiedniego wagonu. Mimi gdyby chciała go zobaczyć, musiałyby tylko nieco z okna się wychylić, gdyż i nieznanomy stał w oknie.

I znów pociąg pędzi i pędzi po zielonym stepie, upstrzonym wiosennymi kwiatami. W damskim *coupé*, oprócz naszych pań, siedziała jeszcze jakaś dama z Moskwy, z którą mamam natychmiast się zaznajomiła. Dama, jakkolwiek stałą była Moskwy mieszkanką, znała jednak z pół Petersburga, co, ma się rozumieć, pozwoliło jej znaleźć z mamam wspólnych znajomych, a nawet krewnych. Dama bywała już u wód na Kaukazie i mogła udzielić mamam wielu cennych wskazówek o hotelach, mieszkaniach, praczkach i t. p. Mamam ze swej strony opowiedziała jej chorobie Mimi, o atakach, ja-

kich doznaje, o bezsennych jej nocach, a dama, rzucając od czasu do czasu spojrzenia na wesołą w tej chwili i doskonale wyglądającą Mimi, która śmiała się i rozmawiała z Wawą, nie wiedziała co myśleć, czy ze mamam z niej sobie żartuje, czy też że choroba Mimi przyjmuje tak złudne pozory?

Na każdej stacji on wychodził i spacerował wzdłuż peronu przed ich wagonem, spoglądając na Mimi, która znów patrzyła na niebo albo na budynek stacyjny. A jak to skracało drogę! On teraz nie miał już na głowie kapelusza, tylko małą, okrągłą czapkę podróżną, w której było mu bardzo do twarzy. Wawa zauważyła manewry nieznanego i wprost oświadczyła Mimi, że zdaje się, iż ten «piękny pan» dla Mimi odbywa takie spacerki. Wawa przytem nie mogła się powstrzymać od uwagi, że «piękny pan» ma «bardzo głupie trzewiki!»

Mimi stanęła w obronie nieznanego, twierdząc, że trzewiki jego są to trzewiki, a głupiego w nich nic nie ma, i że zupełnie takie same widziała w teatrze francuzkim. Ponieważ był to benefis ich posiadacza, wniosek stąd prosty, że takie właśnie trzewiki muszą być teraz w modzie...

Gdy zmierzch zapadał, Wawa udała się na ulubione miejsce — do otwartego okna, ażeby śpiewem pożegnać zachodzące słońce... I stojąc tam, Wawa patrzyła na różowe obłoki, co chwila zmieniające postać, na szereki step zielony, coraz większą przenikając się miłością do Boga i ludzi. Wawa chciałaby świat cały do serca przycisnąć, uściskać wszystkich ludzi, jak braci, rozlać pośród nich potoki światła i ciepła. Wawa pragnęła spełnić jaki czyn bohaterski, jaką ofiarę, któraby innym korzyść przyniosła, nie pragnęła ona małej, drobnej ofiary, jak ta wyjeżdżona droga, po której sunął się właśnie pociąg, ale ofiary wielkiej, bezbrzeżnej, jak ten step, jak niebo, jak morze, jak radość, jak miłość...

Miesiąc srebrnorogi zarysował się już na sklepieniu niebieskiem. Słońce udało się na spoczynek po całodziennych trudach. Step zasuwiał się cieniami, starannie się w nie owijając. Do życia budził się świat duchów, świat fantastyczny... Wawa wpatrywała się w księżyc i przypominała sobie świeżo przeczytane książki o spirytyzmie. Prawdaż to, czy złudzenie? Jak żyją dusze ludzkie po opuszczeniu ciała? Gdzie one są? Po co i jak żyją? Czy nas widzą? Czy nam współczują?... Czy nie wydają im się śmiechu wartymi nasze bóle i męki?... Życie i śmierć... Ileż tajemnic! Ileż świat ten ukrywa w sobie zagadek?... Czy istnieje też na świecie człowiek, któryby wszystko, wszystko wiedział, jak Faust Goethego? I czy to dobrze wiedzieć tak wiele, pojmować i rozumieć wszystko? A może też lepiej nic nie wiedzieć i być szczęśliwą dlatego, że się jest młodą, że się nosi w sercu ogrom uczucia miłości, że step tak piękny a księżyc tak świeci cudownie?...

Maman i owa dama z Moskwy ciągle rozmawiały w wagonie. Nie mogły sobie przypomnieć w żaden sposób, za kogo to wyszła za męża córka Wierewkinowej z pierwszego małżeństwa, która dawniej była naręczoną Meszczerskiego, zięcia pani Katarzyny, tej samej, która i t. d. Mimi również nie przypominała sobie jego nazwiska... I Wawa nie wiedziała... Potem maman zaczęła wyliczać wszystko co z sobą wiozła. Maman trzymała się tej zasady, że jadąc zagranicę nic nie trzeba brać z sobą, gdyż zagranicą wszędzie i wszystkiego można dostać. W Rosji zaś, a szczególnie na prowincji, nigdzie nic nie ma, należy więc zawsze brać z sobą zapasy. Mimi siedziała przy oknie otwartem i, wpatrując się w srebrny księżyc, marzyła. Kto jest ten *on*?... Dokąd jedzie i po co?... Dojrzała na jego palcu obrączkę. Dlaczego się w nią wpatrywał? Czy mu się podobała?... Z czego? Czy z piękności?... Ach, wszak Mimi tak zbrzydła w ostatnich czasach. Wprawdzie, pomimo

to, dziś Mimi *est interessante*. Spojrzała w lustro i zdziwiła się. Rzeczywiście ma coś takiego w oczach, w cerze, co ją upiększa. No, tem lepiej. Niech sobie chodzi — Mimi mu nie przeszkadza. Mimi przecie na spojrzenia jego nie odpowiada — chyba że niechący, wbrew własnej woli. W każdym razie złego nic nie robi... Dokąd jedzie? Kto *on*? I Mimi wpatrywała się w srebrny księżyc, a iskry, niby deszcz złoty, przelatowały przed nią, a wiatr rozwiewał jej jasne włosy. Maman chciała już zamknąć okno, ale Mimi zauważyła, że jeszcze wcześniej, a w wagonie bardzo duszno.

W wagonie już było ciemno zupełnie. Wawa, maman i dama z Moskwy już spały. Mimi po raz ostatni wyjrzała przez okno. Stacja niczem nie różniła się zupełnie od wszystkich innych. Mały domek drewniany, przed którym wisiał dzwonek, a z okna pierwszego piętra wyglądała pani naczelnikowa w płócienkowej sukni. Latarnia drżące rzucała promienie na peron, na którym w rozmaitych miejscach stały nieruchome postacie chłopów, wpatrujących się w pociąg; żandarm również był na stanowisku. Konduktorzy przechodzili obok wagonów. Ktoś witał się z naczelnikiem stacji. A, oto i on! A więc jeszcze nie śpi. On jeszcze raz przeszedł obok wagonu Mimi, i to tak blisko, a tak znacząco spojrzał na nią, że aż się złękła i zamknęła okno. Pociąg ruszył dalej. Mimi ułożyła się zaraz do snu, ale była niezadowoloną i z siebie i z niego, i ze wszystkich... Dlaczego, z jakiego powodu on *tak* na nią spojrzał? Wszak to niegrzecznie... Jak on śmiał, za kogoż on ją ma? Wprawdzie sama nieco temu winna... Ale dlaczegoż nie miałyby się w drodze nieco rozerwać? Ma się rozumieć, że w Petersburgu Mimi nigdyby sobie czegoś podobnego nie pozwoliła. A on jak spojrzał? Jak on spojrzał?... Ale, w każdym razie, jakie on ma śliczne oczy!... Mimi zdaje się, że tak pięknych oczów nigdy jeszcze nie widziała. No, a teraz dość

już—już można o nim zapomnieć. Nikt się o tem nie dowie, a on przecie jej nie zna i nigdy w życiu więcej już nie spotka. Jutro rozjadą się w rozmaite strony, a czy się kiedy spotkają?... Czas już zasnąć...

Mimi przewracała poduszkę z jednej strony na drugą, owijała się w pled, ale kanapa była bardzo niewygodna, w wagonie było duszno, czuć było zapach węgla... niedobrze jakoś... Próżno Mimi wachała *sel de vinaigre*, próżno polykała starannie odliczone krople laurowe—zasnęła wówczas dopiero, gdy firanki na oknach przepuszczają zaczęły promienie budzącego się świtu.

Otóż nareszcie zbliża się koniec podróży. Wawa wpatruje się już w góry, które dama z Moskwy z kolei nazywa: Besztan, Razwałka, Żelazna.

Konduktor zbiera bilety. Pledy i poduszki pościągano rzemieniami. Mimi ziewa. Niewyspana jest i w złym humorze. Mimi w tej chwili pragnęłaby umrzeć. Pociąg stanął przed stacją wód mineralnych. Stacja kapie się w zieleni przesłicznych akacyj.

Boże drogi, iluż tu pasażerów wychodzi! Czy wystarczy powozów?... A jak ślicznie pachnie biała akacja! Jakie niebo! Jakie powietrze!.. Maman żegna się z damą z Moskwy, która jedzie dalej, i na trzech posługaczy nakłada pudła, pudełka i pudełeczka, które z sobą przywiozły. Wawa stara się być użyteczną, wyszukuje Kasie, stoi przy rzeczach; Mimi, osłoniwszy twarz gęstą woalką, idzie do damskiego buduaru.

Mimi jest w złym humorze i pragnie umrzeć. Wszystko ją boli, a lży prawie ją duszą. Wstydzi się teraz wczorajszych spojrzeń, rzuconych na pięknego nieznajomego. W każdym razie *à son âge, dans sa position!*... A najważniejsza, kto go wie, co to za jeden? Mimi zupełnie dobrze nie przyjrzała mu się. Wszystko to stało się dzięki ciemności nocnej. A może on się chwalił z tego swym towarzyszom podróży; nie ma jednak czem

tak bardzo się chwalić... A zresztą, mniejsza o to, nic ją to nie obchodzi! I Mimi, nie rozglądając się dokoła, przechodzi przez salę, w której on pije herbatę, ale nawet nie patrząc na niego zauważyła Mimi, że on się przebrał. A jaki blady! Wcale nie taki piękny, jak jej się wczoraj wydało... Ma się rozumieć, teraz nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wszystkiego przyczyną była ciemność nocy i bujna jej wyobraźnia.

Powóz zajęto po wielu ceregielach, rzeczy powkładano i damy zajęły miejsca razem z Kasią.

— Z Bogiem! Ruszaj!

I potoczył się powóz po miękkiej drodze, w pośród bezmiernych stepowych przestrzeni. W niebiosach wyśpiewują skowronki. Inne powozy zbliżają się, przejeżdżają obok naszych dam i pędzą dalej. Oto i dama, która ciągle głową trzęsie, i biedny chłopiec, cierpiący na taniec św. Wita... I oto, wyprzedzając wszystkich, pędzi jeszcze jeden powóz, a w nim siedzi on, *l'homme au chien*, jak go nazwała Mimi. Trzeci już ma na głowie kapelusz od dnia wczorajszego. A u nóg jego rozłożył się wygodnie śliczny newfundlandczyk.

Długi czas damy jechały za powozem nieznajomego. potem skrzyły na prawo? Jakto? A więc nie będą razem, nie będą się spotykali? A więc to już rzeczywiście wszystko się skończyło? Dokądże to on pojechał? Mimi za nic w świecie nikogo o to nie zapyta. Może mamam niechcący jej dopomoże. Tak się stało rzeczywiście. Maman zapytuje woźnicę, dokąd tamta droga prowadzi?

— Do Piatigorska!

— A więc nie przejeździemy przez Piatigorsk? A Żelznowodzka czy jeszcze nie widać?

— O!—odpowiada woźnica, wskazując batem na białą wieś, która rozłożyła się u stóp zielonej góry.



Wkrótce powóz wjechał w piękny lasek z samych dębów i brzoź. Wszyscy z zadowoleniem oddychają czystym, porannym powietrzem. Wawa wpatruje się w pogodne niebo i szuka na tem tle skowronków...

Maman podziela jej gust; maman również bardzo lubi naturę, lasy i pola. Mimi tego pojąć nie może. Mimi lubi drzewa tylko gdzieś w ogrodzie, gdzie gra muzyka, i to tylko wówczas, gdy drzewa są niewielkie, w dużych wazonach, ładnie utrzymane, ażeby, broń Boże, nie spadały z nich pająki, gąsienice i tysiące tych obrzydłych stworzeń! Nakoniec powóz minął pocztę i zatrzymał się przed bramą hotelu Mistrowa.

Dzięki Bogu, są już na miejscu!

— Jakież śmieszny ten Żeleznowodsk!—odzywa się Mimi—przecież to najzwyczajniejsza wieś!

Minęły trzy tygodnie. Mimi wcale się nie nudziła. Z każdym dniem Mimi piękniała coraz bardziej. Dzień następował po dniu według z góry ułożonego programu. O godzinie siódmej rano Mimi i Wawa wstawiały, a o ósmej były już na muzyce, gdzie piły wody i spacerowały aż do herbaty; potem kąpiel, potem obiad i znów wody, znów spacer, znów muzyka, i tak aż do wieczora. Zmęczone, kładły się spać wcześniej i zasypiały jak zabite. Doktor Waraski, który o dwa dni wcześniej przyjechał, przyjął je bardzo grzecznie, zarekomendował im lokal, wynalazł kucharkę, wskazał specjalnego lekarza dla Wawy, słowem, doktor Waraski i doktor Waraski ciągle, wszędzie i we wszystkim. Doktor Waraski również zalecił Mimi konną jazdę, a sam zaofiarował jej nadto swoje towarzystwo w tych wycieczkach.

Maman z tem większą przyjmowała to wszystko radością, że wierzyła w niego jak w Boga!

A Mimi jakże się starannie leczyła! Maman bardzo pilną na jej kurację zwracała uwagę, tak pilną, że jeśli przy źródle niechęcący nalewano Mimi nieco więcej jak połowę szklanki, maman kazała wylewać wszystko i nanowo napełniać szklankę, ale koniecznie tylko do połowy, akurat do połowy, jak kazał doktor Waraski, w którego maman wierzyła jak w Boga... Czyż można inaczej? Jeśli się leczyć, to się leczyć. Z tem żartów nie ma. Przecie to wody...

A to leczenie jak najlepiej wpływało na Mimi. Na jej policzkach zakwitły rumieńce, oczy błyszczały żywiej i weselej... Mimi nie tak już łatwo się męczyła, lepiej spała i jadła.

Zaraz nazajutrz po przybyciu do wód, damy nasze ukazały się na muzyce, gdzie zwróciły na siebie powszechną uwagę manierami i toaletami. Maman całe towarzystwo nie podobało się. Damy były jakieś wymięte, niezdarne: jakieś mieszczki lub obywatelki z zapadłych kątów prowincji, a mężczyźni—Boże zlituj się! Z Petersburga prawie nikogo nie było, a znajomych—nawet na lekarstwo!

W ciągu kilku pierwszych dni maman witała się tylko z Waraskim i z pewną starą panną z Petersburga, która już po raz trzeci przywoziła tu brata, nie władającego nogami.

Stara panna była tu jak u siebie i, prawdopodobnie, uważała się za główną osobę, gdyż na wszystkich spoglądała z góry. Znała wszystkich doktorów, żony ich, ich romansy i skandale, ich plotki... A jakkolwiek w oczach maman żony lekarzów wcale nie przedstawiały się jako coś lepszego od zmiętych pacjentek, niemniej jednak nie bez zajęcia skierowywała na nie lornetkę, słuchając opowiadań mademoiselle Kosowicz...

Wawa siedziała obok maman, a jakkolwiek zachowywała się według wszelkich wymogów etykiety, oczyma jednak wyszukiwała wśród tłumu Washingtona i Wilhelma Tella, a nie znalazłszy ich przypatrywała się dzieciom.

Mimi uśmiechała się do doktora Waraskiego, a oczyma szukała jego—*l'homme au chien*. Ale go nie było. Nieznajomy ukazał się po raz pierwszy na muzyce dopiero po upływie dwóch tygodni od ich przybycia, wówczas gdy Mimi już go nie szukała i prawie zupełnie o nim zapomniała. A zjawił się on po raz pierwszy w towarzystwie okropnych, ale to okropnych dam! Oprócz przeróżnych obywaterek z zapadłych kątów, żon doktorów i wszelkiego gatunku zmiętych dam, u wód były nadto i aktorki. Prawie cała truppa kijowska zjechała do Żeleznowodzka. W ich liczbie była i Leńska, bardzo ładna aktoreczka, a z nią przyjechała i jej siostra, nie-aktorka, ale prawdziwa już piękność. Obie siostry były zawsze wystrojone, nawet zbyt krzycząco; zawsze były wesołe i zawsze otoczone gronem mężczyzn. Ktokolwiek przyjeżdżał do Żeleznowodzka, przez parę pierwszych dni znajdował się w ich świetle; rozejrzawszy się dokoła, wkrótce znajdował innych znajomych i już zlekka tylko im się kłaniał, ale że codziennie przybywali nowi kuracjusze, Leńskie miały zawsze kawalerów. Otóż i nieznajomy po raz pierwszy ukazał się z niemi na muzyce. Prowadził pod rękę starszą Leńską, nie-aktorkę, która uśmiechała się radośniej jak zwykle, błyszcząc ślicznymi, białymi zębami. Za nimi szły młodsza Leńska i aktorka Morozowa, otoczone tłumem młodzieży. Wszystkich poprzedzał Rex. Pan jego znów inaczej był ubrany: cały w jasnych barwach, w szarym kapeluszu z woalem, ale zawsze bardzo elegancki. Wawa głośno nazwała właściwym imieniem psa, co zwróciło jego uwagę na znajome mu już z podróży damy. Ale on tylko rzucił

na nie okiem i zaraz ją coś cicho mówić do swej towarzyszki. Wkrótce cała kompanja rozsiadła się akurat *vis-à-vis* Mimi, która z tego była bardzo niezadowolona.

Któż to jest, jeśli znajduje przyjemność w takim towarzystwie?... Po raz pierwszy w tej chwili dopiero siostra Leńskiej wydała się Mimi tak brzydką, to jest nie brzydką, bo zawsze była piękna, ale tak... tak... okropną. Piękna, to prawda, ale piękna jako stworzenie, zwierzęco-piękna... A jakie ma złe oczy—wilgotne, otoczone jakąś brunatną obrączką! I ręce nieładne, wcale nieładne. A jaka «wulgarna», jak pstro wystrojona! Rex leży u jej nóg, a ona go głaszcze po głowie ręką bez rękawiczki, i śmieje się i zadowolona, gdyż—to oczywiście! — *on* mówi jej coś miłego, coś przyjemnego!...

Mimi była zła. Maman z mademoiselle Kossowicz o czemś rozprawiły, Wawa z nową znajomą poszły na gimnastykę, Waraskiego nie było, nie zjawił się też i znajomy oficer z jej dywizji — Mimi więc musiała siedzieć sama i patrzeć na nudną Besztan i na tę nieprzyzwoitą kompanję.

Tego wieczora Mimi wróciła do domu w złym humorze; nawet gotowa była się rozplakać, nie mogła jednak znaleźć żadnego powodu. Prawdopodobnie znadto się zmęczyła, a może też była to «reakcja».

Nad ranem Mimi nieco się uspokoiła. Sama się nawet dziwiła, że mogła ją tak gniewać obojętność zupełnie przecie nieznanego jej człowieka. Czyż szuka wielbiciela? Boże drogi, gdyby tylko zechciała... przecie cała dywizja nadskakiwałaby jej. Czyż nie piękna? W każdym razie nie jest brzydszą od tych aktorek w pstrych strojach.

A zresztą, co one ją mogą obchodzić? Co ją obchodzą wszyscy? Przyjechała po to, ażeby się leczyć. Przyjemnie jej, że jest tu sama, bez pana Spirydjona, bez «baby». Zdaje jej się, że znów jest panna, młoda i

wolną. Mimi wie doskonale, że nikt nie ma ładniejszych od niej toalet, że ona sama jest ze wszystkich najpiękniejszą. Wyczytuje to bardzo wyraźnie ze spojrzeń mężczyzn i kobiet, jakie spotyka... A to jest to właśnie, czego pragnie, czego natura jej potrzebuje.

Mimi starannie piła wody, starannie dbała o swoje toalety i całą powierzchowność, a przy spotkaniu się z *nim* (on przeniósł się zupełnie do Żeleznowodzka), tak na niego patrzyła, jak gdyby przed nią stał słup od latarni. Ale, nie zwracając najmniejszej na niego uwagi, Mimi widziała jednak jak był ubrany, w czym towarzystwie, w jakim usposobieniu i jak na nią patrzy...

Wawa tymczasem była ciągle w siódmym niebie: rozkoszowała się, spacerowała sama jedna. Maman wprawdzie wyraźnie na to nie pozwalała, ale patrzyła przez palce. Rano Wawa udawała się na muzykę wraz z Mimi, ale jak tylko zbliżał się do Mimi doktor Waski lub oficer z jej dywizji, Wawa natychmiast znikła i za chwilę była już w lesie, gdzieś na skale, na którą wdrapywała się jak koza. Miała swoje ulubione miejsca na każdą godzinę. Wiedziała z kąd najlepiej patrzeć na zachód, gdzie chłodno w południe, gdzie ciepło wieczorem... Wawa nie bała się ani żmij, ani tarantul, wchodziła w największe gestwiny, a wracała do domu w podartych trzewikach, z podrapaną twarzą i rękoma, z trawą we włosach, z kleszczami i gąsienicami na ubraniu i bieliźnie...

Kasia z rozkazu maman w takich razach zajmowała się przebieraniem Wawy, która upewniała, że podobają się jej takie tylko spacerki, że innych nie rozumie i nie lubi. Cały ranek Wawa po większej części spędzała na wierzchołku Żelaznej góry. Tam, prawie u samego wierzchołka, była mała płaszczyna, na której rosły malwy polne i laskowe orzechy. Wawa kładła się na trawie lub siadała na upatrzonym ka-

mieniu i patrzyła na Besztan, na widniejące wdali doliny, na drobny Żeleznowodzki, uczepony góry, gdzie białe czyste domki, błyszczał złoty krzyż na kopule kościoła, krzyczały koguty i czekały psy... A nieco na lewo, z gestwiny drzew dolatywały aż do niej dźwięki orkiestry, która grała walca «Moja królowa»... Tam kręcili się, spotykając się i witając, oglądając się wzajemnie i obmawiając chorzy, których Wawa aż nadto dobrze znała. Wawa patrzyła na ziemię dookoła siebie i zdawało się jej, że tu to samo zupełnie się dzieje. Cały chór koników polnych wygwizdywał walce własnego utworu; mrówki biegały w rozmaitych kierunkach, zupełnie jak doktorzy wśród chorych... A boże krówki, gąsienice, motyle i pszczoły były publicznością... Wawie ta muzyka daleko bardziej się podobała, aniżeli tamta. Tutaj kładła się na trawie i było jej dobrze, zupełnie dobrze!... Słońce ogrzewało jej bezkrwiste ciało, a w duszy panował spokój i radość, o których w domu nie miała nawet wyobrażenia. Tutaj Wawa była, jak u Boga! I doznawała pełnego, niczem niezamąconego szczęścia.

Zdała Wawa kochała matkę. Myśląc o niej, zawsze przedstawiała ją sobie w sposób jak najsympatyczniejszy... Czynna, rozsądna, pamiętająca o swoich, chociaż surowa... I Wawa marzyła o tem, że przyjdzie czas, kiedy one zrozumieją się nareszcie i zaprzyjaźnią, a Wawa wówczas dowiedzie największym nawet niedowiarcom, że i ona przecież ma w sobie coś dobrego... Brat się ożeni i opuści ich dom, siostra także wyjdzie za mąż... Zina mówi, że wyjdzie za mąż tylko za tytułowanego... Ha, dlaczegoż nie miałyby znaleźć tytułowanego... A wówczas Wawa pozostanie w domu sama jedna z ojcem i z matką... Wówczas z pewnością lepiej jej będzie w domu i wszystko pójdzie dobrze. A tymczasem i tutaj jej doskonale. Tutaj nie czuje się ani nieszczęśliwą, ani opuszczoną. Słońce ją ogrze-

wa łagodnie swemi promieniami, las szumi, pszczoły brzęczą nad białą akacją, uginającą się pod ciężarem kwiatów... Motylki fruwać w powietrzu... I Wawie tak tu dobrze, tak dobrze, że całym sercem odczuwa i pojmuje w zupełności, że Bóg nikogo nie opuszcza, że nie masz nigdzie na świecie istoty samotnej, opuszczonej... Całymi godzinami leżąc na trawie, Wawa spogląda w niebiosa, a nad jej głową dumny orzeł powoli unosi się ku górze, jak gdyby na swych szerokich skrzydłach przynosił do Boga jej marzenia, nadzieje i wiarę.

Maman jakkolwiek przez szpary patrzyła na te samotne spacerory Wawy, w gruncie rzeczy niepokoiła się niemi bardzo. Nie mówiąc już o zmijach i psach wściekłych, przecież mogła się zabić, spotkać kogoś niebezpiecznego... W górach chodzili muzykanci, ubodzy, wszelkiego rodzaju podejrzane figury... Dlatego też maman po części była zadowolona, kiedy Wawa nareszcie znalazła kółko znajomych. A chociaż ci znajomi i te znajome nie należeli do takich, jakich maman wybrałaby dla siebie albo dla Mimi, ale już to przynajmniej było dobre, że Wawa teraz przynajmniej nie chodziła sama jedna. Na gimnastyce Wawa poznała kilkoro dzieci, potem poznała ich niańki, bony i guwernantki, potem i rodziców, a po upływie trzech tygodni węzły najczulszej przyjaźni łączyły ją z pewną panią, która tylko co ukończyła instytut, z junkrem, bratem tej pani, z jakimś guwernantką, z małym doktorkiem z Moskwy i z jego żoną, ze studentem nareszcie, guwernerem dziesięcioletniego syna aktorki Morozowowej.

Wszyscy stanowili odrębne kółko, spacerowali razem, puszczali się na dalekie ekskursje w góry i po okolicach, pożyczali sobie wzajemnie książek, rozmawiali i, naturalnie, całymi godzinami spierali się o to lub owo... Wawa była zachwyconą swemi przyjaciółmi.

Ma się rozumieć, nie byli to jeszcze Waszyngtonowie, ale w każdym razie byli to dobrzy, zaci ludzie, zupełnie, ale to zupełnie niepodobni do jej petersburskich znajomych. Z nikogo się nie wyśmiewali, z niczego nie byli dumni, zawsze byli dla siebie samych surowi, dla innych—względni, nie zajmowali się wcale plotkami, ale za to każdy robił co do niego należało... Znajomi ci nietylko, że już przetrwali wszystko, co ją zajmowało, ale nadto posiadali na wszystko własne swoje poglądy, które dla niej zupełną były nowością i wzbudzały w jej głowie całe roje nowych myśli. Ach, jak ją to cieszyło i zajmowało! Teraz cobądź usłyszała, cokolwiek przeczytała—miała przynajmniej z kim podzielić się wrażeniami.

Byli to poprostu wzorowi ludzie, a o ileż lepsi od niej!... Szczególniej podobała się Wawie guwernantka: rozumna, cierpliwa, spokojna... Wawa nie warta była jej małego palca.

O swoich, o matce Wawa nigdy nie rozmawiała ze swemi przyjaciółmi. Uważałyby za zbrodnię skarżyć się lub starać się zająć innych własnymi goryczami. Ale z teoretycznych roztrząsań i z innych przykładów Wawa przekonała się, że z ich punktu widzenia miała słusność, iż nie podobało się jej życie i jego ustrój we własnej rodzinie i że pragnęła czegoś zupełnie innego. Ale teraz, do czasu, trzeba ulegać i czekać, a potem, w przyszłości, wszystko urządzić podług siebie.

I, gdy rozmyślała o tem jak to ona urządzi się w przyszłości, zachwycała Wawę szczególnie jedna myśl, jedno marzenie. Po długim rozmyślaniu znalazła sobie pracę, trafiła na właściwą drogę, wytknęła sobie cel życia, cel piękny, taki, który osiągnąć można, a który przecież uszczęśliwić ją może.

Życ tak jak Zina, Wawa nigdyby nie mogła, nigdy. Gdyby posiadała jaki talent, oddałaby mu się całkowicie; ale ze żadnego nie ma talentu, więc ot co zrobi:

jak tylko skończy dwadzieścia pięć lat i wszyscy się przekonają, że pozostanie starą panną, natychmiast poprosi, ażeby jej wydano jej pieniądze. Otóż za te pieniądze Wawa natychmiast otworzy dom dla podrzutków. I zabierze do siebie wszystkie dzieci, które opuszczają, które chowają przed ludźmi... Tak, Wawa wszystkie te dzieci przygarnie i będzie miała dużo, dużo dzieci, z początku sto, potem dwieście, potem więcej i więcej... A wszystkie sama będzie kapała i wycierała, i ubierała i do snu układała, potem będzie je uczyła chodzić, mówić, czytać, myśleć, kochać, przebaczać...

Wawa już widzi swoje ogromne pokoje, pełne łózek dziecinnych, błyszczących oslepiającą białością, a w tych łózekkach dzieci maleńkie, delikatne, miłe, potrzebujące pomocy... Zasypiały, budziły się, uśmiechały, i krzyczały, i płakały, a wszystkie nazywały ją: «mama!» A ona kochała je wszystkie, wszystkie... Jedne są zdrowe, ładne, wesołe i są przedmiotem jej dumy; inne—słabe, nędzne, kaleki, są przedmiotem jej szczególnych starań, jej opieki... A ona wszystkie jednakową kocha miłością!... Potem dzieci rosną, rozwija się w nich charakter i pomagają jej wychowywać młodsze dzieci, które ciągle do jej domu przybywają. Pracują, uczą się i rozwijają... I oto są Grakhowie i Wilhelmy Telle, których ona pragnie i oczekuje!... I tacy to ludzie żyć zaczną, podczas gdy ona, stara już i siwa, z uśmiechem radości spoglądać będzie na swoje dzieło, zawsze gotowa do niesienia pociechy, pomocy i rady...

Ach, gdybyż te dwadzieścia pięć lat nadeszły jak najprędzej! Dożyć można. Przecież Mimi dożyła. A tymczasem trzeba się uczyć, przygotować, a głównie—poprawić się i posiadać tę równowagę duchową, o którą najtrudniej! Trudno to, bardzo trudno, zwłaszcza gdy się taki dziwny charakter posiada. Ale cóż znów tak nadzwyczajnego? Popracuje nad sobą, a potem sama

sprawa sił jej doda. Będzie miała pomocnice. Sama nie dałaby wszystkiemu rady: rozerwać się nie sposób! Weźmie młode dziewczęta, tylko dobre, młode dziewczęta, nie posiadające posagów, i postara się im tak byt zabezpieczyć, ażeby nie czuły swego położenia. Potem weźmie starszki, takie, które szukają przytulku w ochronach, stare, bardzo stare, ale nie panie, ot, proste kobiety. Takie również mogą być niańkami. Nie potrzebuje wcale ani gimnastyki, ani bon angielek; wszystko powinno być jak najprościej urządzone, bez żadnych nadzwyczajności... Ale za to poteni, poteni!...

I marzenia te poprostu nowe życie wlewały w Wawę. Dziewczyna z dniem każdym wyglądała coraz lepiej. Do matki Wawa pisywała czułe, pełne głębokiego szacunku listy, a tak umiała dogadzać cioci, że ta szczerze się do niej przywiązała i często mawiała do Mimi:

— *Décidément, Julie est une personne de beaucoup d'esprit, mais elle manque de coeur!*...

W ciągu pierwszych kilku tygodni doktor Waraski kręcił się około Mimi z widocznym celem podobania się swojej pacjentce. Spacerował z nią, siedział przy niej na muzyce, jeździł z nią konno, ze trzy razy był u niej na herbacie, ale wkrótce znudziło go to. I ma-man nudziła go swem gadulstwem i wiarą w niego, jak w Boga, i Mimi nie była wcale zabawną. Brakowało jej życia, dowcipu.

Mimi ze swej strony również rozczarowała się co do doktora, który z początku bardzo jej się podobał. Mimi była wydelikacaną, zepsuta, i przyzwyczajoną do tego, ażeby wszystko i wszyscy dokoła niej ją tylko mieli na celu, jej dobro i jej przyjemności, a doktor był okropnym egoistą i o sobie tylko myślał. Tak na przykład, jeździł z nią konno i jeździł ciągle kłusem (dla czegoś tam podobno było to dla niego pożyteczne). Ale za cóż ona miała cierpieć te męczarnie?

Pewnego razu Mimi tylko co wypita była kumys, a przy tem miała na sobie nieco przyciasny gorset—cierpiała takie straszne męczarnie, że wróciwszy do domu nawet płakała. A mamam, rozcierając jej boki i odliczając piętnaście kropli walerjany, rozmyślała:

— Jakie to jednak świnię ci mężczyźni (maman pocichu wyrażała się wulgarnie). Trzęsie się, trzęsie dla własnej przyjemności i nie pomyśli o tem, że biedaczka sił nie ma. A w dodatku przecież doktor!...

Ale ostatecznie oburzyła się mamam na doktora Waraskiego, gdy powiedziano jej, że podbiła go jego sąsiadka i pacjentka, pani Czereszniw. Pani ta była wdową, liczyła około trzydziestu czterech wiosen i przyjechała do wód z niańką i sześćioletnim synem. Zajął lokal sąsiadujący z lokalem Waraskiego, a balkony ich bezpośrednio się stykały. Posiadała bardzo ładne toalety i wogóle była bardzo elegancką i interesującą. O tem wszystkim mamam dowiedziała się od mademoiselle Kossowicz.

Wkrótce na własne oczy przekonała się o prawdziwości tych słów. Waraski spacerował z panią Czereszniw, jeździł z nią konno na polowanie na orły (tak, Czereszniwowa strzelała—i na co to kobiecie?) bywał u niej na herbacie, bawił się z jej synem, słowem, prawie się nie rozstawali. To zniewoliło nasze damy do pewnego i to znacznego chłodu dla Waraskiego. Ma się rozumieć, mamam nie życzyła sobie tego wcale, ażeby doktor kompromitował jej córkę, jak kompromitował *cette madame Tschereschnieff*. Zresztą, doktor nie śmiałby dojść do czegoś podobnego. Mimi i Czereszniwowa, bądź co bądź, nie jedno i to samo. Mimi mogła posiadać wielbicieli—*grand Dieu!*—ale Mimi nie mogła mieć kavalera damy odgrywał doktor, człowiek, któremu się daje dziesięciorubłówki za wizyty i odprawia się jak fryzjera!... Mamam wydziwić się

nie mogła tej Czereszniwowej!... Gdyby Mimi tylko chciała, ma się rozumieć, umiałaby znaleźć coś lepszego... Ależ, gdyby ona tylko zechciała, cała dywizja zaczęłaby się starać o jej względy... Przecież księżęta gotowi są zapisać się na listę jej wielbicieli!... A doktor... Człowiek, któremu daje się pieniądze za wizyty!... Zresztą, mamam uważała go za człowieka poważnego... Dzięki Bogu, przecież nie młokos!... A całe dnie przepędza u tej madame Czereszniw; *à son âge!*... Widocznie prawdę mówił doktor Skawronski, który opowiadał, że Waraski jeździł w fezie i z fajką, a za nim świta z ośmiu zakochanych w nim dam... Czegoż tu się człowiek nie napatrzy, nie nasłucha!... A to lekkomyślne zachowanie się doktora Waraskiego do tego stopnia ochłodziło mamam do niego, że za obecny sezon ostatecznie już postanowiła zapłacić mu sto, a nie sto pięćdziesiąt rubli. Mimi w zupełności zdanie to podzielała.

Mamam nawet przestała wierzyć w niego jak w Boga.

Kisłowodsk przygotowywał się do otwarcia sezonu. Ceny w hotelach już wzrastały, w oczekiwaniu pacjentów, którzy powinni byli zjechać się jeszcze tutaj dla polerunku, dla odpoczynku od kuracji raczej, aniżeli na kurację. «W Kisłowodsku—pisze Lermontow—bywa rozwiązanie wszystkich romansów, które się rozpoczęły u stóp Besztan, Maszuka i Żelaznej». Tutaj wogóle sumują się oddzielne pozycje, rozwiązują się intrygi, wychodzą na jaw podejścia, lekarze obliczają zebrane honorarja, chorzy próbują sił, słowem, tutaj odgrywa się olbrzymi finał sezonu kuracyjnego.

Otóż, jak powiedzieliśmy, Kisłowodsk przygotowywał się do otwarcia sezonu. A tymczasem na sąsiednich wodach zawiązywały się i rozwijały się romanse, które miały znaleźć rozwiązanie dopiero tutaj. Nudzące

się wdowy, rozwódki, żony niezadowolone ze swego losu, lekkomyślne i pragnące przelotnych wrażeń, sentymentalne stare panny, podstarzałe panny na wydaniu—wszystko to kręciło się u źródeł, z których czerpało życie i odwagę, a jednocześnie na prawo i na lewo zapuszczało wędkę i sieć. A rybki, większe i drobniejsze, łapały się powoli i zaplątywały się w sieciach.

Aż oto nadszedł nareszcie dzień, w którym pierwsi trzej pacjenci doktora Iwanowa przenieśli się z Żelaznowodska do Kisłowodzka, a siedmiu pacjentów doktora Gracjańskiego przybyło tutaj z Piatigorska, chociaż sezon tam się jeszcze nie skończył. Chorzy przychodzili do zdrowia, znajomili się z sobą, bawili się, powoli wciągając się w wir życia «wodnego». Wieczory były coraz ciemniejsze, gwiazdy coraz jaśniej mrugały, a burze coraz częściej niepokoiły chorych i zdrowych.

Mimi nie nudziła się. Pani jenerałowa piękniała i rozkwitała. Mimi żadnego nie miała romansu, o, nie!... «Czy serce w jej piersiach zbyt było spokojne, czy wszystko dokoła miłości jej nie warte?», jak mówi piosenka. Ani to, ani tamto. Oto poprostu, Mimi była zbyt dobrze wychowana, ażeby mogła w jakibądź sposób zboczyć z drogi obowiązku. A chociaż dokoła niej, w jej oczach, pary się spotykały, uśmiechały, flirtowały, chociaż otaczała ją atmosfera chwilowych miłostek — Mimi była zimną zupełnie i zupełnie spokojną. Cóż mogły ją obchodzić te... damy? Cóż mogły ją obchodzić te marne robaczki, które kręcą się w trawie pod palącymi promieniami słońca? Tamci i tamte żyją jak chca; Mimi prowadzi takie życie, jakie prowadzić «powinna».

I dumna, w poczuciu swej nieskazitelnosci, Mimi, młoda, piękna, świeża, lekko i z gracją spacerowała po alejach, najmniejszej nie zwracając uwagi na gorące spojrzenia, które na nią rzucano, ani na spotkania się z *nim*, z *l'homme au chien* (a jak on wypiękniał!).

Mimi nawet cienia romansu nie miała — i wraz z mamą śmiała się ze swej sąsiadki najbliższej, młodej wdowy ze Smoleńska, która, nie zdążywszy jeszcze zdjąć żałoby, mówiła do swej znajomej:

— Co prawda, nic nie miałabym przeciwko roman-sowi, tylko żeby inicjatywa nie odemnie pochodziła!

A kiedy wkrótce potem zaczął bywać u niej młody oficer, mama nazwała go «oficerem z inicjatywą».

Ach jakże on im dokuczył!... Pluł, kaszłał i bezustanku palił papierosy, i to jak najgorsze papierosy, a wdowa zamglonym głosem śpiewała: «I noc, i miłość, i księżyc»...

Mama podsłuchiwała ich rozmowy; dzielił ich tylko kawałek płótna, balkony bowiem ich stykały się z sobą.

— Nie ma pan jakiej książki do czytania? — mówiła wdowa. Nudy okropne!... Niech mi pan przyniesie jaką książkę, tylko bardzo proszę, żeby bez miłości... Czy są takie książki?

— A dlaczegoż nie. Czytała pani Hleba Uspeńskiego?

— Hleba? Nie. A dobre?

— Niech pani przeczyta. Przyniosę.

— Przynieś pan, przynieś!

I czytali razem Hleba Uspeńskiego, potem czytali Schopenhauera. I mama, siedząc z robotką na balkonie, także słuchała Schopenhauera i uśmiechała się, myśląc:

— Czytajcie, czytajcie sobie! Widocznie, *tout chemin mène à Rome*.

Zmęczony czytaniem oficer kładł książkę na stole i zapalał papierosa.

— Ach, jaka to prawda, jaka święta prawda! — mówiła wdowa, smętym wzrokiem ogarniając Besztan. Ja zupełnie tak samo spoglądam na życie, jak Schopenhauer. Nic, nic nie ma, coby się jak dym nie roz-

wiało pod działaniem analizy. Oh, doprawdy, żyć nie warto.

— Hm, ma się rozumieć, życie—to nędza. No, ale znów dlaczegożby nie można pożyć sobie nieco tak, po prostu, nie analizując, nie rozmyślając nad tą nędzą?

— Oh, nie! Skoro się już wie—nie warto, nie warto!

— Nie, warto spróbować, chociażby dlatego, ażeby się przekonać.

— Ależ, kiedy zgóry wiadomo, że nie warto!

— Dlaczegoż znów nie warto? Przecież i Schopenhauer najprzód żył sobie, a potem dopiero wszystko to napisał?

— To jest, jak to żył sobie? No tak, przekonał się, że wszystko kłamstwo, głupstwo i marność, że tylko sami się oszukujemy. I wszyscy do tego samego przychodzimy wniosku. Czyż warto tracić siły na to, ażeby dojść do rezultatu już znanego, chociażby drogą literatury?

— No, pani coś tam bierze za wysoko. Ja prościej na wszystko się zapatruję.

-- Ach, po cóż czas tracimy. Niech pan czyta!

Ma się rozumieć, że wszystko to było śmiechu warte, i Mimi nigdy nie pozwoliłaby na coś podobnego. Czyż mogłaby narażać się na śmieszność, jak ta wdowa? Nigdy! Fi! Mimi było wesoło, dobrze zupełnie, bez romansu. Oficer z jej dywizji jeździł z nią konno i przedstawiał jej swoich znajomych. Wszyscy się nią zachwycali, wszystkim się podobała. Nieby jej nie kosztowało, gdyby zechciała poznać i *l'homme au chien*, ale Mimi nie życzyła sobie tego. Jeszcze tego brakowało! A to po co? Mimi, tak samo jak i Wawę, najwięcej cieszyło poczucie własnej wolności, brak przy-  
musu i ciągłej opieki. Tutaj mamam nie nudziła jej i nie towarzyszyła na przechadzkach. Mamam możeby i chciała, ale powstrzymywało ją zazdrosne słońce kaukazkie. Mamam nie znosiła gorąca. Rano, po wyelegan-

towaniu dzieci i, jak Opatrzność, po zapewnieniu im koniecznego na cały dzień komfortu, mamam, po ich odejściu, zamykała okienice, spuszczała rolety i, wśród chłodu, kładła się z książką w rękę na kanapie. Myśla, ma się rozumieć, mamam towarzyszyła swym biednym chorym, które piekły się na słońcu. O Mimi była zupełnie spokojną, ale Wawa wzbudzała pewne obawy. Wawa—to czysty ogień, łatwo się zapalający, porywczy... Wawa unosiła się co chwila (te cienkie panny—zawsze są takie namiętne!), a tutaj jeszcze ta atmosfera, słońce... A przytem Wawa taka wesoła, taka miła, tak wyładniała... No, a jeśli to nie bez przyczyny? I mamam zaczęła się obawiać wcale nie na żarty, i nieraz, wśród ciszy nocnej obrazu junkra i studenta unosiły się nad jej wezgłowiem, jak dwa szatany, mącąc jej sen i spokój. Po namyśle i po odpowiedniem przygotowaniu się, mamam zwróciła się nareszcie z zasobem przestróg do Wawy. Wawa na to wszystko odpowiedziała tylko wejrzeniem, ale to takim wejrzeniem, że mamam aż się przestraszyła i odtąd postanowiła sobie nigdy nic Wawie o tem nie mówić. Ażeby uspokoić własne sumienie i raz na zawsze zrzec się odpowiedzialności, mamam zawołała służącą Kasię i rozkazała jej, ażeby ani na krok nie odstępowała panny, oraz ażeby donosiła jej, mamam, z kim panna spaceruje, dokąd chodzi, i czy, broń Boże, nie chodzi z kim sam na sam.

Kasia, po wyprasowaniu spódnic Mimi i po przygotowaniu wszystkiego jak należy, wychodziła do parku ze szczerym zamiarem śledzenia panienki. Ale że panna była nadzwyczaj ruchliwą, a biegać za nią po słońcu niepodobna, Kasia więc najspokojniej siadała na ławce, w cieniu ogromnego drzewa, na drodze przez którą Wawa koniecznie przejść musiała, powracając do domu na obiad, i siedziała sobie, przypatrując się przechodniom.



Naprzeciwko tej ławki, na wzgórkach stali kupcy ze swojemi towarami: włoch sprzedawał korale, mozaiki, a ormianie—wyroby kaukazkie. Między nimi stał też ormianin małego wzrostu, z chytremi, wązkimi oczyma, i z ogromnym nosem, wychylającym się z pod wielkiej czapki. Stojąc przy swojej witrynie, w której błyszcząły kaukazkie turkusy i srebrne emaljowane wyroby, pasy, broszki, sztylety, śpilki z napisem: «Kaukaz, Kaukaz, Kaukaz», tak znacząco i tak chytrze spoglądał na Kasię, jak gdyby domyślał się w jaki to sposób ona okpiwa panią generałową.

Trzy dni już Kasia siadała na tej samej ławce, a ormianin, spacerując około swej witryny, rzucił na nią zabójcze spojrzenia, a oczka jego przytem zweżały się jeszcze bardziej, a nos znów wydłużał się i olbrzymiał. Kasia udawała, że tego wszystkiego nie widzi i coś tam rysowała parasolką na piasku. Potem ormianin przemówił do niej. Kasia akurat przechodziła obok niego i po przez jego głowę wpatrywała się w Besztan. Wówczas to on odezwał się:

— Jak gorąco!... Po co to teraz spacerować! Teraz nie trzeba spacerować! Wieczorem—to co innego. Wieczorem—nie gorąco, a teraz—gorąco!

Kasia i teraz udała, że nie słyszy i, bawiąc się kokieteryjnie parasolką, odeszła.

Ormianin odtąd już zaczął się jej kłaniać, a Kasia mimowoli ukłonem na ukłon odpowiadała. Z początku odbywało się to bardzo poważnie, potem z uśmiechem. Jeszcze parę dni minęło, a ormianin zapraszał ją, ażeby coś kupiła.

— Wszystko to drogie—odpowiedziała Kasia—nie na naszą kieszeń!

— A ty przekonaj się, a potem gadaj... Drogo nie zapłacisz... Przekonaj się... O, popatrz... przyjrzyj się...

I Kasia zaczęła oglądać i wybierać rozmaite przedmioty. Po upływie tygodnia Kasia już na pamięć wie-

działa, jakie przedmioty ormianin sprzedaje, jak się nazywa, ile ma lat, dowiedziała się, że ma w Petersburgu brata stryjecznego, który jest subjektem w magazynie kaukazkim, że sam ma zamiar pojechać do Petersburga, dowiedziała się wielu szczegółów o Tyflisie i Kisłowodsku, a nareszcie doszła do przekonania, że wieczorami w parku daleko lepiej aniżeli w dzień, dlatego że nie gorąco, a ciemno przytem, okropnie ciemno!... Kasia już to wszystko wiedziała, ale dotąd jeszcze nie wybrała żadnego przedmiotu, kupno jakiejś pamiątki odkładając do Kisłowodska.

A Wawa, która była niewinną przyczyną czarnych myśli mamą, spokojnie czas spędzała na gimnastyce ze swoją przyjaciółką-institutką i, nie mogąc już dłużej zachować tajemnicy, rozwijała jej swój projekt domu podrzutek. Institutka myśl samą podzielała, ale niebardzo wierzyła w możliwość jej urzeczywistnienia. Uśmiechała się niedowierzająco i, wzruszając ramionami, mówiła:

— Wszystko to bardzo piękne i ładne, ale nic z tego nie będzie. Wyjdiesz za męża i będziesz kołysała własne dzieci. A, prawdę powiedziawszy, to będzie daleko lepiej.

— Dlaczego?

— Ma się rozumieć. Nigdy cudzego dziecka nie można tak kochać jak swoje.

— Alboż to one cudze? Przecież prawie od chwili urodzenia będą do mnie należeć?

— A zawsze to nie to samo. Boże drogi, przecież nie mogą porównywać. Ale wszyscy to mówią. Zresztą i ja jestem tego zdania. Niepodobna obcego dziecka kochać jak swoje. Jabym nie mogła.

— A otóż ja mogę... Jakże można nie kochać? Przecież szkoda tych maleńkich, niewinnych, porzuconych. A jeśli kochając litujesz się, kochasz poważniej, mocniej, lepiej...

— Nie, nie... Zawsze w tem jest coś nienaturalnego. No, rozumiem, gdybyś była nieszczęśliwą, gdybyś już przekonała się, że szczęśliwą nigdy nie będziesz — wówczas, jeszcze jako tako, ale teraz, tak!... Przecież możesz być jeszcze szczęśliwą!

— Ależ ja tylko w ten sposób mogę być szczęśliwą!...

Mimi tymczasem siedziała sama w dużej altanie i czytała «*La grande marnière*». Czytanie nie zajmowało jej. Romans jej nie wzruszał i Mimi po kilka razy odczytywała jedną i tę samą stronicę. W altanie siedzieli jeszcze dwaj duchowni i nianki z dziećmi, a chociaż wcale nieciekawe prowadziły rozmowy, Mimi pomimo woli przysłuchiwała się. Zresztą odchodzić ztąd Mimi nie chciała: było tu lepiej i chłodniej, aniżeli gdzieindziej.

Duchowni wstali i wyszli, a w tej samej chwili zjawił się we drzwiach *l'homme au chien* ze swoim psem. Nieznajomy podszedł do balustrady, oparł się i jał się przyglądać okolicy. Mimi jeszcze uważniej zaczęła czytać. Nianki obejrzały przybysza i wróciły do przerwanej rozmowy.

— Dlaczego to tutaj tak dużo duchownych?

— Choroba widać taka. Od postów psują sobie żołądki—no, a potem muszą pić to błoto. Dobra to podobno woda, ta tutejsza... Nasi piją...

— I nasi też z początku pili... Teraz zaczęli pić bariatyńską. Pani moja nie chce rano sama chodzić: idź-no, powiada, nianiu, i przynieś wody. No, ma się rozumieć, trzeba iść. A daleko do tej wody! Teraz już bariatyńską pije...

— Więc ta wasza pani sama się leczy?

— I sama i nie sama. I doktor przychodzi, i ona coś tam wymyśla.

— To u was tylko pani chora?

— Nie: wszyscy. Panienska, pani, pan...

— Czy naprawdę chorzy, czy tylko tak sobie?

— E, nie, chyba naprawdę. Jak tam komu Bóg przeznaczył. Pan nasz to niby, jak gdyby mu klepki brakowało. On nawet to już siedział u warjatów, a jakże!... I do wody się rzucał: chciał widać raz już zejść ze świata. No, teraz mu już lepiej. Kuźmicz go wyleczył. Teraz to już sam spaceruje, wodę także pije, a potem do Krymu jeszcze pojedziemy. Teraz to już przeszło...

— Warjat, nie daj Panie Boże!

— Nie daj Boże, nie daj Boże!... A co to się u nas wówczas działo—strach! Kuźmicz wyleczył.

— A panienska jak tam?

— A tak sobie. Chuda tylko i wstydzi się wszystkiego... a takie ma pryszczki na twarzy!... Panienska nikomu wody nie zamaci... Miała narzeczonego, prawdziwego narzeczonego, wojskowego, w mundurze... Wziął coś z posagu na zadatek, a z inną się ożenił... Otóż, panienska pomęczyła się, pomęczyła... A teraz już przeszło... Kuźmicz pomógł.

— A pani?

— A pani to już chora co się nazywa. Widzieliście ją, jak okropnie wygląda. Żółta taka!... Ot, tej zimy żółc się w niej rozlała, a tamtej zimy kamienie z niej wychodziły. Jak te kamienie wychodziły z niej, krzyczała, bywało, okropnie! Leczyli ją i leczyli bez końca: i babki, i doktorzy—ale nic nie pomagało. Ciagle chorowała i chodzić nie mogła, bo to coś jej we środku pękło. Tak, tak!... A ile to pieniędzy kosztowało!... Jeździ doktor i leczy, aż tu usłyszeli, że inny drożej bierze, więc tego już nie trzeba, a dawaj nowego. I ten poleczy trochę, a potem znów znajdą jeszcze droższego... Nabożeństwo odprawiali, obrazy przywozili—a tu nic i nic, chora i chora! A jak na wiosnę mieliśmy jechać na Kaukaz, mówię do pani: a jaką to drogą

pojedziemy? czy przez Samarę nie będziemy przejeżdżali? A pani odpowiedziała, że parowcem pojedziemy po Woldze i koło Samary przejedziemy... A ja z samarskiej guberni, z powiatu buzułuckiego... No, powiadam, chce pani czy nie chce, a jeśli pani sobie i panu dobrze życzy, to niech pani zajedzie do Kuźmicza... U nas mieszka taki Kuźmicz, co to jest lepszy od wszystkich doktorów; z chłopów jest on, ale do niego jeżdżą leczyć się i książęta, i jenerałowie, i wiele, wiele państwa... Jak tylko kogo doktorzy zaleczą, on natychmiast wyleczy... Mówię tedy: niech pani pojedzie! Sam Pan Bóg państwa do Samary wysła! «Milcz—powiada—nie gadaj głupstw. Ty nic nie rozumiesz. Cóż to za Kuźmicz? No, idź do apteki». Dobrze, powiadam, nie to nie, ja przecież zdrowa. Pójdę. A potem płynęliśmy po tej rzece, po Woldze, i oto dojeżdżamy do Samary, a pani do mnie mówi: «No, pamiętaj, tylko nikomu nie mów. Pojedziemy do Kuźmicza»... Wiadomo — kupcy, chociaż bogaci, aż pięć domów u przystani kałasznikowskiej, ale zawsze państwa się wstydzają!... A ja powiadam: a po cóż mam gadać? Nie powiem! Chce pani jechać, pojedziemy, a ja komu mam gadać? No, i pojechaliśmy do niego! A on to, Kuźmicz, oboje ich i wyleczył. Najprzód pana obejrzał, wziął go za rękę i całe ramię mu obmacał. Doktorzy to za koniec ręki biorą i na zegarku rachują, a on, Kuźmicz, całą rękę od samego ramienia obmaca i bez zegarka chorobę znajdzie! Otóż powiada on do mojego pana: «Masz—powiada—rematyzę pod skórą. Nie bój się — powiada—wyzdrowiejesz. Pij!» Zaraz dał dużą butelkę. A do pani powiada: «Prawda, że ci się żółć rozlała. Ale to—powiada — głupstwo; ale że ci we środku pękło, to niedobrze. Ty—powiada — powinnaś się bać, bo jak się bać nie będziesz—umrzesz! Tak! Leż sobie i pij!» I dał jej drugą butelkę. Panienska nie chciała pójść do Kuźmicza, śmiała się z niego i nie wierzyła,

ażeby chłop tam jakiś mógł leczyć. A on, Kuźmicz, jak to zauważy, powiada do niej: «A czego się śmiesz! Miałaś—powiada — narzeczonego, a on drapnął! No, no, nie bój się! Znajdziesz sobie innego. A pieniądze masz?» Mamy, mamy—powiadam. Jakżebyśmy nie mieli? Pięć domów murowanych na przystani kałasznikowskiej!... «No—powiada — dobrze. Za mąż pójdzie i wyzdrowieje. A tymczasem pij!» I dał jej znów flaszkę. I dzieciom pić kazał. I do mnie zwraca się, a ja powiadam: w krzyżach boli. A on: «Pij—powiada—stara». No, i pijemy.

— I pomaga?

— Pomaga. Rano jak wstaniemy, wszyscy naczczo pijemy. Doktorowi nie mówi się o tem. I tutejszą wodę pani piła, a teraz pije bariatyńską. Ale już za to, co tylko z apteki przyniosą, zaraz wyrzucamy. Bo Kuźmicz powiedział: nic tego nie trzeba. A jak pani się zrobi gorzej, to i wody pić przestaje, a tylko pije lekarstwo Kuźmicza. Coś na mięcie...

— Mięta—to dobrze. Co do mnie—wciąż piję michajłowską. Bardzo mi się podoba. Chłodna taka.

— Alboż to zdrowy może ją pić? Ja nie piję. Boję się.

— A jak, broń Boże, człek chorobę na siebie sprowadzi?

— Nie, to źle nie robi. Ma się rozumieć, że kto tłusty, nie powinien pić tej wody, ale chudym i krwistym to ona szkody nie robi, a nawet pomaga...

— Popiłabym, ale się boję.

— Czego się bać? No, chodźmy zaraz i wypijemy. Gdzie moje łobuzy?... Jasiu, Józiu, chodźcie-no, chodźcie! Pójdziemy na gimnastykę!

Niańki wstały, pozbierały zabawki, chustki i parasolki, i uprowadziły «łobuzów». Mimi i *l'homme au chien* zostali sami w altanie. Mimi przewracała kartki,

nie odrywając oczu od książki. *L'homme au chien* siadł nieco z boku, wyjął z kieszeni gazetę i zaczął czytać. Oboje czuli, że znajdują się bardzo blisko siebie, oboje doskonale to rozumieli, że jeśli czytać przestaną i zaczną rozmawiać, rozmowa sprawi im przyjemność. Teraz nudzili się, radziby zacząć rozmowę, a przecież nie rozmawiali. On nie miał odwagi, ona nie chciała. Od czasu do czasu Mimi odrywała wzrok swój od książki, spoglądała w dal swemi niebieskimi oczyma i zamyślała się. On ukradkiem pieścił ją wzrokiem, zachwycał się jej uczesaniem, koniuszkiem małej nóżki, całą jej figurką, młodą, piękną, świeżą... Mimi wzrok jego przeczuwała i mimowoli w ładnej jej główce taka myśl się formułowała: «Aha, a więc nie tylko aktorki są ładne?» Potem *l'homme au chien* zwinął i schował gazetę, wyjął oksydowany porte-cigare i grzecznie zapytał, czy dym jej nie szkodzi? Mimi odpowiedziała ruchem głowy. Nagle strach ją jakiś ogarnął, strach niczem nieusprawiedliwiony, bezpodstawny, ale przykry. Boże drogi, wszak on znów się gotów odezwać, przemówić, a cóż ona mu odpowie? Do czego to może doprowadzić? Dotąd tak wszystko składało się dobrze, tak zajmująco, a tu nagle wszystko się może popsuć! Jeżeli on przemówi do niej jak do kokotki, ma się rozumieć, ona się obrazi, wszakże jest generałową i kobietą uczciwą. A zresztą, cóż ona może mieć do powiedzenia temu panu? Mimi tak nie lubi rozmawiać, tyle to jej sprawia przykrości; Mimi do rozmowy po prostu musi się przymuszać. I Mimi, nie namyślając się, nawet niezupełnie zdając sobie sprawę z tego co robi, zamknęła książkę, wstała i z wielką gracją, lekko i zgrabnie kołysząc się na pięknych nóżkach, opuściła altanę. *L'homme au chien* odprowadził ją wzrokiem aż do drzwi i zanucił «Azre». Oto wszystko. Nic więcej nie zaszło, nic się nie stało, ani zwyczajnego, ani nadzwyczajnego, a jednak Mimi było wesoło, bardzo we-

soło. A chociaż chciała, o, jak chciała, znów wrócić do altany—nawet się nie obejrzała i poszła do domu.

Na obiad nasza czwórka zeszła się w jak najlepszych humorach. Jadły z apetytem, żartowały i śmiały się z potraw, które się nie udały, z nudnego już *à la fin* barana, chwając za to dobrze i smacznie przyrządzone przez mamę potrawy. Maman musiała na swej kuchence naftowej sporządzać nie tylko kotlety i *beaf-steaksy*, ale przystosowała ją do kompotów, legumin i t. p. rzeczy.

Kasia oczyszczała Wawę z gąsienic i kleszczy; Mimi przeglądała się w lustrze, starannie ocierając twarz od kurzu i chroniąc ją od opalenizny, a mamę zdawała relację ze swych badań, jakie gorliwie prowadziła nad sąsiadami i sąsiadkami. Otaczające dokoła romanse oburzały mamę, ale zarazem zaciekawiały i codziennie interesowały coraz bardziej. Mniejsza, że ich bohaterkami były takie sobie, bardzo zwyczajne kobiety; mamę pomimo to o mało szyi sobie nie skreśliła, oglądając się za niemi... Wszystkie perypetje, aż do najmniejszych szczegółów, okropnie interesowały mamę. Kasia, podając półmiski, dopełniała opowiadanie mamy własnymi spostrzeżeniami.

— Teraz wszystko rozumiem—z pewną satysfakcją mówiła mamę o pani doktorowej, która w pobliżu mieszkała: *Le mari sait tout... c'est clair comme le jour...* Czego to się tutaj człowiek napatrzy i nasłucha!...

Po obiedzie Mimi i Wawa znów zniknęły, a mamę, nie spiesząc się, ubierała się po petersbursku, ocierała pot z twarzy, posypywała ją pudrem i, wyelegantowana, udawała się do kursalu, gdzie odczytywała gazety, a potem siadała na balkonie z okropnie starym dygnitarzem z Petersburga, wiecznie cierpiącym na żołądek i wątrobę, i grała z nim w pikietę.

W końcu lipca, a mianowicie w ostatnich dniach tego miesiąca, kiedy to u nas na północy już zaczyna dojrzewać i czerwienić się jarzębina, a w Żeleznowodsku poczynają roznosić brzoskwinie i morele, pewnego pięknego poranka do Mimi przybyły dwie nieznajome damy i poprosiły ją, od imienia wszystkich właścicieli domów miasta Żeleznowodzka, ażeby raczyła przyjąć udział w zabawie, urządzonej na rzecz ochronki dla dzieci. Mimi propozycję przyjęła i udział swój zapewniła. Mimi na wielu tego rodzaju zabawach w Petersburgu sprzedawała rozmaite rzeczy i uważała to za najlepszą rozrywkę.

W dzień oznaczony Mimi, w lekkiej i nadzwyczaj wytwornej sukni koloru *pêche*, stała za stołem, przybranym w zielone girlandy i flagi, i sprzedawała herbatę. Obok niej sprzedawały ciastka, owoce i cukierki panie: baronowa Benkenstein w niebieskiej, pani Czereszniew w czerwonej i jakieś dwie damy, do miejscowej «śmietanki» zaliczone, jedna w białej sukni, a druga w sukni koloru zgniecionej poziomki. Na przeciwległym końcu głównego placyku stały fanty i stoły z biletami-allegri, które sprzedawały aktorki z grubą Borisowową na czele.

Maman i oficer z dywizji pana Spirydjona pomagali Mimi nalewać i podawać herbatę; doktor Waraski pomagał pani Czereszniewowej; *l'homme au chien* był pomocnikiem baronowej. Mimi pewną była, że teraz musi się z nim zapoznać, ale teraz wcale ją to nie przestraszało. Baronowa już poprzednio zaczynała z nią rozmowę w kąpielni, tak, że w razie spotkania już składały sobie ukłony. Baronowa przytem podobała się Mimi. Była nieco ekscentryczna, ale bardzo miłą. W dodatku *elle etait bien née est bien apparentée*, co maman ceniła bardzo. Baronowa przybyła tutaj z baronem, który przebywał w Żeleznowodsku pięć dni i pojechał dalej, zostawiając żonę na kuracji. Baronowa więc leczyła się

w doborowym, młodem i wesołym towarzystwie, w którym *l'homme au chien* grał wcale niepoślednią rolę. Na zabawie i mamam była bardzo ożywiona, rozmowna, nawet daleko rozmowniejszą aniżeli Mimi. Maman poznała się z baronową—panie przedstawione sobie wzajemnie, wzajemne też prawily sobie komplementy i zapraszały się, a tymczasem Mimi przedstawiono *jego*, *l'homme au chien*.

Mimi tego wieczora była nadzwyczaj miłą, uprzejmą i, jak zwykle, piękną. Z jakąż gracją uśmiechała się, licząc pieniądze i wydając resztę! Jakoś to się stało samo przez się, że *on* został jej pomocnikiem, a oficer z dywizji jej męża przeniósł się do baronowej. Mimi z nim rozmawiała bardzo chętnie, gdyż rozmowa zdawała się sama płynąć, łatwo, bez przymusu, nie tak jak z Waraskim, który zawsze miał taki wyraz twarzy, jak gdyby się z czegoś wśmiewał. Na wstępie i dla wstępu Mimi zapytała go:

— Pan pierwszy raz na Kaukazie?

To pytanie Mimi zadawała wszystkim.

— O nie, już czwarty rok jeżdżę stale tutaj.. Uważam to miejsce za rodzaj letniego mieszkania — odpowiedział *l'homme au chien*.

Z dalszych słów *jego* Mimi dowiedziała się, że przed czterema laty przybył tu chory, smutny, zmęczony, z ciężkiem brzemieniem na duszy, i znalazł tu pożądaną i upragnioną spokój i lekarstwo... Od tego czasu... W ten sposób zawiązana rozmowa toczyła się różnie i łatwo... Mimi mniej od niego mówiła, czasem nie wiedziała co powiedzieć, nie umiała znaleźć tematu, ale *on* za to mógł mówić i odpowiadać za dwoje. Mimi słuchała, uśmiechała się, potakiwała głową, a przysłuchując się, od czasu do czasu spoglądała na niego swemi oczyma madonny, które coś takiego mówiły, co go rozweselało, ożywiało i robiło jeszcze rozmowniejszym. A maman patrzyła na niego z boku przez lornetkę i

wywiadywała się co zacz? Czy baronowa znała go dawniej? Ależ, ma się rozumieć! Baronowa zna go dawno, on jest przyjacielem—jej męża. On jest adwokatem z Kijowa, bardzo bogaty, to jest żonaty z bogatą córką fabrykanta i obywatela kijowskiego. Żona jego to zacności kobieta, tylko dzika nieco i zanadto poważna. Bardzo mało czasu spędza po za domem, gdyż bardzo jest dziećmi zajęta, ale oni bywają w jak najlepszych kołach. Teraz żona jego z dziećmi mieszka u siebie, na wsi, a on corocznie jeździ tutaj na—wody. O, bardzo, bardzo porządny człowiek, ale to bardzo... Maman wysłuchawszy tego wszystkiego i pokiwawszy głową, zaprosiła też do siebie i pana Walerjana.

Na imię mu było Walerjan.

Zabawa się skończyła. Dochód był nadspodziewanie dobry, a damy *beaumont'u* zebrały o piętnaście rubli więcej, aniżeli damy *demimond'u*. Pani Czereszniew szczególnie z tego była dumna. Baronowa była zmęczoną i mówiła, że umiera. Mimi nigdy tak dobrze się nie czuła. Ach, jakże jej wody służą, jak służą!

Mimi nie poszła do domu, ale z mamą, w towarzystwie pana Walerjana, udała się na wieczór tańcu jacy. Mimi, ma się rozumieć, nie tańczyła, ale siedziała i patrzyła na bawiących się ochoczo. Pan Walerjan siedział obok niej i zabawiał ją dowcipami na koszt tańczących. Na życzenie księcia Dzumardzidze, księżniczka Arziwanidze i księżę Kakuszadze przetańczyli lezginkę. Na balkonie porucznik Nikeidze zawiele wypił wina kachetyńskiego, wskutek czego dobił sztylet i groził właścicielowi hotelu Czychwadze, że go zakłuje za podanie mu twardej kury. Wszystkie pokoje hotelu Czychwadze przepelnione były zapachem smażonej tłustości i czadu kuchennego. Doktor Babanin w czerkiesce i z nahajką w ręku przechadzał się w pośród swych pacjentów i pacjentek, dobierając kompanje, któraby z nim chciała pojechać na nocną wycieczkę na Besztan.

Muzykanci w papachach i ładnych, białych mundurach z całej siły wygrywali lezginkę, przy której dźwiękach księżniczka Arziwanidze płażała w falach czadu kuchennego.

Mama tak była rozradowana, że postanowiła sobie pohulać. Za jej zezwoleniem pan Walerjan kazał damom podać wina kachetyńskiego i szampańskiego, oraz obstałował szaszłyk i czychistmę. Siedli do kolacji.

— «Kaukaz mam przed sobą»...—dekłamował pan Walerjan, nalewając Mimi wino kachetyńskie, a Mimi wybierała widelcem przesmażone kawalki baraniny i mówiła, śmiejąc się:

— *Mais c'est excellent, le chachlyk!*

Pan Walerjan odprowadził panie do domu.

Wieczór był prześliczny. Tarcza złota księżycy spokojnie płynęła po lazurze, zalewając delikatnym światłem białe domki i drzemiące ogrody... Przy pożegnaniu mama jeszcze raz prosiła pana Walerjana, ażeby do nich zaglądał.

Mimi już po przyjeździe do domu długo jeszcze się uśmiechała. Mama z uczuciem wstrętu przypominała sobie spożyty szaszłyk i poszukiwała flaszczyki z *nux vomica*. Mimi zaczęła fryzować sobie grzywkę i podczas tego zajęcia myślała o *nim*, przypominała sobie rysy jego twarzy, jego spojrzenia. Jakże on powinien podobać się kobietom i, naturalnie, własnej żonie!... A jak też jego żona wygląda?... Dlaczego on tu sam?... Dlaczego ona nie przyjechała?... A może ona nieładna, niemłoda?... A może—piękna... Co to on o niej mówił? A jak dobrze mówi, tak swobodnie, rozumnie!... Mimi stanowczo nie zna żadnego mężczyzny, któryby tak ładnie mówił. I to dziwne, że i ona z nim czuje się zupełnie dobrze, on jej wcale nie krępuje; przeciwnie, jego obecność ośmiela ją... Tak, to dobry, bardzo dobry człowiek!... A jak to się wszystko dobrze złożyło! Po-

znali się w sposób nadzwyczaj przyzwoity. Mimi bynajmniej nie szukała jego znajomości, nie ucierpiała na tem wcale jej kobieca godność... Wszystko stało się tak prosto, tak dobrze!... Szkoda, że w czasie podróży tak jakoś dziwnie spoglądali na siebie. Byłoby teraz daleko lepiej, żeby w drodze tego nie było. Ale to głupstwo—i oczywiście on już o tem zapomniał... Tak, to bardzo porządny człowiek! On nigdy sobie nie pozwoli... No, ma się rozumieć, i Mimi przecie nic nie dopuści...

Słowem, dobrze, doskonale, że się poznali!... Między nimi może zapanować najczystsza przyjaźń. On to właśnie może być takim przyjacielem, jakiego ona oddawna już pragnęła... On się podoba Mimi, a przytem taki rozumny... Ma się rozumieć, że to on właśnie może jej zapewnić to, czego jej brakuje... Mimi nie posiada przyjaciela, towarzysza, odpowiedniego wiekiem, rozumnego, umiejącego prowadzić rozmowę, ale—to warunek konieczny—uczciwego i zupełnie porządnego... A czyż on nie uczciwy i nie porządny?!... Jeszcze kilku takich ludzi, a Mimi stworzy własne swoje sympatyczne kółko, w którym czas schodzić jej będzie wesoło i przyjemnie, i w którym dusza jej odpoczywać będzie od przykrości i goryczy, jakimi duszę tę napępiać musi jej nierówny (ależ ma się rozumieć, że nierówny) związek małżeński. A ma się rozumieć, że kółko to składać się będzie tylko z ludzi zupełnie przyzwoitych, uczciwych i porządných. Mimi wcale nie pragnie nadzwyczajnej, dzikiej wesołości. Mimi bynajmniej nie chce być tak lekkomyślną jak Netti i taką *tapageuse!*... Niech Pan Bóg broni!... Mimi nigdy nie wstąpi na niebezpieczną drogę. Mimi poprostu nie uczuwa potrzeby czegoś złego. Oto, chce poprostu pozyskać sobie przyjaciół, ludzi uczciwych, porządných, z którymi mogłaby się spotykać i rozmawiać o tem, co ją zajmuje. Jednego takiego przyjaciela już znalazła. On żonaty, ona zamężna, oboje nie wolni, nic więc nie może stanąć

na przeszkodzie ich przyjacielskim stosunkom. Ach, jak to dobrze, że się poznali!...

— Co on teraz robi?—myślała Mimi, skręcając przed lustrem dwunasty i ostatni loczek... Czy o mnie myśli?... Co myśli?

Rozebrawszy się i zgasiwszy świecę, Mimi ładną swą główkę ułożyła na poduszce... Aureola loczków otaczała jej twarzyczkę... Ale i myśli, i loczki, czepiając się jedne drugich, zasnąć jej nie dawały...

— Co on myśli?... Co on robi?...

A tymczasem pan Walerjan wrócił do hotelu, przyśniadł się do księcia Kakuszadze, z którym przeddzień się zaznajomił i, nalewając sobie kachetyńskiego wina, zakomunikował swemu nowemu przyjacielowi:

— No, poznałem nareszcie moją generałową!... Rozumem nie błyszczysz, ale oczy—przepaściste!... A rączka, a nóżka!...

Przy tych słowach pan Walerjan przesłał ręką całusa pod adresem Mimi.

Nazajutrz konno wybrali się do Karasu. Kalwaka da składała się z dziewięciu osób, ale Mimi jechała obok niego, a były chwile, że zostawali sami jedni. On mówił jeszcze więcej niż w przeddzień. Zkąd też zawsze miał coś do powiedzenia! A z jaką łatwością przechodził od jednego przedmiotu do drugiego! Mimi zapytała go, czy dawno ma psa? Odrązu, jednym zamachem, od odpowiedzi na to pytanie, przeszedł do miłości. A wówczas utworzyła się prawdziwa kaskada wyrazów, ale jakich wyrazów!...

Mówił, że życie bez miłości jest nudne, jak pustynia bez wody, że kobieta tylko miłością żyje, że po za nią kobieta jest podobna do rybki, którą na piasek rzucono, że kobiety są zepsute przez złe, bezsensowe

wychowanie, że dobrowolnie wkładają na siebie łańcuchy i kajdany, pod których ciężarem muszą upadać. I gdyby w tej chwili powiedzieć kobietom, że jutro ma nastąpić koniec świata, koniec życia, że runie gmach przesądów i konwenansowych pojęć, wówczas dopiero kobiety zrzuciłyby maskę, obnażyłyby swoje uczucia, pragnienia, przemówiłyby żywym, prawdziwym językiem... Wówczas groblaby się zerwała... A wszystko to było okraszone i wierszykiem Heinego, i dłuższym nieco—Bajrona, cytata łącińska, a tuż zaraz kupлетem z operetki...

Miłość świat porusza... Miłość—kwiatem życia, jego aromatem, jego koroną. Miłość jest kopułą gmachu życia ludzkiego... Jakże pięknie powiedział Musset... A Schiller... A Beaudelaire, a Sieczenow, a Fet, a król Salomon, a Draumort, a Kuźma Prutkow!...

Mądry ten, po stokroć mądry, ktokolwiek umiałby dojść do ładu w tym poetycznym chaosie!

Koń Mimi strzygł uszami, a Mimi poprawiała włosy, które niesforne wymykały się z pod kapelusza, a była piękną w tej chwili, jak słońce kaukazkie!...

Jechali obok siebie po wąskiej, leśnej drodze. Zielone gałązki zaczęły się o ich głowy; on ręką je odchyłał, ona nisko nachylała głowę. Przed nimi słychać było tentent koni, śmiech baronowej, wesołe głosy jej towarzyszków.

Niespodziewana wcale burza zastała ich w lesie. Mimi zawsze burzy się obawiała, ale teraz, w jego towarzystwie, nie bała się wcale: było jej dziwnie jakoś, przykro i wesoło...

Deszcz lunął, a cała kawalkada puściła się galopem. On miał burkę, którą zarzucił na plecy Mimi. Po przybyciu do Karasu wszyscy schronili się do jakiegoś lamusa, byleby tylko ukryć się od deszczu. Burza rozszalała się na dobre... Błyskawice wily się po-

między górami, a pioruny i grzmoty co chwila rozbiły się nad głowami przemokłego towarzystwa.

Wszyscy barony byli weseli i nieco podrażnieni szybko jazdą; baronowa była poprostu zachwyconą, twierdząc, że piękniejszego piknika w życiu swoim jeszcze nie udało się jej urządzić. Służba rozstawiała w lamusie stoły i stołki, nastawiała samowar, wykladała zapasy, wino... Nareszcie zabrali się do herbaty. Wkrótce przybyło jeszcze towarzystwo doktora Babanina, również porządnie przemoknięte. Baronowa zaprosiła ich na herbatę. Towarzystwo się powiększyło i było jeszcze weselej. Mimi zdjęła burkę, piła *cognac*, którym częstował ją pan Walerjan. Pan Walerjan również podawał jej herbatę, usługiwał stale, bawił ją, a Mimi było tak wesoło, że nawet przestała się tem smuć, że loczki jej się zepsuły.

Kiedy burza minęła, a na niebie ukazał się księżyc, całe towarzystwo przeszło do przygotowanych łódek i pływano po jeziorze. Ktoś śpiewał, baronowa wioślowała. Doktor Babanin w czerkiesce i z nahajką w rękę przepłynął konno przez jezioro. Do domu wrócono późno, bardzo późno... Mimi zmęczyła się, ale wcale tego nie żałowała, że na tę przejażdżkę dała się namówić. Ach, jakież po burzy cudowne było powietrze!... Co za noc!... Co za księżyc!...

Nastał cały szereg jasnych dni, bez trosk. Wstając rano Mimi już wiedziała, że natychmiast go zobaczy. I rzeczywiście spotykali się rano na muzyce. A jak tylko byli razem, jak się już spotkali — było im dobrze, bo to było najgłówniejsze, a wszystko zresztą było podrzędne. Ustaliły się pomiędzy nimi stosunki prawdziwej przyjaźni, a nic, ale to nic a nic nie było w nich nagannego. Spotykali się, spacerowali, rozmawiali,



śmiali się z baronowej i z jej znajomych. On opowiadał jej epizody z przeszłości baronowej, potem szeroko rozwodził się nad tem, co bez niej robił, z kim się widywał, o czem myślał, a potem umawiali się jak mają spędzić wieczór: czy pojechać konno, czy też pójść na muzykę. Jeśli nie mieli przedmiotu do rozmowy, on mówił o miłości, deklamował Feta, Musseta lub Bajrona, ale nigdy nie pozwalał sobie być zbyt natrętnym, no, i ma się rozumieć, ona do czegoś podobnego nie dopuszczała.

Mimi wiedziała, jakie uczesanie, jakie kostjumy najwięcej mu się podobały i starała się mu dogodzić. Mimi głaskała Rexa, a pan Walerjan ze swej strony pozyskał względy i sympatię jej pieska. Pan Walerjan dawał jej cenne wskazówki co do toalety, posiadał bowiem smak bardzo delikatny. Pan Walerjan znał się na koronkach i umiał doskonale dobierać kolory. Wogóle pan Walerjan mógł bardzo wielu rzeczy nauczyć Mimi.

Oboje lubili muzykę i nie opuszczali żadnego koncertu. A kiedy Mimi, siedząc obok niego, słuchała romansu, zdawało się jej, że to inna zupełnie muzyka od tej, którą słyszała w zimie, gdy obok niej siedział pan Spirydjon w sali klubu szlacheckiego. Czy to Kozielekowi śpiewał lepiej od Fignera, czy też ona tak się teraz czuła dobrze, że wszystko inaczej jej się przedstawiało, ale w każdym razie ta muzyka do tamtej wcale niepodobną była.

Maman rzadko uczęszczała na koncerty: po części unikała wydatku (dla siebie maman była trochę skąpą), a po części dlatego, że musiał ktoś przecie pozostawać z Wawą, która lubiła wcześniej kłaść się do łóżka, a kursalu nie cierpiała. Mimi więc chodziła na koncerty z panem Walerjanem. Po koncercie wracali do domu, Pan Walerjan prowadził ją pod rękę i półgłosem nucił

słyszane melodje. Mimi wznosiła ku gwiazdom swe oczy madonny, a potem spoglądała na niego, a oczy ich spotykały się i mówiły sobie coś bardzo czulego, coś, czego nie śmiały wymówić usta, gdyż on nic, ale to nic zbytecznego sobie nie pozwalał, a ona również na nicby nie pozwoliła.

Dobrze im było. I wszystko, co otaczało Mimi, wszystko co widziała i słyszała, ciemne te góry, las zielony, gwiazd migotanie, blask księżycy, tentent konia, szum gałązek, hałas jaki wśród tłumu panował, romansy śpiewaczek i śpiewaków, dźwięki koników polskich—wszystko to było dekoracją i orkiestrą w tej nowej i słodkiej arji, którą dla niej wyśpiewywał głos natury.

Badać własną duszę, własne uczucia — ależ na to Mimi nie miała czasu. Zresztą, operacji tej dokonałby nie umiała. Obawiać się nie miała najmniejszego powodu. Nic się przecie nie stało. Oto poprostu robiła jej przyjemność znajomość i stosunki z takim człowiekiem, i rozumnym i bardzo miłym. Oto, z kim się nudzić nie można!

Mimi mówiła do Wawy:

— Jeszcze nie spotykałam tak rozumnego i wykształconego człowieka. Jak on mówi po francuzku, po niemiecku, po angielsku! Co za rozum, jaka pamięć! Z nim cały dzień można rozmawiać i nie zauważyć jak czas schodzi.

Wawie pan Walerjan wcale się nie podobał, ale co mogła o tem sądzić ta głupia dziewczyna! Ale za to maman bardzo polubiła pana Walerjana i mówiła do Mimi:

— A czy pan Walerjan nie zajdzie dziś do nas? Zaprosz go na herbatę...

I pan Walerjan przychodził, i pił herbatę i cierpliwie wysłuchiwał opowiadań maman, a dla Mimi tyle

okazywał iście rycerskiego szacunku, że mamam zaledwo powstrzymać się mogła od chęci uściskania go. Mamam była zdania, że pan Walerjan jest piękny; była nawet pewną, że jest daleko ładniejszy od huzara Aniutina, który słynął z piękności na całą okolice.

I Kasia, zapinając buciki na drobnych nóżkach Mimi, mawiała, zgrabnie manewrując maszynką:

— Jaki to dobry pan!... Bardzo mi się podoba!... Dasza, ta co przy numerach, zna lokaja pana Walerjana i powiada, że to pan, jakich mało. Ma dom w Kijowie... A, powiada, taki dobry pan, taki dobry...

— O, tak—myślała pod wpływem tych pochwał Mimi—a głównie, że taki rozumny!

Wieczorem, kładąc się do łóżka, Mimi zawsze starała się przypomnieć sobie, co on jej mówił. A było to trudno, bo on tak wiele mówił! Ale co doskonale pamiętała, to jego spojrzenia! Jak on na nią spozrywał w chwili, gdy skęcili w aleję, prowadzącą ku rzece, a potem, kiedy zaczął śpiewać «Azrę», a ona spytała się go o słowa. Ach, jakie on ma oczy, jakie oczy! Dobrze, że on ją tak szanuje, bo gdyby jej nie szanował, Mimi już tego pewna, bałaby go się i to bardzo. Teraz, ma się rozumieć, Mimi jest zupełnie spokojną. Dość już go poznała, ażeby być pewną, że on nigdy na nic złego sobie nie pozwoli. Mimi jest kobietą uczciwą, nie taką wcale jak Netti. Mimi kocha go jak przyjaciela... Gdyby wolną była, możeby go inaczej pokochała. Ma się rozumieć, że gdyby go była znała, nie wybrałaby innego... Ale Mimi nie jest wolną i kocha go tylko jak przyjaciela. Jaka to dobra rzecz taka przyjaźń!...

I wśród ciemności Mimi otwierała oczy i przedstawiała sobie romans swój w przyszłości. Ona mu się podoba. Powoli on się nią zachwyci i pokocha ją, a tak pokocha, że pojedzie za nią do Petersburga. I, biedny, będzie cierpiał, okropnie będzie cierpiał, gdyż ona

będzie okrutną i nieubłaganą. Biedny, drogi, będzie cierpiał, długo będzie cierpiał, aż nareszcie wyzna jej miłość. I Mimi będzie cierpiała, ale powie mu: «I ja pana kocham, już dawno kocham, ale obowiązek... Musimy się rozstać!» I rozstaną się, nieszczęśliwi!... Ach, co za męczarnie, co za cierpienia! Ale, skoro inaczej być nie może... I Mimi wdychała, przekreślała poduszkę i poprawiała prześcieradło. W pokoju, którego drzwi na balkon prowadzące były otwarte, gorąco było i duszno. A obok namiętna wdowa wywodziła: «I noc, i miłość, i księżyc»...

Oficer z inicjatywą kaszlał i głośno ziewał.

— Oni ci zasnąć nie dają, nieznośni! Zaraz drzwi zamknę — mówiła mamam wstając i głos aż do szeptu zniżyła, ażeby nie obudzić Wawy, która spała doskonale. Wyobraź sobie, co ja dzisiaj widziałam: w moich oczach się pocałowali! Tak, *pour tout de bon*... Wyszłam na balkon, żeby wykurzyć spódnicę, a oni jak sobie siedzieli, tak się pocałowali... Schopenhauer na stole, a oni się całują. Co za świństwo!

Dzień po dniu mijał, a żadnych zmian szczególnych nie zaszło. Kuracja Mimi zbliżała się do końca, mamam notowała już w swoim kalendarzu dzień wyjazdu do Kisłowodzka. Wawa leczyła się, spacerowała, czytała, rozmawiała, spierała się aż do ochrypnięcia z nowymi przyjaciółmi o nieśmiertelność duszy, o kwestję kobieca, o myśli i poglądy Lwa Tołstoja.

Mimi bez trosk o dzień jutrzejszy flirtowała wesoło z panem Walerjanem. Kasia również wesoło flirtowała z Dawidem, który ze swym towarem zawsze na tem

samem miejscu stawał, a mamana grała w pikietę z żółciowym dygnitarzem, albo skręcała sobie szyję przy badaniu cudzych romansów. I Wawa i Mimi coraz były zdrowsze i coraz piękniejsze. Maman z radością to widziała i mówiła do swego partnera:

— No, proszę, jak to u nas lubią chwalić wszystko zagraniczne, a poniżać swoje własne. Czegóż to nam nie nagadali o Kaukazie! A przecie jak on moim pomógł! Gdybyś pan widział moją córkę na wiosnę... Ciebie, powiadam panu, cień prawdziwy! Baliśmy się, żeby nie suchoty... O, doprawdy, nasze wody są lepsze od zagranicznych.

Staruszek-partner nawet się nie uśmiechał i, zdając karty kościstymi palcami, odpowiadał mamana. Nie podejmował się obowiązku wyrokowania o damskich chorobach, przechodziło to granice jego kompetencji. Może damom wody tutejsze służą, bardzo to być może... Ale co się tyczy nas, mężczyzn, dygnitarz śmiało może zaświadczyć, że wody tutejsze pomagają tylko zdrowym... Poprawiają tutaj swoje interesy doktorzy. O, ci rozbójnicy wybornie się tu czują!... Osły, którzy nie umieją odróżnić hemoroidów od kataru kiszek (staruszek zmienił już czterech doktorów i przyznał się mamana, że i piątego nie może strawić!) Włóczą się tu, flirtują sobie, jeżdżą konno, jak warjaci, a chorzy znoszą wszelkie przykrości. Ciekawa rzecz, dlaczego rząd w to nie wejrzy? Komisarzowi pod nosem biorą łapówki. Grabież, rozbój, nieporządek... Ale przyjdzie czas!... Jeśli piąty doktor nie dobieje dygnitarza, napisze on o nich artykuł pod tytułem: «Nasze wody i nasi lekarze». Poznają się w nim, poznają!... Przyjdzie czas!

Maman łagodnie i łaskawie się uśmiechała, zbierając karty. Czyż warto było spierać się z człowiekiem, którego zamęczył własny załudek i własna wątrobą! Czyż mógł on strawić doktora, skoro nawet obiadowi

podobać nie mógł!... I z najmiłszym uśmiechem, głosem, który mamana umiała robić tak miękim jak olejek migdałowy, mówiła do niego:

— A wie pan czegobym radziła panu spróbować? Prosty, ale wypróbowany środek. Zięć mój długo, bardzo długo cierpiał na uporeczywy katar, ale to jaki katar!... Leczył się, jeździł do wód—nic nie pomagało!... I wiesz pan co mu pomogło? Zaraz panu powiem. Weź pan odrobinę, tyle co nic, na sam koniuszek noza... i t. d. i t. d.

Dnia tego był upał straszny. Mimi po kąpieli wolnym krokiem weszła na górę i usiadła na ławce, na której zwykle odpoczywała. Miała na sobie lekką suknię batystową, a pomimo to, zaledwo oddychać mogła. Gorąco drażniło ją, rozstrajając jej nerwy; a dodać należy, że dnia tego Mimi była w złym humorze. Przed dzień pokłócili się, a Mimi teraz oto wstydziła się tego i bardzo, bardzo wielką sprawiła jej to przykrość. On się wczoraj na nią rozgniewał i powiedział, że do Kisłowodzka nie pojedzie, ale wprost z Żeleznowodzka uda się na wieś do baronowej, która go zapraszała. A rozgniewał się na nią za to, że Mimi nie chciała z nim, we dwoje tylko, jechać konno i powiedziała mu, że to «niewypada»! Ah, jakże ona głupia, jak głupia! Teraz oddaćby była gotowa połowę życia, ażeby wyraz ten cofnąć, ażeby go była nigdy nie wymówiła. Jak to było i niegrzecznie i niedelikatnie, a głównie głupio, głupio! Mimi w ten sposób dała do poznania, że się boi! A czegóż może się obawiać? Czyż nie jeździła we dwoje tylko z Waraskim, czyż nie jeździła również z oficerem z dywizji męża, albo czyż baronowa z nim, z panem Walerjanem, nie jeździła? I cóż z tego? Czy to kogo gniewało? Czy kto zwracał na to uwagę? Broń Boże!... Niewypada! niewypada! Ach, jak-

że ona głupia!... I cóż on teraz o niej pomyśli?... Ach, Boże drogi, co teraz zrobić, co zrobić, ażeby to wszystko naprawić? Teraz rozstaną się zimno i wrogo, a jeśli on nawet kiedykolwiek wspomni o niej, to tylko jako o istocie głupiej... Ale nie, nie, to być nie może... Czyżby rzeczywiście mieli się tak rozstać?

Ale oto i on. Pan Walerjan zbliżył się do niej poważnie i spokojnie. Poważny i uroczysty wyraz jego twarzy zaniepokoił ją. Ukłon jego również był inny jakiś, jak zwykle, chłodny, grzeczny, ale groźny. Przemówiwszy parę wyrazów ogólnikowych o pogodzie i poprosiwszy o pozwolenie zajęcia miejsca obok niej na ławce, pan Walerjan usiadł na przeciwległym końcu ławki. O, jakimże chłodem wiało teraz od jego eleganckiej postaci! Szczyt Elborusa nie mógł być zimniejszy! A sąsiedztwo tego Elborusa sprawiało, że rączki i nóżki Mimi marznąć zaczęły, a w końcu na płacz jej się zbierało!

Słońce piekło niemiłosiernie, powietrze było parne i duszne. Cała natura zdawała się cierpieć od tego znoju. Popekana, sucha ziemia wznosiła do niebios modły o deszcz; pysznie rozrośnięte drzewa stały jak gdyby osłupiałe i leniwe; nawet jeden listek nie drgnął; po całej skale, od góry do dołu, głośno odzywały się koniki polne.

Rozmowa się nie kleiła. Mimi wstydziała się czegoś okropnie. Mimi czuła, że teraz poniżyła swą godność jeneralską, i męczyła się, rozmyślając nad tem, co mogłaby powiedzieć, coby powiedzieć należało, ażeby wszystko naprawić.

Pan Walerjan w milczeniu bawił się jej zakłopotaniem. Mimi podobała mu się nie tylko z powierzchowności, ale i z tego, że nigdy nie umiała się znaleźć, jak inna na jej miejscu, a nadto, że była nadzwyczaj bojaźliwa. A jak ona umiała słuchać! W oczach pana Walerjana był to przymiot nadzwyczaj cenny, a to

dlatego, że ten elegancki mężczyzna lubił sam mówić. Jakże mu dokuczyły te wygadane, piękne damy, pretendujące na rozum i dowcip, które coś tam czytają, coś paplą, przerywają mówiacemu, nie dosłuchawszy go do końca, przyczepiają się do znaczenia tego, co się ot tak powiedziało, pamiętają pojedyncze wyrazy... A Mimi taką właśnie nie była! Mimi jest niewyczerpaną skarbnicą prawdziwej kobiecości. Mimi posiada to właśnie, co poeta nazywa: *das ewig Weibliche*... Nie odznacza się rozumem, uczonością, o, nie; ale to właśnie czyni ją nadzwyczaj powabną i miłą!... I na cóżby zdać się jej mógł rozum? Cóż mógłby on dodać do tego czystego, jasnego spojrzenia? Mimi posiada dwa nieocenione przymioty: takt i grację. Chociaż nie uczennie mądra, Mimi jednak umie się zachowywać jak należy: ani zbyt nieśmiała, ani też zbyt śmiała, Mimi jest zachwycającą! Bardzo, ale to bardzo miła jest ta młodziutka pani jenerałowa i pan Walerjan rozumiał to doskonale, że od bardzo dawna żadna kobieta tak mu się nie podobała. Kapitulację pan Walerjan przewidywał już w Kisłowodsku, a według zgóry ułożonego programu, wczoraj właśnie powinno być mieć miejsce preliminaryjne *tête-à-tête* w czasie konnej przejażdżki, a było ono konieczne, ażeby niejako przyzwyczaić Mimi, ułaskawić i uspokoić jej obawy, gdyż pan Walerjan doskonale widział, że pomimo wszystko, Mimi jest nadzwyczaj ostrożna... I oto—Mimi nie chciała go usłuchać! Tak to więc? Dobrze! Teraz trzeba ją za to ukarać i zmusić ją do tego, ażeby go prosiła—tak, prosiła!—ażeby zechciała jechać do Kisłowska!

I oto siedział teraz obok niej, smutnym i zimnym wzrokiem ogarniając dalekie widnokręgi i zbijając laską biedne kwiatki, które rosły w trawie. Rozmowa urywała się ciągle.

Przed nimi przeszła siostra aktorki Leńskiej. Staruszek, rozpiływający się pod wpływem bliskości pięk-

nej kobiety, jak świeca pod działaniem promieni słonecznych, prowadził ją pod rękę.

Mimi coś o niej powiedziała. Obie siostry Leńskie bardzo ją interesowały, gdyż długi czas o nie to Mimi była zazdrosną. Z tego też powodu Mimi często rozmawiała o nich z panem Walerjanem. On zaś — a to zależało od chwilowego usposobienia — albo wynosił je pod niebiosa, albo mieszał z błotem. Tym razem Leńska znalazła się tutaj w bardzo szczęśliwej dla siebie chwili. Pan Walerjan zaczął ją wychwalać. To właśnie była kobieta. Tak, ta właśnie godną była świętego imienia kobiety... Sama korzystała z darów życia i innym żyć pozwalała. Leńska, jak słońce, oświetlała, ogrzewała wszystkich, ktokolwiek zbliżył się do niej... Kiedy się zestarzeje, na łożu śmierci nawet sumienie żadnych nie uczyni jej wyrzutów. Ta kobieta była prawdziwą ziemianką. Kochała i żyła... Nie jest to manekin, służący do przymierzania toalet paryzkich, jest to istota żywa, o krwi gorącej; grają w niej nerwy, życie w niej wre... Nie jest to lalka, którą za sznurek pociąga opinia publiczna... I z ust pana Walerjana popłynęły groźne filipiki przeciwko światowym kobietom, przeciwko tym egoistkom, tym zimnym, bez serca istotom, tym czczym kokietkom... Pięknie je wychowują!... Mamy przepajają je głupią moralnością z taką gorliwością, z jaką przekładają swoje dywany i szale kamforą i t. p. specyfikami, ażeby je ustrzedz od móli. O, i celu osiągną! Mól nie dotknie ich szalów, a namiętność nie zbliży się nawet do ich dobrze wychowanych córeczek. Jest nawet oddychać w ich obecności trudno, bo tchu braknie... A jakie nudne, ach, jakie nudne! I cóż dziwnego, że od nich uciekają do takich kobiet jak Leńska!

Mimi o mały włos się nie rozplakała. On się z nią nudzi... on zawsze z nią się nudził... Tak, to ona jest tym manekinem do przymierzania strojów... On

od niej ucieknie do Leńskiej... Ach, jak on się nie wstydzi!... A tymczasem pan Walerjan rzucał gromy na damy światowe, okraszając swą mowę wierszami i cytatami. Miłość światy porusza. Są kobiety, nie warte szczęścia płynącego z miłości, nie godne świętych, wielkich radości... Kobieta, która kochać nie umiała — to jak ta panna o lampie bez oleju... I Chrystus powie jej: «Odejdź, ja ciebie nie znam»... Strzeżcie się!... Tak, strzeżcie... A przyjdzie starość, groźna, bezlitosna starość, siwych włosów, o zmarszczkach, którym nikt i nie nie poradzi, i zimną ręką dotknie się serca, serce to przestraszy się i zapragnie życia, a będzie już późno, późno... I tutaj wierszyk z Musseta, i wierszyk z Feta...

Pan Walerjan coraz bardziej unosił się na falach własnej wymowy. Głos jego spadał do szeptu prawie, ażeby nagle wybuchnąć grozą... Nie spojrział nawet na Mimi, zdawało się, że nie do niej przemawia; patrzył wprost przed siebie, jak gdyby przemawiał do sędziów przysięgłych. A Mimi zdawało się, że i koniki polne, i czarne pnie drzew, które grały niejako rolę przysięgłych, mówiły jednym głosem: «Winna, winna i nie zasługuje na łaskę».

Mimi wiedziała, że jest winna, ale nie wiedziała w jaki sposób możnaby się rehabilitować, co zrobić, ażeby pan Walerjan nie gniewał się i, co główne, ażeby pojechał do Kisłowodzka. Mimi od czasu do czasu spoglądała na niego. Ach, jaki on piękny! Pan Walerjan zdjął kapelusz i Mimi widziała jego blade czoło, jego faliste włosy, jego pałające oczy... Mimi czuła, że jakaś siła pociąga ją ku niemu... i bała się go rozgniewać... Ale — cóż ma powiedzieć, co powiedzieć?... O, Boże!...

I Mimi coraz niżej i niżej spuszczała głowę i kreśliła coś parasolką po piasku, a on mówił, mówił, mówił...

Od czasu do czasu przechodziły niezgrabne ormianki, w swych woalach tiulowych, i wytrzeszczały okrągłe

oczy na Mimi, która zdawała się upadać pod brzemieniem pięknych frazesów swego towarzysza. Przechodzący mężczyźni oglądali się na Mimi i uśmiechali się znacząco...

A pan Walerjan, puściwszy wodze swej wymowie, grzmiał tonem natchnionego proroka.

Kobiety nie chcą i nie umieją być rożumnemi. Kiedy słońce dla nich świeci, kiedy niebo się do nich uśmiecha, wówczas — o, niebaczone! — spuszcza ją rolety w oknach!... Wszystko dla nich jest zabawa, żartem... Ani jedna nie umie wznieść się do szczerzego, prawdziwego uczucia... Kokietki, nie warte tego, ażeby człowiek, posiadający serce i duszę, tracił czas na nie, tracił na nie siły duszy i serca... Jak pięknie powiedział Heine... A jaką świętą prawdę wygłosił Bajron!... A Montesquieu, wielki prawodawca...

Mimi nareszcie ostatecznie przestała cokolwiek rozmawiać. Imiona własne zawsze działały na nią tak dziwnie, że sprawiały chaos w jej biednej główce... Usta jej już drżały, na oczy występować poczynały perliste łzy... I za cóż on na nią tutaj krzyczy? Za co obrał to właśnie miejsce, które wszyscy przechodzą, a ona ze strachu nie wie co powiedzieć, boi się, że wybuchnie płaczem?...

Skorzystawszy z chwili milczenia pana Walerjana, Mimi nareszcie zdobyła się na odwagę, wstała i łagodnie odezwała się:

— Zdaje się, że już czas na mnie...

Pan Walerjan również wstał i grzecznie się jej ukłonił.

— A pan... mnie nie... odprowadzi?— dodała Mimi.

— Jeśli pani rozkaże...

I ruszyli. Pan Walerjan bawił się laską. Mimi wzrok w ziemię miała utkwiony, a Rex leniwie posuwał się za nimi, machając ogonem i szczerze się dziwiąc, że im jeszcze nie dokuczyły ich łąpiące rozprawy.

— Kiedy pani wyjeżdża do Kisłowodzka?— niby od niechcenia rzucił pytanie pan Walerjan.

— Jutro. A pan?

Przy tych słowach Mimi spojrzała na pana Walerjana tak czule, tak błagalnie, a jednak pan Walerjan odpowiedział:

— Ja wcale nie pojadę.

Mimi nic na to nie odpowiedziała. Chwila milczenia.

— Spiesz się pan do domu?— po chwili znów odważyła się Mimi przerwać milczenie.

— Pojadę, ale nie do domu. Zdaje mi się, że mówiłem już pani: baronowa zaprasza mnie na wieś... Baron jest moim kolegą szkolnym. Skorzystam z tego, żeby się z nim zobaczyć!... A zresztą, i baronowa jest bardzo przyjemna kobieta...

I znów milczenie. Mimi walczyła sama z sobą, nie wiedząc, czy ma go prosić o to, ażeby przyjechał do Kisłowodzka, czy nie. Jeśli go poprosi, to po co i na co, a w dodatku, jak on te zaprosiny przyjmie? A jeśli nie poprosi, w takim razie on nie przyjedzie... O, nie, Mimi poprosi go, poprosi... Ale na krok stanowczy Mimi zdecydować się nie mogła... Zamiast prośby, wymówiła te słowa:

— Niech pan wypowie jaki wiersz...

— Wiersz? Z chęcią.

I pan Walerjan zerwał kwiatek i zaczął deklamować:

*Elle était belle, si la nuit*

*Qui dort dans la sombre chapelle...*

Kiedy nadzwyczaj efektownie wygłosił ostatnią zwrotkę, byli już przed drzwiami domu, gdzie mamą oczekiwała na Mimi z obiadem, a pomimo to Mimi nie zdecydowała się na prośbę, która jej leżała kamieniem na sercu. Mimi zauważyła, że jeszcze musi być bardzo wcześniej, że, prawdopodobnie, Wawa jeszcze nie po-

wróciła, że więc mogą się jeszcze przejść nieco. Pan Walerjan podał jej ramię i poszli dalej, potem wrócili tą samą drogą i przeszli około domu, ale nie zatrzymując się poszli dalej. Powoli Mimi rozruszała się i zaczęła mówić, a gdy po raz trzeci zatrzymali się przed drzwiami pokoju, w którym mamam rozgrzewała obiad na naftowej kuchence, wszystko co należy było już wypowiedziane. Pan Walerjan obiecał jej, że przyjedzie do Kisłowodzka na miesiąc (t. j. na cały czas pobytu Mimi), a ona ze swej strony obiecała mu, że najbliższego wieczora pojedzie z nim konno.

Na co mu to?... Ach, Boże, wszystko jedno... Dzięki Bogu, że się pogodzili...

I Wawa i Mimi tak przyjemnie spędzały czas w Żeleznowodzku, tak polubiły to miejsce, że po przejeździe do Kisłowodzka, nie chciały niczem się zachwycać i twierdziły stanowczo, że Żeleznowodzsk jest daleko piękniejszy. Wawa mówiła, że Żeleznowodzsk jest ciepły i ciemno-zielony, a Kisłowodzsk—zimny i blado-niebieski; Mimi zaś twierdziła, że ma tutaj krzywe lustro i łóżko daleko gorsze niż w Żeleznowodzku. W dodatku tutaj było wielu petersburskich znajomych: księżna X. z córką i siostrzenicą, generał Barajew, przyjaciel pana Spirydżona i ktoś jeszcze... Będą im teraz dokuczać i roznosić plotki... Żegnaj więc, swobodo żeleznowodzka!

Wkrótce jednak i Wawa i Mimi uspokoiły się pod tym względem. Okazało się, że księżna ciągle gra w karty, że księżniczka poluje na młodego adjutanta, a żeby go zmusić do złożenia przysięgi u stóp ołtarza, że jej kuzynka romantycznie i beznadziejnie zakochała się w jakimś bardzo bladym i bardzo interesującym jegołościu, od którego żona uciekła i który tu się leczył na *tabes dorsualis*, że generał Barajew ani na krok nie odstępował od pięknej wdowy, z którą ma zamiar odbyć

podróż drogą wojenno-gruzińską. Słowem, okazało się, że wszyscy są tu zajęci sobą i swemi rozrywkami. Księżniczka i jej kuzynka przy spotkaniu z Wawą i Mimi rozczuliły się bardzo, ale widać było ze wszystkiego, iż najmniejszego nie miały zamiaru korzystania z ich towarzystwa, a myślały o tem tylko, ażeby im nikt nie przeszkadzał robić co im się żywnie podobało. I Mimi i Wawa były z tego bardzo zadowolone. Całe kółko tej ostatniej zjechało już do Kisłowodzka, z wyjątkiem tylko studenta, który z Morozowem pojechał do Krymu. Wawę spotkano z niekłamana radością i zaraz pierwszego dnia całą kompanją udali się na górę Krzyżową, z której widok tak się Wawie podobał, że już po dwóch dniach była zdania, że Kisłowodzsk jest daleko ładniejszy od Żeleznowodzka. Stanowczo tutaj było ładniej i lepiej. Były tu białe brzozy, szumiące górskie potoki, a samo powietrze, czyste takie i takie upajające. A w dodatku, czuć tu było więcej wschodu, więcej Kaukazu.

Maman z przyjemnością przyjęła zaprosiny księżnej, a żeby zechciała zająć miejsce czwartego partnera, który tylko co wyjechał był do Krymu. Wint należał do jednej z małych namiętności mamam, a o ileż był bardziej zajmujący od pikiety z żółciowym i wiecznie irydującym się dygnitarzem!

Czwartego dnia po przybyciu do Kisłowodzka, Mimi włożyła białą suknię i czerwony kapelusz i z Wawą wyszła na przechadzkę do parku. Obie piły jeszcze kumys, udały się więc do tego zakładu. Przechodząc przez galerję Narzana, panie nasze spotkały pana Walerjana, ale jakiego pana Walerjana! W bezszmecie, w czerkiesce, w papasze, w sztyletami! A jakież z niego był dżigit! Wysoki, zgrabny, czarnooki! Była to niespodzianka dla Mimi. Rex poważnie kroczył za swym panem.

— Czy nie śmiesznie wyglądam?—zapytał pan Walerjan, witając się z damami. Zawsze wożę z sobą ten kostjum, ale na początku sezonu, w Żeleznowodsku, nigdy nie mam odwagi ubrać się w niego. A tutaj już śmiało ubieram się w ten strój miejscowy, zwłaszcza, że tutaj prawie z konia nie schodzę. Okolice takie piękne!... Panie jeszcze nigdzie nie były?

— Nigdzie. Z kimżeby mogła jeździć?

— Cieszy mnie to. Okolice prześliczne. A tak właśnie pragnąłem osobiście pokazać pani wszystkie najpiękniejsze, ulubione moje miejsca. A więc dziś pojedziemy?

— Pojedziemy. A konie pan zamówił?

— Ma się rozumieć. Nasze konie są już tutaj, nie będziemy potrzebowali szukać innych. Osmana wczoraj przyprowadzono.

Po wypiciu kumysu, Mimi i Wawa poprowadziły pana Walerjana do mamany, która grała w karty na świeżem powietrzu. Maman bardzo się ucieszyła i przedstawiła go księżnej, która przyjrzała mu się przez lornetkę, gdy odszedł od ich stolika, i również zgodziła się z tem, że pan Walerjan jest daleko przystojniejszy od Aniutina.

A pan Walerjan i Mimi poszli dalej, aż do samego końca głównej alei, zgubiwszy gdzieś po drodze Wawę, która spotkała kogoś ze swoich znajomych. Mimi była rozpromieniona. Nawet wspomnienia o nieporozumieniu już nie zostało. Znowu byli w jak najlepszych, przyjacielskich stosunkach. Mimi nie spodziewała się nigdy, ażeby spotkanie pana Walerjana mogło ją tak ucieszyć i wzruszyć. Ależ, on właśnie, pan Walerjan, jest człowiekiem, którego najbardziej pragnęła widzieć! Z nim wszystko inaczej, lepiej wygląda! A pan Walerjan jest tak wesoły, tak zadowolony!... Z czegoż on tak zadowolony? Naturalnie, z tego, że znowu ją widzi. A czyż ona niezadowolona? Ach, jak zadowolona!...

Po obiedzie Mimi położyła się, ażeby trochę odpocząć, ale usnąć nie mogła. Leżąc, znowu cieszyła się, że pan Walerjan przyjechał. Czy podobna było zasnąć w tych warunkach? Mimi, odpoczywając, myślała tylko o nim. Teraz dopiero Mimi wyraźnie odczuwała, bo nie rozumiała tego jeszcze dobrze, że obecność czyjaś może być wielką dla kogoś radością, wnosząc tyle światła, tyle jasnych promieni!... Czy podobna, ażeby sama obecność pewnego człowieka takie cuda stwarzać mogła?... Ale — oto on tutaj, a oni we dwoje są razem w tem obcym dla nich otoczeniu i to im wystarcza!... Mimi nic nad to nie pragnie. Chce być z nim razem, zawsze z nim, chce być dla niego młodą i piękną, a nie tylko dla niego, ale i przez niego. Bo, jeżeli Mimi dziś jest tak piękna, toć to tylko dlatego, że on przyjechał... Radość ją upiększa. O, jak ona go... kocha! Nic podobnego nigdy w życiu jeszcze nie doświadczała. A głównie, że w tem nic przecie nie ma złego. Cóż może być w tem złego, skoro to właśnie pobudza ją do życia i otwiera przed nią szerokie widnokreśli?... Mimi nie boi się wcale już teraz... Czyżby ona kochała go miłością?... Sercu nie można rozkazywać, a serce to tak silnie w piersiach uderza, tak silnie... O, ma się rozumieć, on się o tem nigdy, nigdy nie dowie! Ona na nic nie pozwoli, a i on nigdy się nie ośmieli... No i cóż to dziwnego, gdyby go nawet kochała?... Najuczciwsza, najprzystojniejsza kobieta może przecie zająć się kimś... O to tylko idzie, ażeby zająwszy się kimś, pozostać pomimo to uczciwą... Pojadą, pojadą konno... i znowu cały wieczór spędzą sam na sam, we dwoje...

Potem Mimi zaczęła się ubierać... Nigdy w życiu jeszcze tak się jej nie udało dobrze i szybko ubrać. Włosy poprostu same się na głowie układały, zapięty stanik leżał cudownie na jej zgrabnej figurce, a gdy, naperfumowawszy chustkę i wzięwszy z rąk Kasi szpicrutę, Mimi po raz ostatni spojrzała w lustro, z ram



zwierciadlanej powierzchni wyjrzało takie anielskie, poetyczne stworzenie, o błyszczących oczach i ze szczęśliwym na ustach uśmiechem, że Mimi z trudnością powstrzymała się mogła od przesłania sobie samej całusa. Konie już czekały. On siedział już na koniu i przez okno rozmawiał z mamą.

— Na miłość Boską, panie Walerjanie, niech pan pamięta, ażeby Mimi nie jeździła zanadto szybko i zawięle. Wszelkie zmęczenie działa na nią bardzo szkodliwie, a teraz Mimi udaje bohaterkę, przytem taka nieostrożna, taka nieostrożna!... Alboż to tak dawno, jak się nieco odreperowała... Polecam ją pańskiej opiece... Niechże pan o niej pamięta...

— O, niech pani będzie zupełnie spokojną!...

Mimi lekko zeszła z ganku i bardzo zgrabnie dosiadła konia. Pan Walerjan aż się uśmiechnął z zadowolenia. Po chwili Mimi i pan Walerjan pogalopowali razem, a w pewnej po za nimi odległości Osman. Mama patrzyła na nich z okna i takie niesforne myśli powstawały w jej głowie:

— Ot, para, aż miło! Gdybyśmy mieszkali w Arkadji, a nie w Petersburgu, ot jakiego potrzebaby nam męża! No, ale nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło. Taki nie chciałby się ożenić, szukałby pieniędzy, a potem zdradzałby... o, ma się rozumieć, że zdradzałby... *Les beaux maris ne sont pas les meilleurs...* Kawalerów można zawsze znaleźć ilu się podoba, a takiego męża jak Spirydjon nie tak łatwo...

I mama, rozmyślając o losie córki, zaczęła się cesać, czas bowiem już wielki zebrać się u księżnej na winta. A gdzie Wawa? gdzie panienka?

— Panienka tylko co tutaj była.

— Tylko co była! Ja się pytam, gdzie panienka teraz? O czym ty myślisz? O czym?... Za cóż ty pensję dostajesz? Wszak ci powiedziano: ani na chwilę nie

zostawiać panienki samej... Zaraz mi idź i poszukaj panienki!

Kasia z pokorą wysłuchiwała mamę, a potem, pobierawszy porozrzucane spódnice i śpilki Mimi, poprawiła sobie włosy, uperfumowała się perfumą Mimi i, włożywszy szary kaftanik i kapelusz ze skrzydełkiem, wyszła do parku, gdzie w końcu cienistej alei oczekiwał na nią pan Dawid, który już ofiarował jej był broszkę kaukazką i dwa pierścionki z turkusami.

Po za Kisłowodskiem, który wkrótce zostawili za sobą, pan Walerjan i Mimi popędzili boczną drogą. Jechali bądź galopem, bądź stępą. (Pan Walerjan jeździł tylko tak, jak chciała tego Mimi; zupełnie nie tak jak ten Waraski!) W czasie pierwszej pauzy pan Walerjan zaczął mówić o koniach, opowiedział Mimi, jakie posiada konie w Kijowie, a jakie na wsi. Potem, przejeżdżając przez rzekę, przypomnieli sobie o istnieniu niegdyś Peczorina i księżny Mery, pan Walerjan więc zaczął mówić o Lermontowie, o literaturze... Mimi temat rozmowy był zupełnie obojętny, jej szło tylko o to, ażeby on mówił, a ona mogła mu się przysłuchiwać. Potem pan Walerjan mówił o pięknościach natury, a Mimi, czy Mimi kocha naturę? O, ma się rozumieć! Mimi w tej chwili zapomniała, że dawniej lubiła naturę tylko gdziekolwiek na muzyce. W tej chwili Mimi była przekonana, że kocha i zawsze kochała naturę. Czyż nie chętnie galopowała po tym zielonym, szerokim stepie, który kołysał się jak morze? Czyż nie podobały się jej te delikatne kontury całego łańcucha gór, które roztaczały się przed nią? O, tak, Mimi kocha naturę... Dotąd Mimi wcale jej nie znała. W Petersburgu, w Paryżu naturę znała się tylko z obrazów, z wystaw...

Wkrótce spotkali powóz, w którym siedział generał Barajew ze swoją wdową. Generał złożył grzeczny ukłon Mimi, która odpowiedziała mu kiwnięciem głowy. Pan Walerjan zaczął żartować sobie z generała.

— To Barajew, przyjaciel mego męża—zauważyła Mimi.

Ile razy Mimi wspominała o mężu, tyle razy po twarzy pana Walerjana przelatywała chmurka niezadowolenia. Mimi już o tem wiedziała i teraz żałowała szczerze, że bez potrzeby znów wymieniła swego małżonka. Oboje zamilkli i puścili wodze koniom, jak gdyby wspomnienie o panu Spirydjonie przynaglało ich do tem pędzszego przybycia do celu.

— Dokąd dzisiaj jedziemy? — zapytała Mimi, gdy zmęczone konie szły stępa.

— Jedziemy do «Zamku intrygi i miłości».

— Zamek?... Więc tam rzeczywiście jest zamek?

— O, nie! Zamku tam wcale nie ma, ale są skały, nadzwyczaj malownicze skały... Cudowny zakątek!... Do skał tych przywiązane jest podanie... Czy nie znudzi się pani, jeśli je opowiem?

— Przeciwnie. Bardzo proszę...

— A więc, proszę słuchać. Pewien kupiec miał córkę, ma się rozumieć, młodą i piękną...

— Dlaczegoż: ma się rozumieć?...

— Dlatego, że w przeciwnym razie nie wartoby było o niej mówić. A więc, córka ta pokochała młodzieńca, również młodego i pięknego. Młodzi kochankowie taką ku sobie zapalali miłością, jaka tylko jest możliwą wśród takiej natury i pod takim słońcem (zdaje się, że to nie przekonywa panią, *mais passions*). Młodzi kochankowie więc kochali się wzajemnie, ale, jak to prawie zwykle bywa, los i okoliczności sprzysięgły się przeciwko nim. Ojciec pięknej panny odrzucił młodzieńca oświadczyni, gdyż młodzieniec był biedny, i postarał się dla córki o innego narzeczonego, również

syna bogatego kupca. Młodzi ludzie próbowali walczyć, ale ojciec był niewzruszony. Wówczas kochankowie postanowili umrzeć. Pewnego pięknego poranku przyszli na te skały — zaraz je pani ujrzy — stanęli nad brzegiem przepaści, ażeby rzucić się w nią i śmierć znaleźć w jej głębi, pożegnali się z sobą, z życiem, z całym światem, z naturą.

— Rzucaj się! — szepnęła panna — ja pójdę za tobą!

Młodzieniec uśmiechnął się do niej, rzucił się w przepaść i umarł. A ona...

— A ona?

— Ona wróciła do domu i wyszła za bogatego kupca!

— Oh, jakież!...

— Chytra, nieprawdaz? Ona wyszła za kupca, a skały na zawsze zachowały wspomnienie o jego miłości i o jej... Niech pani jakiej chce da miano jej zaletom serca. O, niech pani spojrzy: już je widać!... Nieco na lewo... Zresztą, zjedziemy tam...

— Więc pan tu już bywał?...

— O, nie raz! Ale nigdy jeszcze nie byłem w tak miłym towarzystwie.

— Co to? *Un compliment?*

— O, nie, mówię szczerze. Lubię te skały, ten dziki, malowniczy zakątek, gdzie każda ścieżka, każdy kamień tylko powołuje do życia uczuć i myśli, nie mających nic wspólnego z nudą powszedniego życia... Ile razy tu bywałem, zawsze myślałem o tem, jakby wielką radość sprawić musiała obecność miłej, drogiej, poetycznej istoty... słowem, jakby błogo było przyjechać tutaj tak, jak ja dziś przyjechałem. A gdy powrócę do domu, będę miał prawo powiedzieć sobie: «Grzechy twoje są ci odpuszczone»...

Teraz po raz pierwszy przez główkę Mimi przeszła myśl:

— Czy nie zawiele on sobie pozwała?

Ale uspokoiła się niebawem: pan Walerjan znów mówił o koniach!...

Nastąpiła chwila milczenia. Trzeba było zjeżdżać na dół po ścieżce bardzo wąskiej i bardzo stromej. Osman jechał przodem, wskazując drogę.

Z każdą chwilą coraz gestszy mrok zapadał. Księżyc nie ukazywał się na niebie.

— Jakież to wieczór księżycowy?... Mówiłeś pan, że będzie księżyc?

— O, niech pani zaczeka... I księżyc się ukaże...

— Ale my tu nic nie zobaczymy...

Mimi trwożyć zaczęła ta ciemność...

— Jakto, nie zobaczymy? Czyż pani nie widzi skał?...

A ten wawóz jaki piękny!... Księżyc zaraz się ukaże...

— Zanim się go doczekamy, będzie bardzo późno... Kiedyż wrócimy?

— Późno?... Dlaczegoż późno? Przy księżycu będzie widno jak w dzień. Czy pani dziś ma zamiar udać się na wieczór?

— Nie... nie... ale mamam będzie się niepokoiła...

— Nie będzie się obawiała, gdyż wie, że pani jesteście ze mną. I po cóż myśleć o powrocie, kiedy tu tak dobrze! Zresztą, zapomniałem, wszak kobiety nigdy nie umieją całą duszą i sercem chwycić uniesień chwili!... Ah, jakże szczerze ich żałuję!... Czyż pani się to miejsce nie podoba?... Sądziłem, że pani będziesz nadzwyczaj wrażliwą na piękno natury... Niech pani spojrzysz na te skały, na to niebo, na te gwiazdy!.. Przypominasz sobie pani co powiedział Musset:

J'aime! voilà le mot que la nature entière  
Crie au vent qui l'emporte, à l'oiseau qui le suit!  
Sombre et dernier soupir que poussera la terre  
Quand elle tombera dans l'éternelle nuit!  
Oh! vous le murmurez dans vos sphères Sacrées,  
Étoiles du matin, ce mot triste et charmant!

La plus faible de vous, quand Dieu vous à créés,  
A voulu traverser les plaines éthérées,  
Pour chercher le soleil, son immortel amant.  
Elle s'est élancée au sein des nuits profondes.  
Mais une autre l'aimait elle-même; et les mondes  
Se sont mis en voyage autour du firmament.

— Jakie to piękne? Nieprawdaz?... Żałuję, że nie widzę oczu pani... Chciałbym widzieć, czy pani patrzysz jak zawsze?

— A jak ja zawsze patrzę?

— Zimno, surowo... po jeneralsku.

— Po jeneralsku?... A więc patrzę, jak patrzeć powinienam..

— Niech się pani nie obmawia. Jesteś pani kobietą, powinnaś więc postępować, mówić, myśleć jak kobieta, która stała tam na wierzchołku skały i walczyła między ofiarą i zdradą, nie wiedząc co wybrać...

— Ja wcale nie chcę do niej być podobną!

— Dlaczego?

— Dlatego, że ona postąpiła okropnie.

— Była wiarodolną, to prawda, ale postąpiła jak kobieta, jak słaba, fałszywa kobieta. To w niej właśnie bardzo mi się podoba. Lubię słabość w kobiecie. Oh, nie lubię kobiet-bohaterek! Niech je wychwala kto zechce, ja nigdy nie będę ich wielbicielem. Siła ducha tak samo nie zdobi kobiety, jak siła fizyczna. Kobieta powinna być uosobioną słabością, miłością, uczuciem. Niech nawet słabość będzie powodem jej fałszu. Cóż to szkodzi, jeśli to piękne, jeśli to ją zdobi!... A pani, co by pani zrobiła na jej miejscu?... Niech pani sobie przedstawi, że pani w kimś się zakochała... no, chociażby we mnie... Mam nadzieję, że tego rodzaju przypuszczenie w żarcie nie obrazi panią. Otóż, niech pani sobie wyobrazi, że zakochała się pani we mnie ot teraz, w tej chwili, taką jaką pani jesteście, w pozycji pani...

— W mojem obecnem położeniu?... Sądze, że gdybym się w panu zakochała, postarałabym się, ażeby pan o tem nigdy się nie dowiedział.

— A dlaczegoż?

— Dlatego, że mam męża... nie jestem wolną.

— *La belle raison!*

— *Comment, ce n'est pas une raison!* Cóżbyś pan powiedział, gdyby pańska żona...

Przy wspomnieniu o panu Spirydjonie, pan Walerjan ściągał brwi, na wspomnienie własnej żony na twarzy jego ukazywał się wyraz okropnej nudy i zmęczenia. Mimi wiedziała o tem doskonale i zawsze była wielce z tego zadowolona. Jakkolwiek Mimi wiedziała od baronowej, że żona pana Walerjana była piękną i bardzo dobrą kobietą, ale wolała ją sobie przedstawiać jako kobietę nudną, nieprzyjemną, bardzo podobną do pana Spirydjona. Gdyby był z nią szczęśliwy, z pewnością nie opuszczaliby jej na tak długi czas i nie miałyby tak bladej twarzy i zapadłych policzków, nieprawdaż?... O, ma się rozumieć, jest on nieszczęśliwy, cierpi, tylko się nie skarży, dlatego, że duma mu na to nie pozwala... Biedny, drogi!...

Tymczasem Mimi i pan Walerjan znaleźli się w głębi wąwozu, a pan Walerjan prosił Mimi, ażeby się pospieszyła i zechciała przejść pieszo do ślicznego zakątka, zkąd, jak zapewniał, roztaczał się cudowny widok na spiętrzone skały.

Osman został przy koniach, a pan Walerjan i Mimi posuwali się ostrożnie po nad brzegiem szumiącego potoku. Wysoka, prostopadła skała tworzyła za nimi groźny mur. Mimi zdawało się, że zesłała do wnętrza ziemi, albo że znajduje się na dnie głębokiej studni. Tak wysoko nad nimi rozciągał się step szeroki, który przebyli, tak daleko zdawało się to niebo, które na nich patrzyło!... Nareszcie z po za obłoków wypłynął księżyc i oświetlił skały, malowniczo przybrane w liście i krzewy.

— A więc—jak się pani tu podoba?

— *C'est féérique!* — szeptała Mimi... *C'est féérique!* A jaka cisza, jaka cisza!

Oh, stanowczo, Mimi nie znajduje się na ziemi... I po raz ostatni, na chwilę jedną zbudziła się w ładnej główce Mimi myśl: czy dobrze zrobiła, że tutaj przyjechała? Być może, że chociaż ją tu prowadził, ale miałby o niej lepsze wyobrazenie, gdyby była nie pojechała. Ale gdzież tam! Co za głupstwo!... Cóż w tem złego? Wszyscy wszak jeżdżą podziwiać naturę, dlaczegożby ona miała pozbawiać się tej przyjemności? Niepodobna być na Kaukazie i nie zobaczyć okolic... Potem, jak znacznie przeglądając fotografje, okaże się, że nic nie widziała... Dlaczego to Wawa nie jeździ konno? Byliby ją zabrali z sobą... Ale cóż w tem zdrożnego, że przyjechali tu tylko we dwoje? Gdyby była z nim pojechała do jakiej restauracji, byłoby to okropne. Onaby nigdy nie pojechała, nigdy! A tutaj przyjechali zachwycać się naturą. Zresztą, towarzyszył im Osman. O, gdzieś tam słyhać rzenie koni: to ich konie i Osman... I uspokoiwszy swoje sumienie tego rodzaju myślami, Mimi jeszcze raz powtórzyła: *C'est féérique!*

Mimi szczerze zupełnie zachwycała się malowniczymi skałami, a pan Walerjan niemniej szczerze zachwycał się nią.

— Nie zmęczyłaś się pani? — zapytał ją pan Walerjan rozścielając swą burkę na ziemi. Niech pani usiadzie. Żałuję, że już opowiedziałem pani legendę o biednym młodzieńcu, który tu zginął. Trzeba ją było pani teraz opowiedzieć, wobec tych skał... Opowiem pani za to cokolwiek innego.

Stanowczo Mimi się zdawało, że już nie znajduje się na ziemi! Niepodobna, ażeby to był ten sam księżyc, który świeci panu Spirydjonowi i «baby». Tamten stary, obojętny księżyc pozostał tam gdzieś daleko, a ten był inny zupełnie, miły taki, względny, jak

gdyby się niemi opiekował. A jakież czarowne światło rozlewał on w tym kąciku, gdzie byli sami jedni, daleko od ludzi, od świata... Ach, jak tu cicho, jak spokojnie!... Jakież cudowne, niczem niezmacone chwile!... Tutaj dobrzeby było zasnąć, umrzeć i nie zbudzić się nigdy, nie wracać na ziemię... I on był przy niej, patrzył na nią, jak niewolnik pokorny, jak wierny przyjaciel... I po raz pierwszy w życiu Mimi nie myślała o tem, czy jej do twarzy, czy nie do twarzy w tem co ma na sobie i coby powiedziały ciocie na jej postępowanie. Mimi doznawała dziwnego uczucia: nie wiedziała czy to sen, czy jawa... Nigdy jeszcze nie doznawała nic podobnego... Oddechu jej brakło: chwilami zdawało się jej, że zemdleje.

Kamień się stoczył i oni oboje drgnęli: on bliżej jeszcze przysunął się do niej. Przestraszyłaś się pani? Czy to on?... Tak, to błyszczą jego oczy... Ach, jakąż ma bladą twarz!... Jaki księżyc bładny!... Czy to sen czy jawa?... Mimi, chcąc przerwać to straszne milczenie i ocknąć się, powtórzyła znów: *C'est féérique, c'est féérique!*

I rzeczywiście, wieczór ten miał w sobie coś czarownego, coś nadzwyczajnego. A najbardziej nadzwyczajnym było to, że pan Walerjan przytulał do siebie Mimi i całował jej oczy, usta, włosy. Jak się to stało? Czy on sobie pozwolił, czy ona się zgodziła?... Potem mówił jej cicho, bardzo cicho, że to się stać musiało... Ma się rozumieć, skoro się stało, prawdopodobnie stać się było musiało. Ale w każdym razie trzeba było wracać do domu, prędzej, jak najprędzej!... A gdy pomażał jej dotrzeć konia, mówił do niej: «Miła! Sliczna!»... a ona, poprawiając włosy, bezmyślnie powtarzała: «*Il fait tard, il fait tard!*»—ale była tak piękną, tak szczęśliwą, jaką jej nigdy nie widział pan Spirydjon, chociaż dowodził całą dywizją i całą dywizją patrzyła mu w oczy.

Trzeba było jechać czempredzej, a Mimi jak na złość zgubiła szpicrutę. Osman i pan Walerjan jeli jej szukać, wkrótce znaleźli i wszyscy troje jak wichher poleciecieli przez stępy.

Kisłowodsk zdała już świecił swemi ogniami... Nareszcie wjechali do alei topolowej. Z głównego hotelu dochodziły do nich dźwięki walca. Maman siedziała w otwartem oknie, mocno zaniepokojona o córke.

— Nareszcie!—zawołała maman. Bałam się, żeby się wam co złego nie stało, jaka napaść... No cóż? Zmęczyłaś się?...

— O tak... spieszylismy do domu.

— Panie Walerjanie... niech pan wejdzie... Napije się pan herbaty.

Ale pan Walerjan podziękował i odmówił. Obiecał pewnej damie, że będzie na balu. Pan Walerjan pomógł Mimi zsiąść z konia, odprowadził ją do drzwi i szepnął: *A demain!*—a spojrzeniem i uściśnieniem ręki dziękował jej za przejazdzkę.

Znalazłszy się u siebie, Mimi wymówiła się i od herbaty, i od kolacji i gorączkowo się rozbierała. Nie chciała nikogo widzieć, z nikim nie byłaby w stanie rozmawiać. Zgasiła czempredzej świecę i śliczną twarzyczkę oparła na poduszkach. Jak się to stało? Mimi nie czuła ani wyrzutów sumienia, ani wstydu. Czuła się tylko szczęśliwą i spokojną. Wszak to—upadek, wszak to—krok straszny, plama, której zmyć nie można, to—grzech—rozmyślała Mimi—a przecie z jakąż rozkoszą, jak łatwo go się dopuściła! *Maintenant c'est fini, elle est une femme perdue!*... A mąż?!... Ale nie trzeba o tem myśleć, lepiej myśleć o nim: Wal... Wall!... I Mimi mocno zasnęła, snem ludzi szczęśliwych, którzy mają sumienie czyste i spokojne.

Nazajutrz rano spotkali się w galerji. Miesiąc jeszcze pozostawał do powrotu do Petersburga, a ileż jesz-

cze mieli sobie do powiedzenia! Musieli sobie opowiedzieć wzajemnie jak się pokochali odrazu, od pierwszego spotkania, od pierwszego spojrzenia, tam jeszcze, w Rostowie... *Un coup de foudre!*... Jak potem szukali się, jak byli o siebie zazdrośni, aż znów się spotkali i zaznajomili... I jak powinno się było stać to, co się stało. Musieli sobie powiedzieć, że wzajemnie się oczekiwali, że przeczuli się wzajemnie i że teraz, kiedy się nareszcie spotkali, związani są już na wieki. *Oui, c'est pour la vie, c'est pour la vie!*... A głównie należało się umówić, gdzie i kiedy mieli się spotykać.

Pan Walerjan mieszkał sam, zachowując więc pewne ostrożności, Mimi mogła do niego przychodzić. Było to najwygodniej. On nigdyby jej tego nie zaproponował, gdyby mogło grozić jakie niebezpieczeństwo, dlatego, że honor Mimi i jej dobre imię były mu drogie. I Mimi przekonawszy się, że mamą *ne se doute de rien*, i że zarówno mamą, jak księżną X. i cała ich kompanja całkowicie zajęte są spostrzeżeniami nad huzarem Aniu-tinym i jego narzeczoną, uspokoiła się zupełnie i ostrożnie zaczęła odwiedzać pana Walerjana.

Jak jej się tam wszystko podobało! Wszystko co go otaczało, wszystko czego tylko do czegoś używał, nosiło piętno jego delikatnego smaku. Mimi oglądała jego albumy, przyglądała się fotografjom żony i dzieci, przeglądała jego teczki i buwary... Żona była zanadto piękną i wzbudzała w niej zazdrość, ale pan Walerjan ją uspakajał: «Ładna?... Tak, ładna... Ale to nie wystarcza... *Une femme doit plaire. Il faut savoir plaire.* To główne». Żona jego nie dla niego stworzona. Żymna piękność, bez życia. *Bas bleu, une lady Byron*... Ona jest matką, tylko matką, ale nie kochanką. Ona żyje tylko dla dzieci i od niego żąda, ażeby żył wyłącznie dla dzieci. Toć to głupstwo! Dzieci same żyć będą. Drugiego życia mu nie dadzą. Tak, trzeba żyć, żyć...

I całował Mimi, całował jej oczy, mówiąc: Pozwól mi wypić to morze!

Mimi nie wiedziała dotąd, że w oczach posiada morze.

Uspokoiwszy uczucie zazdrości, Mimi chowała fotografię żony pana Walerjana gdzieś tak, by się z nią więcej nie spotykać i dalej przetrząsała jego rzeczy.

Pan Walerjan posiadał czterdzieści krawatów i czterdzieści par skarpetek. Do każdego krawata odpowiednie skarpetki. A ileż breloków, śpilek, pierścionków, które zmieniał, dobierając je zawsze do krawata. Wogóle pan Walerjan był nieco elegantem, ale to się Mimi bardzo podobało. Mimi przekładała i układała te czterdzieści krawatów w szkatułce ładnie rzeźbionej, dzieląc krawat od krawata ulubionym jego sachet: «*Cherry blossom*». I mówiła mu jakie krawaty lubi, a jakich nie lubi, i jaki ma włożyć w dniu następnym. A jeden krawat przezwała «krawatem intrygi i miłości». To był jej ulubiony. Czasami, głównie wówczas, gdy nadchodziły listy od pana Spirydjona, Mimi, jak sama mawiała, nawiedzały «niebieskie djaby» i wówczas wyrzucała sobie, że winną jest wobec męża. *Je suis une femme perdue* — mawiała. Przeciem go obraziła, boleśniami go dotknęła... Niczem na to nie zasłużył. A co to będzie jeśli on się dowie, jeśli wszyscy się dowiedzą!... Zabije mnie, wypędzi!... *Enfin, je suis une femme perdue* i ty sam będziesz mną pogardzał... Oh, ty gardzisz mną, Walu... Ja to widzę...

— Dziecię!... I pan Walerjan przekonywał ją, że nie ma najmniejszego powodu, by ją miał nienawidzić lub nią pogardzać. *On vit comme on peut.* A pani Marja, a pani Łucja?...

Mimi zamyślała się i przypominała sobie. Rzeczywiście, i pani Marja i pani Łucja... A Netty, Netty!... Ale za to, z drugiej strony, i pani Anna, i tante Julie

i mamam... Nie, są przecież dobre, uczciwe kobiety, nie takie jak ona. W przeciwnym razie na cóżby się zdały te sądy surowe, na cóż tyle obłudy?... Pan Walerjan wyjaśniał jej to wszystko.

— Oto widzisz, ludzie zbyt wiele cierpią, ażeby nie mieli chwycić w lot minut szczęścia, jakie mogą stać się ich udziałem.

— Oh, prawda, ludzie cierpią!

I Mimi opowiadała mu o panu Spirydjonie i o tem jak nudny z nim pędzi żywot. Mimi bała się nieco, ażeby Walerjan nie gardził nią dlatego, że ma starego męża. Wszak pan Walerjan tak powstawał przeciwko przedajnej miłości! Ale nie, to go wcale nie oburzało. Wogóle od czasu przejażdżki do «Zamku intrygi i miłości» pan Walerjan nie krzywił się już na pana Spirydjona, ale przeciwnie, dowodził Mimi, że z takim właśnie mężem można żyć w jak najlepszej zgodzie. Trzeba tylko być rozumną. Tutaj następował cały szereg rad.

W zimie pan Walerjan przyjedzie do Petersburga. Żona pozostanie w Kijowie z dziećmi. Dopieroż to będzie zima cudowna! Ale, broń Boże, jaka nieostrożność! Pan Walerjan pochwalił Mimi za to, że tak umiała się tu zachowywać, spokojnie, naturalnie. Ani czule kochająca mamam, ani domyślna Wawa nic, ale to nic nie zauważyły. Tak właśnie potrzeba. Oni kochają się wzajemnie, powinni więc wzniesić mur gruby i wysoki między sobą a całym światem. Tajemnica jest właśnie tym murem, po za którym mogą się kochać. Trzeba szczęście swoje chować jak skarb.

«L'amourette que l'on ebruite  
Est un rosier deraciné».

Niech się domyślają, niech podejrzewają, ale niech nikt nic nie wie.

Mimi opowiedziała mu w jaki sposób wyszła za mąż, jak ją wszyscy namawiali i jak to ona nigdy by

się na to nie zdecydowała. Pan Walerjan nie rozumiał dlaczego. Byłoby to nierozsądnie, i ona właśnie doskonale zrobiła, wychodząc za mąż. Pieniądze — nie są wcale ostatnią rzeczą w życiu; jeśli nie są szczęściem, to przynajmniej kluczem do szczęścia. Mimi tylko nie umiała żyć w ciągu tych czterech lat. Sama stworzyła sobie życie nudne. Wszystko przyjemne od nas samych zależy.

Ale dotąd nikt się jej nie podobał. Mimi nikogo jeszcze nie kochała i gdyby nie spotkała tu pana Walerjana, nigdy nie znałaby prawdziwej miłości. Ale teraz *c'est pour la vie, n'est-ce pas?*

— *Oui, c'est pour la vie!*

Pan Walerjan przecież także był nieszczęśliwy w pożyciu domowem. Żona jego była zimną pedantką, nie umiejącą dostrajać się do porywów jego gorącej duszy. Była to samica, *une femelle*, tak!... Dlaczegoż się z nią ożenił?... Diuga to historia. Kiedykolwiek opowie on ją Mimi, ale potem, potem, a tymczasem... «Pozwól mi wypić to morze!»... I pan Walerjan całował jej oczy.

W ciągu pierwszych dwóch tygodni mówił on Mimi, że stanowczo przyjedzie do Petersburga, i marzyli o tem, jakie to cudowne wieczory spędzać będą w teatrach, na koncertach. Widywać się będą codziennie. Ale w miarę tego, jak zbliżał się czas rozstania, plany te ulegały małym zmianom.

Pan Walerjan otrzymał z Kijowa list w jakimś pilnym interesie. Okazało się z tego listu, że trudno mu się będzie wyrwać do Petersburga. W tym czasie miała mieć miejsce bardzo skomplikowana sprawa, z której detalami pan Walerjan zaznajamiał Mimi. Miał on mianowicie bronić pewnego znakomitego złodzieja, tegiego szubrawca. Jakże można bronić takiego człowieka?—pytała Mimi—wszak wiesz, że zawinił?

— Jestem najgłębiej o tem przekonany!

— I będziesz go bronił *quand même?*

— Każdy człowiek ma prawo do obrony. Bardzo łatwo niewinnić i obronić niewinnego. Jego niewinność sama za siebie przemawia. Ale żeby przebaczyć winowajcy, ażeby łaskawem na niego spojrzeć okiem, jak to obowiązany jest robić chrześcijanin względem swego bliźniego, na to potrzeba i rozumu wiele i wielkiej znajomości serca ludzkiego. Chrystus nie sądził. Chrystus bronił wszystkich, i oto dlatego, ażeby rozniecić w sercach przysięgłych tę boską iskrę, a każdy z nas ją posiada...

— I czyż go niewinnia?

— Być może.

— Z przestępcę!... Ależ jabym go skazała do robót ciężkich... Przez niego się nie zobaczymy! Ach, jak ja go nienawidzę! I ty go chcesz bronić...

Przy tych słowach Mimi się rozplakała.

— Dziecię! — mówił pan Walerjan i znów całował jej śliczne oczy.

— A więc się nie zobaczymy?...

— Cóż robić!... Los jest zawistny...

A gdy na trzy dni przed odjazdem Mimi gorzkie łzy wylewała, oparta o jego ramię, on głaskał ją po głowie i mówił:

— Cóż robić!... Musimy się poddać wyrokowi losu... Byliśmy szczęśliwi... Los jest zawistny... *Voyons, du courage*... Trzeba umieć śmiało patrzeć w oczy konieczności... Podziękujmy Opatrzności za chwilę szczęścia... Jesteś jeszcze młodą...

«Nowe poznasz uczucia  
I nowych obierzysz przyjaciół»...

— *Jamais, jamais*... I ty to możesz mówić! Tobie nie sprawiłoby to przykrości, gdybym pokochała innego!... *Tu ne m'a jamais aimé!*...

— *Enfant! voyons, ne pleurez donc pas*... Cóż?... Ja zbierałem kwiatki wiosenne, inni korzystać będą z owo-

ców... Nie przestraszaj się tak, moja droga!... *Je connais la vie, voilà tout!*... Nie gniewasz się?... Nie!... Pozwól mi pocałować te śliczne oczęta!... Jak ja je lubię całować... Los nie chciał... Zerwaliśmy kwiatki...

I w tem miejscu pan Walerjan zacytował wierszyk Heinego, a potem wierszyk Feta.

— Ja nie zapomnę, nigdy nie zapomnę, i ty pamiętaj:

«Rappelle-toi, lorsque l'aurore craintive»...

A Mimi tylko płakała, całowała jego ręce i łzy gorące spadały na krawat «Intrygi i miłości»...

Potem zamienili pierścionki z turkusami. Mimi fotografowała się dla niego w amazonce, na tym samym koniu, na którym jeździła do «Zamku intrygi i miłości», a on dla niej fotografował się w czerkiesce. Chcieli koniecznie raz jeszcze pojechać do «Zamku», ale coś stało temu zamiarowi na przeszkodzie...

A mamam już pakowała rzeczy i gniewała się na Kasię, która, jak gdyby zmysły postradała, zapominała o tem, co jej zrobić kazano, gubiła wszystko, kładła ciężkie rzeczy na lekkie.

Wawa związywała sznurkiem kajety, w których zapisywała swoje wrażenia z podróży i rozmaite projekty budowy domu dla podrzutków. Nadto znajdowały się w nich adresy wszystkich nowych przyjaciół.

A Kasia na klęczkach przed otwartym kufrem przekładała angielską bibułką pluszowy kaftanik Mimi i od czasu do czasu perliste łzy ronila na ułożoną już w kufrze bieliznę.

O, te turkusy kaukazkie!...

Nazajutrz wczesnym rankiem powóz podróżny oczekiwał przed drzwiami hotelu Baranowskiej. Wawa mocno ścisnęła ręce swoich przyjaciół, którzy przyszli, ażeby z nią się pożegnać. Wawa zyskała na pobyście u wód, zmężniała, opaliła się, wyrosła nawet. Dobrze jej tu było, bardzo dobrze, i trudno jej się teraz róż-



stać z temi niebieskimi górami, z temi ścieżkami i drózkami i z dobrimi przyjaciółmi. Ach, jaka szkoda, jaka szkoda!

I Wawa, zapominając o wyraźnym zakazie matki, o domowych zwyczajach i dawniejszych nieudatnych próbach zawierania znajomości, zapraszała do siebie wszystkich swoich przyjaciół, «proszę, bardzo proszę, koniecznie, gdyby ktokolwiek z nich był w Petersburgu!» Wawa będzie tak szczęśliwą jeśli kogo zobaczy!... «A proszę nie zapomnieć: Miljonna, domu piąty, mieszkania drugi... Proszę, koniecznie proszę!»

Mimi wyszła w podróżnym kapeluszu, w waterprooffie, z torebką podróżną. Gęsta woalka twarz jej zakrywała. Mimi była spokojną i obojętną. Przedziewając wyplakała wszystkie łzy u niego.

Pan Walerjan był tak grzeczny, że obiecał odprawić je konno do Essentuki. Stał w czerkiesce, malowniczo oparty o siodło i pocichu przyspiewywał sobie romans Capriego: «Pamiętam te szczęśliwe chwile»...

Kasia przybiegła z pudełkami w ręku, zapłakana, bez tehu prawie... Maman ze zdziwieniem spojrzała na nią. Wszystko już wyniesione, spakowane. Damy siadają i powóz opuszcza Kisłowodsk.

W Essentukach pożegnali się. Pan Walerjan pocałował mamę w rękę... Maman wyraziła nadzieję, że zobaczą się w Petersburgu. Wawa zaprosiła go też do siebie. Przykro jej było, że wszystko, co poznała na Kaukazie, opuszcza ją. Mimi milczała, ale smutnym ogarnęła go wzrokiem.

I powóz potoczył się dalej w kierunku stacji wód mineralnych.

Ranek był szary, pochmurny, a drobny, gęsty deszcz bił w szyby wagonu, kiedy panie się obudziły, dojeżdżając do Petersburga.

Deszcz, deszcz i deszcz... Ponure, szare niebo... Ukazały się wille petersburskie, okolone sosnami, gdzieś zaświeciły błotniste drogi, otoczone rowami, w których gęsto rozrosły się paprocie... Mech, borówki, błoto, mgła...

Oto i znane ogrody kapusty, i koszary, i peron stacji petersburskiej...

Deszcz nareszcie ustał... Mokry peron oświetla słońce...

Oto i deńszczyk pana Spirydjona, dalej lokaj tante Julie...

A oto i sam pan Spirydjon, wielce podobny do muchomora, ze swą czerwoną podszewką... Maman ujrzawszy go, z radością stuka w szybę. Zobaczył, zobaczył, poznał!

Mimi prawie się go przeraziła. Jakże on stary i jaki obcy jej zupełnie, obcy!... Chciałaby, ażeby pociąg wcale się nie zatrzymywał, ażeby pędził dalej i dalej, i żeby ją powiózł dalej, byle nie tu... Ale pociąg zwolnił biegu, nareszcie zupełnie się zatrzymał... Trzeba opuścić wagon.

Oto i madame Lambert z Ziną i, o Boże, «baby» z niańką! «Baby» przyjechał na spotkanie mamy. Jakże on wyrósł, jak wyładniał, opalił się, miły dzieciaczek! I patrzcie państwo, wcale się nie boi, uśmiecha się, wita się ze wszystkimi, wyciąga usteczka do mamy, do babci, do Wawy... O, nauczył się składać rączki po wojskowemu i przykłada je do czapeczki!... Co za aniołek!

Babcia wyczuła wnuczkę, a łzy radości i dumy błyszczały w jej oczach, kiedy «baby» wyprostowywał się przed nią i mówi: «Zdławja zelaju, wase plewoschoditelstwo!» Tymczasem pan Spirydjon bierze Mimi w swe jeneralskie objęcia!

W tydzień po przyjeździe, wszyscy zgromadzili się u tante Julie, która była wielce uradowaną: Wowa

znalazł nareszcie narzeczoną, odpowiadającą wszelkim warunkom. I bogata i zestosunkowana... Nie mówiono jeszcze o tem, nie rozgłaszano, ale rzecz już była ukarutowana. Narzeczona nie była piękną i wcale już niemłoda, ale po uszy zakochaną w Wowie. Tante Julie znalazła ją *très bien* i mówiła o niej do siostr: *Elle n'est pas futile!*

Tante Julie ze szczerem uczuciem dziękowała mamie za Wawę. Nie mówiąc już o tem, że Wawa odzyskała zdrowie i fizycznie zmężniała, ale i moralnie i umysłowo Wawa stała się inną. Teraz była posłuszną, powściągliwszą. Za to dostała osobny pokój, w którym sypia, uczy się i pisze bez madame Lambert.

— No, a więc przejażdżka wam się udała? — odezwała się tante Julie na zakończenie.

— Wybornie, wybornie! Jestem bardzo zadowolona, że usłuchałyśmy rady Waraskiego.

— Ale jak Mimi wylądowała! Poznać ją trudno!

— Rzeczywiście!—odzywa się tante Marie. Na przyszły rok jadę do Kisłowodzka, żeby odmłodzić i wypięknąć!

Mimi skromnie i obojętnie się uśmiecha.

— A Netty, Netty!—wtrąca tante Sophie. Nie słyzałyście o tym skandalu?

— Nie, a cóż takiego? Zina coś tam pisała, ale myśmy nic nie zrozumiały.

— Porzuciła męża i teraz ginie w Paryżu! Podobno zmienia kochanków jak rękawiczki. Okropność! Zawsze zachowywała się tak, jak gdyby jej paru klepek brakowało. Przed samym wyjazdem męża—wiecie, że miał udać się w daleką podróż—nagle zaczyna ją gryźć sumienie. Chociażby czekała jego powrotu! Gdzie tam! Idzie więc do spowiedzi i opowiada księdzu wszystko: tak i tak, powiada, oszukiwałam męża. Ksiądz ma się rozumieć zaraz pyta: «A mąż wie?» «Nie» — powiada. «No, więc mu nie mów». I zaczął jej tłóma-

czyć dlaczego powinna milczeć: zgrzeszyłaś, więc pokutuj, ale on nie powinien cierpieć za ciebie...

— E, oni zawsze tak mówią — nieco ryzykownie wtrącała tante Marie, a spotkawszy się z pytającym wzrokiem tante Julie, pospieszyła dodać: słyszałam o wielu takich wypadkach... Księża zawsze to samo mówią.

— Otóż Netty wraca z kościoła do domu i powiada mężowi: «Byłam u księdza i wyznałam mu grzechy moje». «Jakie grzechy?» «A takie!»... Ma się rozumieć sceny, tłómaczenia, krzyki, gniewy... aż strach! On chce się zastrzelić i ona chce się zastrzelić. On chce zabić ją, zabić siebie, zabić tamtego... W rezultacie on wyjeżdża, a ona, oddawszy wszystkie dzieci starym rodzicom, przenosi się do ukochanego i zaczyna starać się o rozwód. Po dwóch miesiącach ukochany już nie może z nią wytrzymać i najspokojniej od niej ucieka. Ona się truje, ale doktorzy nie dają jej umrzeć, i w rezultacie jedzie do Paryża. Już trzy tygodnie tam siedzi, a co o niej mówią, co mówią?!

— Ach, jakże żałuję starych Połtawców!...—mówi mamie. Ileż oni muszą cierpieć!

— Dawno to już mówiłam—dodaje tante Julie—że Netty na bardzo złej drodze!

Mimi potwierdza kiwnięciem głowy.

— No, à propos romansów—odzywa się tante Sophie: czy to prawda, że na Kaukazie, u wód, tak okropnie flirtują?

— Ach, okropnie!—odpowiada mamie z uśmiechem. Czegośmy tam nie widziały i czego nie słyzały!... I Waraski, wyobraźcie sobie...

— I za Mimi też oglądali się, co?... *Est-ce qu'il y a eu quelqu'un pour te faire la cour?... Et personne ne t'a donné dans l'oeil?...*

— *Quelle idée, ma tante!*... Ależ tam nikogo nie było... To jest było wielu sympatycznych i przyjemnych, ale takich, którzyby się mogli podobać...

I Mimi uśniecha się po dawnemu, po petersbursku, i kręci główką...

— No, a natura, czy rzeczywiście tak piękna jak mówią?—zapytuje tante Julie. Wawa zachwyca się górami...

— Ależ one nic nie widziały—z zalem w głosie wtrąca pan Spirydjon: no, jakżeż można było nie pojechać na Bermamut? Przecież wyraźnie wam pisałem, ażebyście pojechały! Być w Kisłowodsku i nie pojechać na Bermamut!... E, doprawdy!... Więc prawdziwych gór toście wcale nie widziały!

— Nie miałyśmy z kim—odpowiada Mimi. Państwo X. jeździli przed naszym przyjazdem, a we trzy jakoś nam trudno było się wybrać. Już i tak starałam się wszystko zobaczyć i być wszędzie.

— Tak, tak... tam musi być bardzo pięknie—odzywa się tante Marie, przyglądając się widokom Kaukazu... Jakie to piękne? Co to takiego?

— To?—pyta Mimi, nachylając się, ażeby przyjrzeć się widokowi... To «Zamek intrygi i miłości»... To są skały podobne do zamku i dlatego tak się nazywają.

— I rzeczywiście takie piękne? Byłaś tam?

— Byłam... Jeździłam konno... Bardzo piękne. Szczególniej przy księżycu... *c'est féérique!*



335945

15. —  
52966/231161

